

Teresa Grabowska
STARE
FOTOGRAFIE

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza
Warszawa 1986

Odkrycie

Od dwóch miesięcy przebywałam w NRD, w ślicznym starym Budziszynie, po którego uliczkach, noszących obok niemieckich także i swojsko brzmiące nazwy łużyckie, błądziłam wciąż z tą samą przyjemnością. Często teraz wychodziłam z miasta, wychodziłam tak dosłownie, jak gdzie indziej wychodzi się z domu: przekraczałam bramę miejską i od razu byłam wśród łąk, rozległych i pachnących. Przysiadłam na płaszczu, przyglądałam się srogim murom otaczającym to miasteczko z bajki i dopiero po pewnej walce wewnętrznej sięgałam do notatek. Od powrotu do Polski dzieliły mnie już tylko dni. Miałam za sobą szperanie po bibliotekach, po miejskich i kościelnych archiwach, zwiedzanie starych cmentarzy, rozmowy z ludźmi. Teraz spuchnięte teczki gwałtownie domagały się uporządkowania, a w głowie coraz wyraźniej rysowały się kontury przyszłego artykułu.

Składałam pożegnalne wizyty osobom oficjalnym, a wieczorami odwiedzałam zwykłych, często przypadkiem poznanych ludzi, którzy pomogli mi w poszukiwaniach. Odwiedziłam też pana Boćkę, robotnika w miejscowej tkalni. Pan Boćka przed paroma tygodniami umożliwił mi zapoznanie się z cennymi dokumentami rodzinnymi, przechowywanymi w pobliskiej wsi przez jego babkę, wiekową, dostojną Łużyczankę. Teraz oznajmił, że oboje z żoną postanowili mi pokazać coś jeszcze. Może i to mnie zainteresuje.

To „coś” okazało się dwoma opastymi brulionami. Otworzyłam jeden z nich, przeczytałam urywek jakiegoś zdania i przez chwilę nic nie rozumiałam. Przygotowana na język niemiecki lub łużycki potrzebowałam czasu, aby uświadomić sobie, że ten tekst jest pisany po polsku.

– Co to jest? – zapytałam.

Pan Boćka rozłożył ręce.

– Zdaje się – powiedział – że czyjś pamiętnik. – Próbowali czytać,

ale rozumieli tylko pojedyncze słowa. Polski i łużycki różnią się jednak za bardzo... Pokazywali już raz te zeszyty pewnemu Polakowi, który pracował tu, w Bautzen: Przejrzał, mówił, że to dziecinne bazgroły, nic ważnego. Chcieli nawet spalić, ale jakoś zeszło. Może bym ja...

– Tak – powiedziałam – naturalnie, przejrzę to. – Uderzyły mnie daty: 1943, 1944. Pomyślałam, że nie wolno lekceważyć zapisków z tamtych lat, nawet jeśli robiło je dziecko. Spytałam jeszcze, skąd to się u nich wzięło?

Pan Bočka obejrzał się na żonę, a ona obdarzyła mnie długą opowieścią o dniach bezpośrednio po wyzwoleniu. Wynikało z niej, że koniec wojny zastał małżeństwo Bočków wraz z dwunastoletnim siostrzeńcem w jednym z dużych miast i ten siostrzeniec, ein Spitzbube, czyli szelma i łobuziak, przytargał bruliony pewnego dnia z jakiejś swojej wyprawy. Pani Bočkowa nie wie, gdzie je znalazł i co w nich mogło zaciekawić takiego smarkacza. Chłopak nie składał wujostwu sprawozdań ze swoich wyczynów, po prostu przepadał na całe dni i latał nie wiadomo dokąd. – A czasy były niespokojne, pani przecież pamięta...

Potem, chociaż od tego czasu dwa razy przeprowadzali się z miasta do miasta, wlekli te zeszyty ze sobą. Bo Otto naturalnie nigdy więcej się nimi nie zainteresował. Jakoś nie mogli się zdecydować na wyrzucenie lub spalenie... Dla dziecka, które to pisało, były to na pewno ważne sprawy – i... jakoś nieładnie byłoby taką rzecz zniszczyć, pani to rozumie, prawda? – Prosił nawet tego Polaka, który tu był przed kilku laty, aby poszukał, czy nie ma gdzieś nazwiska tego, kto to pisał. Mogliby wtedy próbować odnaleźć ją, tę dziewczynkę, choćby przez Czerwony Krzyż. Ale nie znalazł, natrafił tylko na imię: Ewa.

W hotelu otworzyłam brulion z datą najwcześniejszą, jeszcze z 1940 roku. I od razu, przy pierwszej stronie, poczułam się przeniesiona we własne dzieciństwo. Ja też chodziłam na sanki nad „Morskie Oko” i też zbierałam kuksańce od „chłopaków z Czerniakowa”, chociaż działo się to nieco później. Zaraz zresztą dowiedziałam się, że autorka pamiętnika była o dwa lata starsza ode mnie, a trochę dalej natrafiłam na nazwisko pani Dąbkowej, dozorczyńni naszej kamienicy...

Już wiedziałam, kto pisał ten pamiętnik, jak się nazywała dziewczynka, którą przez jakiś czas byłam zauroczona tak, jak młodsze dzieci bywają zauroczone starszymi. Podziwiałam ją, ponieważ biją ją się zajadle i często zwycięsko z chłopakami z naszego domu. I wtedy oka-

zało się, że to właściwie już wszystko, co w pamięci pozostało mi z dawnej Ewy.

Chociaż nie... Inaczej skąd wzięłoby się we mnie ten niepokój, to nie-dobre poczucie winy, które towarzyszy mi od chwili, gdy w nagłym błysku rozpoznałam i powiedziałam na głos: „To Ewa”.

Zamykam oczy. A więc jednak...

Pod powiekami pojawiają się dwie fotografie, albo raczej dwie klatki filmu, wycięte z taśmy w jakichś przypadkowych miejscach.

Kadr pierwszy: czarnowłosa dziewczynka w żółtej sukience, szeroki rozkrok długich, cienkich nóg, cofnięta do tyłu prawa ręka za chwilę wypchnie przed siebie piłkę do siatkówki. Czuję jej wzrok na swojej twarzy. Gramy w dwa ognie, Ewa jest „matką” i chce mnie trafić. Ale taśma nie ruszy już z miejsca i nie dowiem się, czy jej się to udało, czy też skusiła. Czuję napięcie, radosne napięcie gry. Więc to nie to.

Kadr drugi: na białej poduszce chuda, wykrzywiona twarz, zaciągnięte powieki i otwarte usta zanoszące się od krzyku. Mój popłoch. Popłoch Kryśka, z którym po raz pierwszy przyszedł tu, do chorej Ewy. Jest Powstanie, połowa sierpnia. Przed chwilą powiedziałam, że dwóch chłopców z naszego domu nie żyje, że były wiadomości. A teraz Ewa krzyczy.

W ciągu nocy, kiedy przedzierałam się przez stronicę zapisane gęstym maczkiem, poznawałam taką Ewę, o jakiej nie miałam pojęcia. Jeszcze nie wiedziałam, że właśnie zaczęła się dla mnie długa wędrówka po cudzych ścieżkach. Że będę odtąd przez wiele miesięcy zajmować się historią nie dziewiętnastowieczną, stanowiącą grunt swojski i dobrze mi znany, lecz tą najnowszą, dopiero co minioną, której dotykaniem jest o wiele trudniejsze i bardziej niebezpieczne.

Przeczytałam ostatnią stronę i zamknęłam popękana ceratową okładkę. Spojrzałam w okno. Ciemność i chłód. Małe miasto spało, było zupełnie cicho. I nagle cisza zagadała dalekim chórem ludzkich głosów. Zmieszanych, niewyraźnych, nie dających się zrozumieć, dosadnych, napastliwych, nawet groźnych – tak bywa ze mną, gdy jestem zbyt zmęczona i równocześnie zbyt napięta. Brzmiało to tak, jakby jakaś daleka, ledwie dająca się chwycić radiostacja nadawała w nieznany język kilka audycji naraz. Głosy odpływają i narastają z powrotem z jakąś własną, nie dającą się przewidzieć logiką. Odbieram je całą sobą ze strachem, że nagle zrozumieję, czego chcą, i dowiem się o tym, o czym jeszcze wiedzieć nie powinnam.

Wtedy w w Bautzen, bałam się bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Uparcie natężałam uwagę, zdawało mi się, że tym razem już na pewno usłyszę coś ważnego, może o sobie, może o Ewie... Głosy falowały, stawały się coraz bliższe, coraz dobotniejsze. Jeszcze chwila, jeszcze tylko jeden wysiłek... Milcząca błyskawica wypełniła prostokąt okna, przez ułamek sekundy na sinym tle obrysowała czarną wycinankę spadzistego dachu i wyrastający z boku wysoki komin starego domu z naprzeciwiwka. Głosy umilkły, jakby ktoś przekręcił gałkę aparatu.

Trzęsłam się z niewyspania i przedporannego chłodu. Pomyślałam: „trzeba iść do łóżka”, ale nie chciało mi się ruszyć z miejsca. Machinalnie otworzyłam raz jeszcze któryś z zeszytów, machinalnie też poprawiłam jakieś „u” na niezbędne w tym miejscu „ó” i wtedy zauważyłam, że coś się zmieniło. Czarny znaczek mego długopisu był tu, na tych kartkach, czymś nowym i świeżym, i przez to zwracającym uwagę na wszystkie pozostałe barwy tekstu. A było ich kilka: wodnisty granat atramentu Ewy ożywiały akcenty zieleni, a czasem i czerwieni. Znów pochylałam się nad rękopisem.

Dość często zdarza mi się, że coś, co kto inny dostrzegłby od razu i chyba nawet przede wszystkim, odkrywam po dłuższym czasie i przez przypadek. Patrząc na różnobarwne znaczki wyskakujące gdzieś z kartek pamiętnika, teraz, po wielu spędzonych nad nimi godzinach pojęłam nagle, że ktoś to przede mną już czytał, więcej – studiował. Znów byłam całkiem rozbudzona, myślałam sprawnie i szybko. Nie było trudno wytropić sens kolorowych atramentów. Zielony podkreślał nazwiska i nazwy ulic – to była zaledwie wstępna obróbka tekstu; czerwony stawał na marginesach znaczki i literki – to już oznaczało interpretację. Pod ostatnim zdaniem dzienników tym samym, prawie gotyckim, pismem wyrażono na czerwono pogląd, iż „Im heutigen Zustand weitere Untersuchung unmöglich”* i zaopatrzone tę opinię datą: listopad 1944.

No tak, pomyślałem, rzeczywiście, jakież poszukiwania można prowadzić w mieście, które nie istnieje, wśród ludzi, którzy albo nie żyją, alborozpierzchli się po całej ówczesnej Rzeszy i Generalnej Guberni? Trochę to uspokajało, ale mimo wszystko z leżących na stole zeszytów sączyła się teraz dawna i – zdawałoby się – zapomniana groza. Kto mógł zaręczyć, że pamiętniki nie przyczyniły się jednak do czyjejs zgu-

* Im heutigen... (niem.) – Dalsze śledztwo jest w obecnym stanie niemożliwe.

by, zwłaszcza w tym pierwszym okresie, zanim jeszcze czerwony atrament nie zawyrokował, iż „dalsze śledztwo nie jest możliwe”? Ogarnął mnie gniew na Ewę, która tak beztrąsko pisywała w tamtych czasach swoje, nikomu na nic niepotrzebne, pamiętniki. Bo jeśli jednak natrafiono poprzez nie na jakiś ślad, to nikt, rzecz jasna, nie połączył dotąd czyjś aresztowania z nieznanym faktem istnienia tych zeszytów. Mogły więc powstać pozornie prawdopodobne hipotezy, a gdzieś poza nimi mogło się nawet przycząć słowo „zdrada”. Każdy z nas zna takie tajemnicze okupacyjne dramaty, w których wszelkie próby wyjaśnień zawodzą i pozornie pozostaje to jedno... Stawało się oczywiste, że przynajmniej tę sprawę trzeba będzie wyświecić, upewnić się, czy nikt nie zapłacił głową za nieodpowiedzialne gadulstwo tej dziewczyny. Zastanawiałam się, czy po tylu latach istnieje jeszcze szansa na wznowienie poszukiwań? Na początek miałam jeden punkt zaczepienia: owego Kryśka, z którym niegdyś odwiedziłam Ewę, a później widywałam się jeszcze parokrotnie, choć zawsze przypadkiem i w pośpiechu. Byłam pewna, że będzie coś wiedział. Przynajmniej o Ewie.

To był ten jeden nurt, racjonalny i nie pozbawiony zdrowego rozsądku. Ale o wiele silniej toczył się drugi. Dawne uczucie dla Ewy znów grzało mi serce. Nasz wspólny dom, który dotąd rzadko stawał mi przed oczyma, wyrósł nagle na symbol pogubionych wartości. Moje smutne i chętnie zapomniane dzieciństwo wydało mi się teraz godne powrotów. Wtedy, o przedświcie, byłam już bez reszty wciągnięta w gmatwaninę spraw nie tylko cudzych, lecz także najbardziej własnych.

Rano odwiedziłam ponownie państwa Bočków. Powiedziałam im, że chciałabym zabrać do Polski ten pamiętnik, że znałam kiedyś tę dziewczynkę. Mogę im powiedzieć, jak się nazywała.

- Jak to? – zdziwili się. – To przecież niemieckie nazwisko...
- Tak. Ale była Polką.
- I co się z nią stało, żyje?
- Nie wiem. Będę chciała to wyjaśnić. To i jeszcze parę innych rzeczy.

Pamiętnik Ewy

O „BŁENDACH”, SUBLOKATORACH I MAMIDLE

13 I 1940

Postanowiłam pisać pamiętnik. Po bronchicie nie chodzę do szkoły i się nudzę. Dzisiaj chciałam zrobić moim misiom stołówkę, zaczęłam gotować im zupę na skurkach od kielbasy, ale mnie Jadźka wyrzuciła z kuchni. Więc nie mam o czym pisać.

20 I 1940

Już chodzę do szkoły. Dziś po południu poszliśmy z Bašką nad Morskie Oko na sanki. Tam są dobre zjazdy. Było dużo chłopaków z Czerniakowa, strasznie się biją i mówią brzydkie wyrazy. Bałyśmy się, ale Baška bardziej. Powiedziała, że już nigdy więcej tam nie pójdzie. Wczoraj wprowadziła się do nas jedna pani z córką, ale całkiem małą.

23 I 1940

Powiedziałam mamie, że piszę pamiętnik. Przyniosła mi słownik ortograficzny i powiedziała, żebym robiła z niego użytek, bo inaczej to będą straszne błędy. Więc powiedziałam, że może sobie zabrać ten słownik, że jak tak, to wcale mi się już nie chce pisać. Mamidło wyszło z pokoju. Zawsze mi musi wszystko zepsuć. Zawsze! Nie będę więcej pisać pamiętnika.

5 V 1943

Robiłam dziś porządki w biurku i wpadł mi w rękę ten brulion, jakimś cudem nie pobazgrany i z kompletem kartek. Znów przeczytałam te idiotyczne zapiski sprzed przeszło trzech lat. W moim wieku to chyba bardzo dużo takie prawie cztery lata. Wprawdzie wydaje mi się, że

świetnie pamiętam siebie dziesięcioletnią, wiecznie złą, awanturującą się dziewczynkę, ale równocześnie wstydę się za nią i nie rozumiem, jakim sposobem ja mogłam pisać takie bzdury. I te „skurki” od kielbasy, te „błendy”. Wcale się mamie nie dziwię, że przybiegła ze słownikiem ortograficznym.

Musiłam być wściekła, skoro napisałam „Mamidło”. Jeszcze i teraz, ile razy się pogniewamy, myślę o niej w ten sposób. Na co dzień jest „Mama” („Mamusi” nie cierpię), a w chwilach, kiedy ją najbardziej kocham – „Mamulin” lub „Mamulinek”.

Jednego nie rozumiem: skąd w tamtych czasach wzięła się kielbasa? Pamiętam doskonale, że byłam wtedy wiecznie głodna i że jadało się same obrzydlistwa. Widocznie zdarzały się wyjątki. A może w ogóle źle pamiętam.

Dzisiaj po raz pierwszy zauważyłam, że w tych trzech zapiskach z 1940 roku kryje się kilka tematów: mama, pani z córką... A ile jest takich, o których nie wspomniałam, a które już wtedy były: Tatuś, dziadkowie, szkoła i – przede wszystkim – wojna. Nie wiem jeszcze, czy będę pisać pamiętnik, czy starczy mi czasu i ochoty, ale niedługo będą wakacje, a ja mam chęć jeśli nie na pamiętnik, to przynajmniej na parę „tematów”.

Na przykład „pani z córką”. Pani nazywała się Raviolli, miała czarne jak smoła włosy i wypukłe, płonące oczy, poruszała się prędko, mówiła szybko i cicho. Jej nazwiska długo nie mogłam się nauczyć i przekręcałam je niemiłosiernie. Mama powiedziała mi, że to jest włoskie nazwisko, jak Lardelli, do którego chodziłam przed wojną z Tatusiem na olbrzymie czekoladowe kule. Córka, Izabella (czasem mówiło się też Bella, ale nigdy Iza), miała pięć lat i była śliczna. Jasne jak len włosy nosiła rozpuszczone do pasa, na czubku głowy wiązała niebieską albo białą kokardę. Pani Raviolli ubierała Bellę, przynajmniej w lecie, w jasne, strojne sukienki z organdy i tafty. Tak ją zapamiętałam. Za to panią Raviolli widzę tylko w czarnym, wystrzępionym swetrze, więc chyba zimą. Mieszkały z pół roku, nie dłużej.

Kiedyś, dawno już temu, jeszcze na długo przed walkami w getcie, na sąsiedniej ulicy Niemcy zastrzelili małego żydowskiego chłopca. Wszyscy byli tym strasznie poruszeni. Zaczepiła mnie wtedy nasza dozorczyni, pani Dąbkowa, i powiedziała:

– Wie Ewunia, tak sobie myślę, jak to dobrze, że ta Rawelli, czy jak jej tam, już nie mieszka w naszym domu.

- Dlaczego dobrze? – zdziwiłam się.
- Nie widzi Ewa, co oni z Żydami robią? Jeszcze by ściągnęła nieszczęście na mamusię Ewuni albo i na cały dom.
- Pani Raviolli była Włoszką!
- Iii tam. Taka ona Włoszka, jak ja Chinka. A tę jej dziewuszynek tak by załatwili, jak tego tam... – pokazała końcem miotły miejsce, gdzie przed paroma godzinami leżało ciało chudego chłopczyka. Patrzyłam na zielony trawnik, a widziałam jasne włosy Belli i swoje ręce, którymi poprawiam jej zjeżdżającą kokardę. I nie grubszą niż dwa, trzy milimetry, kruczoczną warstewkę tych włosów tuż przy skórze... Dobrze, że byłam jeszcze wtedy okropnie durna i dziecinna i niewiele rozumiałam. Gdybym się domyśliła, że Izabella ma włosy tlenione, mogłabym coś na ten temat powiedzieć przy obcych ze zwyczajnej głupoty. Teraz one są już bezpieczne, przedostały się jakoś do Szwajcarii. Nie wiem, skąd mama to wie, ale wie. Jakie to szczęście! W tamtej części miasta ciągły huk i łomot i słyszać nawet daleki grzechot karabinów maszynowych. Z mojego balkonu widzę szarą chmurę wiszącą bez przerwy na niebie, w nocy to wygląda jak czerwona, brudna mgła. Nie byłam tam blisko. Ludzie, którzy byli, opowiadają straszne rzeczy. Opowiadają, a ja i tak nie umiem sobie tego wyobrazić, bo to jest za okropne. Może dlatego teraz wzięłam się nagle do pisania, żeby nie słyszeć tych huków i nie wyłazić stale na balkon. Ale i tak słyszę.

Od tamtego czasu w dawnym gabinecie Tatusia stale mieszka ktoś obcy. Gabinet jest duży i ma głęboką wnękę z oknem, w której można urządzić prawie oddzielną sypialnię albo miejsce do pracy. Jak tylko jedni lokatorzy się wyprowadzą, to zaraz zjawiają się następni.

Tak sobie w tej chwili pomyślałam, że teraz całe mnóstwo ludzi nie jest tym, czym wydaje się, że są. To zdanie jest bez sensu, ale nie potrafię wyrazić się jaśniej, mogę tylko przytoczyć przykłady. Najpierw pani Raviolli: nie była Włoszką. Później pan Borkowski: chyba nie jest panem Borkowskim. I to znowu jest osobny temat.

Było tak. Po pani Raviolli zamieszkała u nas ciocia Bronia i jej trzy córki, wyrzucone przez Niemców z Poznania. Było im bardzo ciasno w jednym pokoju, więc wyniosły się po paru miesiącach. Po nich zjawił się pan Borkowski. Wprowadził się sam i nigdy nie słyszałam, żeby miał jakąś rodzinę. Mama mi zapowiedziała, jeszcze za czasów pani Raviolli, że gospodarzom nie wypada o nic lokatorów wypytywać, więc rzeczywiście nikogo o nic nie pytam. Zresztą teraz są takie czasy, że lepiej jak najmniej wiedzieć o innych.

Bardzo lubiłam pana Borkowskiego, a on mnie chyba też. Zdaje się, że nigdy nie byłam wobec niego niegrzeczna i nie miałam tych „moich tonów”, jak mówi mama. Zdaniem mamy pan Borkowski miał na mnie dobry wpływ. Mnie się zdaje, że to dlatego, że mi przypominał Tatusia. Wcale nie wyglądem. Tatuś był dużo ładniejszy. Tylko że...

8 V 1943

Przerwałam wtedy, bo nagle zauważyłam, że napisałam o Tatusiu w czasie przeszłym, i okropnie się złąłam. Później aż się trochę bałam tego zeszytu. Ale teraz myślę, że to słowo „był” wyskoczyło mi naprawdę tylko dlatego, że tak dawno go nie widziałam. Mama prawie nigdy nie mówi o Tatusiu, ja też nie, a jeżeli już musimy o nim wspomnieć, to robimy to króciutko, obojętnym i spokojnym tonem, żeby było wiadomo, że nic złego się nie stało. Ostatni list od Tatusia był wysłany we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, w dniu moich urodzin, i nawet nie wiemy skąd, bo miał tylko numer poczty polowej. A przyszedł już po zajęciu Warszawy przez Niemców. Mama, która usłyszała od kogoś, że Tatuś był pod koniec września za Wisłą, jeszcze teraz chodzi do różnych pań, których mężowie byli w armii Kleeberga, i prosi, żeby w listach do obozów jenieckich pytały o Tatusia. Ale nikt nic nie wie. Dla nas najważniejsze jest to, że nikt go nie widział zabitego, wszyscy, którzy się z nim zetknęli, po prostu nie wiedzą, gdzie się później podział. Ja myślę, że albo przedostał się na Zachód, do Anglii, albo stracił pamięć. Czytałam w jednej książce o takim wypadku. Jej bohater stracił pamięć, bo dostał od bandytów w głowę, ale potem doznał szoku psychicznego i wszystko sobie przypomniał. Myślę, że jak się wojna skończy, to też będzie szok psychiczny, dzięki któremu Tatuś odzyska pamięć i do nas wróci.

A przy tym są jeszcze paczki z Lizbony. Już cztery razy nam je przysłano. Nikogo nie mamy za granicą, a takie paczki dostają rodziny ludzi przebywających w Anglii. Polacy z Anglii przekazują pieniądze do Portugalii, która jest neutralna i w dobrych stosunkach z Niemcami, a stamtąd jakaś firma wysyła paczki do krajów okupowanych. Chciałabym tu dodać, że wiem doskonale, jak się pisze nazwy narodowości, ale nigdy, przenigdy nie napiszę słowa „niemiec” z dużej litery.

Taka paczuszka bardziej liczy się jako znak życia niż jako pomoc.

Zawiera zawsze to samo: buteleczkę w kształcie cytryny z korkiem z zielonego laku napełnioną bardzo kwaśnym i ostrym koncentratem cytrynowym, trochę kawy, paczkę herbaty, figi albo daktyle i woreczek migdałów. Nie znamy nikogo, kto mógłby do nas wysyłać takie paczki. Dlatego jesteśmy ostatnio lepszej myśli.

Mama chodzi też do wrózek i jasnowidzów. Najczęściej mówią, że Tatuś jest daleko, niektórzy widzą go w mundurze, inni, jak leży chory. Ale jeden ksiądz, do którego mama jeździła aż pod Kielce, wpatrzył się w fotografię i rzekł:

– Nic pani nie powiem. Ja jestem człowiek omylny, a wszystko w rękę Boga. Niech pani wraca do domu i modli się.

Wiem o tym, bo słyszałam, jak mama opowiadała pani Borzęckiej. Płakała i była bardzo zdenerwowana, ponieważ te słowa zabrzmiały tak, jakby z Tatusiem stało się coś najgorszego. A w dodatku w pociągu, którym wracała z Kielc, była akurat łapanka i ledwie udało się jej uciec.

Tak naprawdę to Tatuś nie jest wcale moim tatusiem. Jest drugim mężem mamy. Dlatego nosimy inne nazwiska, oni normalne, polskie, a ja to moje okropne, niemieckie. Mój rodzony ojciec zmarł, kiedy miałam rok, więc oczywiście nie mogę go pamiętać. Tylko z fotografii znam jego twarz – starszego, poważnego pana – i mam podobno jego oczy. Te oczy nie są zresztą na zdjęciu brzydkie, tylko surowe. Mama była od ojca młodsza o prawie dwadzieścia lat. Ojciec bardzo chciał mieć dziecko. No i ledwie się go doczekał, zaraz zmarł. Żal mi go, ale go nie kocham. Zawsze kochałam Tatusia jak nikogo na świecie. Miałam sześć lat, kiedy zachorowałam na dyfteryt ze szkarlatyną (koklusz i odrę też przechodziłam razem!), a Tatuś pracował wtedy w cudzoziemskiej firmie, która bardzo się bała zarazków, więc musiał się wyprawić do babci. Bardzo długo go nie widziałam i chyba wcale specjalnie nie tęskniłam. Aż tu pewnego dnia, kiedy już czułam się zupełnie dobrze, otworzyły się drzwi mojego pokoju i stanął w nich Tatuś. Wtedy nagle rozryczałam się potwornie, szlochałam, wrzeszczałam, żeby do mnie podszedł, żebym mogła go dotknąć. Teraz, gdy czytam, że ktoś płakał z radości, to już wiem, jak to jest. To bardzo wspaniałe uczucie i chciałabym, żeby mi się jeszcze kiedyś w życiu przydarzyło.

Jestem przez to wszystko w takiej sytuacji, że mam krewnych po mamie, po Tatusiu i po ojcu, czyli o jedną porcję więcej niż inne dzieci. Dość często mi się myli, kto z jakiego powodu jest cicią, wujkiem czy stryjkiem, i muszę sobie przepowiadać rodzinne kombinacje.

Chciałam napisać o panu Borkowskim, a zaczęłam wspominać Tatusia. Później mi zeszło na rodzinę, a moja rodzina to znów oddzielny temat. Kiedy ja się z tym wszystkim uporam? Szczęście, że niedługo wakacje. Wiśka i Alicja zostają w Warszawie do połowy lipca, później jadą do Konstancina, gdzie ojciec Wiśki ma willę. Przedtem im zazdrościłam, a teraz cieszę się, że nikt mi nie będzie przeszkadzał. Z naszej paczki tylko Anka będzie siedzieć, tak jak i ja, przez całe lato w mieście, ale ona mieszka daleko i nie ma telefonu, więc nie wiem, czy się będziemy widywać. W naszym bloku jest dużo chłopaków i dziewczyn, którzy nigdzie nie wyjeżdżają. Są Bliźniaki, Rysiek, Hanka, Dąbczaki. Jak mam ochotę na gadanie, to jest z kim. W zaszłym roku byłam na wakacjach w Aninie u jednej pani, która ma dwie córki prawie w moim wieku, ale nie było mi tam dobrze. Ta pani nie pozwalała nam w ogóle czytać książek. Robiła straszne awantury, jeśli przyłapała którąś z nas na lekturze w klozecie. Kiedyś deklamowałam wiersz Brzechwy

Siedzi sroka na żerdzi i twierdzi:

Że mleko jest czerwone,

Że żmija gryzie ogonem,

Że raki rosą na dębie,

Że kowal ogień ma w gębie

to ta pani krzyknęła, że mam w tej chwili przestać mówić takie świństwa! Mama uważała, że to dziwactwa, i też nie była tą panną zachwyconą. A już zupełnie jej się nie spodobało, kiedy ta pani ścięła mi warkocze, żeby się nie męczyć przy ich zaplataniu. W tym roku nie będę mogła wyjechać na wieś, bo z powodu braku lokatora mamy mało pieniędzy. Uf! zdaje się, że w ten sposób wróciłam wreszcie do pana Borkowskiego.

Więc krótko:

Pan Borkowski był bardzo sympatyczny. Mama mówiła, że się w ogóle nie czuje, że ktoś obcy jest w domu. Wcześniej wychodził, wracał przed samą godziną policyjną, rzadko go ktoś odwiedzał i rzadko też były do niego telefony. U nas telefon jest w stołowym, ale drugie gniazdko znajduje się w gabinecie. Jemu jednemu ze wszystkich lokatorów mama proponowała, żeby zabierał aparat do siebie, ale chyba nigdy z tego nie skorzystał. Do mnie mówił „Ewelino” (właśnie tak jak Tatusi)

i w ogóle często ze mną rozmawiał o wszystkim, co mnie interesuje, i zawsze zupełnie poważnie. Nie cierpię, kiedy dorośli mówią do mnie jak do małego dziecka. Na przykład stryj Ludomir, brat ojca, zawsze jak mnie zobaczy, mówi:

– O jaka duża panna! – I jeszcze dodaje: – Pewnie już jesteś dla mamusi prawdziwą pociechą.

Wcale nie jestem duża, jestem obrzydliwie mała, w klasie tylko jedna Grażyna jest troszkę niższa ode mnie. Do pocieszania mamy też się nie nadaję, nawet kiedy najbardziej się staram – nie umiem. Mamę umie pocieszać chyba tylko jedna pani Borzęcka.

Pan Borkowski lubił, kiedy mu opowiadałam o szkole i o kolegankach. Kiedy mówiłam akurat coś, co mu się podobało, śmiał się i przejeżdżał ręką po mojej głowie „pod włos”. Wcale mnie to nie złościło, chociaż byłam potem zawsze potargana jak potwór.

Wyprowadził się bardzo nagle, dosłownie z dnia na dzień, sześć tygodni temu. Teraz jesteśmy same i mama mówi, że pewnie dopiero na jesieni ktoś się znajdzie. Kilka dni temu mama zatelefonowała do jakiegoś pana Markiewicza, że ma dla niego paczkę. Jadzi i mnie powiedziała, że przyjdzie po tę paczkę młoda panienska. Na dźwięk dzwonka otworzyłam drzwi, a tu stoi na progu pan Borkowski, powiada, że przyszedł po swoją paczkę, bo jego kuzynka nie mogła, i dopiero jak zobaczył na opakowaniu nazwisko Markiewicz, to się okropnie spieszył. Nawet zaczął coś tam tłumaczyć, ale ja szybko zagadałam o deszczu (bo właśnie padał) i o zimnie. Roześmiał się, powiedział, że mądra ze mnie dziewczynka, potargał mnie po swojemu i poleciał. Tak więc to pan Borkowski jest panem Markiewiczem, ale pewnie nie jest ani jednym, ani drugim.

A lekcji to ja już dziś nie odrobię, za późno.

9 V 1943

Pan Borkowski nie jest panem Borkowskim, za to ja jestem absolutną idiotką, i to do kwadratu!

Zrozumiałam to zupełnie nagle po przeczytaniu wczorajszych bazgrołów. Zastanawiam się nad różnymi ludźmi, rozumiem niby wiele rzeczy, tylko jakoś nigdy mi nie przyszło do głowy pytanie, kim właściwie jest moja mama! Jest taką panią jak tysiące innych, której mąż zaginął i która staje na głowie, żeby utrzymać siebie, córkę i służącą. W

porządku. Tylko że dzwoniła do pana Markiewicza, a rozmawiała z panem Borkowskim. Tylko że nawet pani Dąbkowa domyśliła się, że pani Ravioli jest Żydówką. Tylko że raz po raz ktoś odbiera od nas jakieś paczki i przychodzą „dawni znajomi”, których nigdy przedtem na oczy nie widziałam! Wszystko jest zupełnie jasne. Tylko ja jestem głę.

Muszę przyznać, że mama doskonale się nadaje do konspiracyjnej roboty, bo jest niesamowicie dyskretna. I to nie tylko w ważnych sprawach, ale tak w ogóle. Po prostu nie potrafi mówić o ludziach i zawsze, kiedy słyszy nasze rozmowy z Alicją albo z Anką, dziwi się:

– Jak wy możecie tak godzinami rozprawiać o koleżankach, że ta jest taka, a tamta owaka? Ja bym tak nie umiała.

Nigdy nikogo nie krytykuje. Czasem po jej minie widzę, że ktoś powiedział coś, co jej się nie podoba, ale wtedy szybko zmienia temat, zaczyna mówić o czymś innym. Najczęściej to się zdarza w rozmowach z panią Borzęcką, która wyraża się o ludziach prosto z mostu. Mnie się zresztą podoba i jedno, i drugie. Czasem próbuję być taka delikatna jak mama, a czasem taka szczerą jak pani Borzęcka. Zdaje się, że tych rzeczy pogodzić nie można, więc mój charakter to zupełny groch z kapustą.

Mama nie kłamie, a jeżeli nie chce powiedzieć prawdy, to po prostu stwierdza „nie mam na ten temat nic do powiedzenia” albo „to nie jest nasza sprawa”. Przez to ciągle muszę podsłuchiwać. A przez tę jej delikatność trudno mi się jej zwierzać z niektórych spraw. Na ogół bardziej się wstydzę mamy niż obcych osób. Zazdroszczę dziewczynkom, które mówią matkom wszystko lub prawie wszystko. Próbowałam parę razy, ale nic z tego nie wyszło, nawet nie wiem dokładnie dlaczego. Jakoś nie potrafimy podyskutować na żaden temat. Fakt, że ze mną dyskusja jest ciężka, że zaraz się złoścę i wrzeszczę. Ale panu Borkowskiemu opowiadałam bardzo dużo, rozważaliśmy razem różne sprawy i czasem on mnie o czymś przekonał, a czasem ja jego. Z mamą to nie wychodzi. Kiedyś usłyszałam, jak mama mówiła do pani Borzęckiej:

– Moje życie skończyło się drugiego września, kiedy ostatni raz widziałam Jurka.

Pani Borzęcka oburzyła się:

– Jak możesz mówić coś podobnego, Paulino!

– No więc jeśli nie skończyło się, to w każdym razie uległo zawieszaniu – poprawiła się mama.

Mnie się zdaje, że pani Borzęcka rozgniewała się o to, że mama nie bierze mnie pod uwagę. A znów mama myślała o tym, że słowami o skończonym życiu dała jakby dowód, że wierzy w śmierć Tatusia, i tylko dlatego się poprawiła. Od tego czasu jest mi z mamą jeszcze trudniej, stale mam uczucie, że to, co mnie dotyczy, jest dla niej mało ważne, przynajmniej w porównaniu z tym, co dotyczy Tatusia. Żałuję, że słyszałam tę rozmowę.

Chciałam pisać o mamie zupełnie inaczej. Bo wiem, że jest nadzwyczajna. O jej charakterze świadczy choćby i to, że ten pamiętnik i każda rzecz, która do mnie należy, może spokojnie leżeć na biurku i ona do niej nie zajrzy.

A właśnie, pamiętnik. Wcale nie jestem pewna, czy powinnam go pisać. Bo jeśli zrobią u nas rewizję? Ale znów myślę sobie, że ten zeszyt nie będzie jedyną rzeczą, którą znajdą. Więc muszę tylko wykombinować jakąś fajną skrytkę.

10 V 1943

Wczoraj chciałam właściwie pisać o czymś innym. Bo myśląc o mamie, myślałam też o pierwszych miesiącach wojny, kiedy zostałyśmy same i kiedy ona musiała wytrzymać takie rzeczy, że, no... nie umiem tego nazwać... Niedługo na pewno część zdarzeń zapomnę. Już teraz nie pamiętam za dobrze samego oblężenia, wiem tylko, że były straszne bombardowania, zwłaszcza w Śródmieściu, gdzie przez kilka dni mieszkaliśmy z mamą i Fräulein Gertrud u jakichś znajomych. Później znalazłyśmy się na Flory u stryja Ludomira. Nie wiem dokładnie, dlaczego pętałyśmy się przez cały ten czas, kiedy Warszawa walczyła. Zdaje się, że panowało wówczas głębokie przekonanie, iż na Mokotowie będzie szczególnie niebezpiecznie. A tymczasem było tu względnie spokojnie, przynajmniej jeśli chodzi o naloty. Tylko jedna bomba padła tuż koło naszego domu i uderzyła w jezdnię. Podmuch wyrwał wprawdzie drzwi do klatki schodowej i zabił dwoje ludzi, którzy stali tam, zamiast zejść do piwnicy, ale poza tym nic się nikomu nie stało. A przecież były domy, w których pod gruzami ginęło kilkadziesiąt osób.

W tamtym okresie widok krwi i zabitych ludzi nie robił na mnie specjalnego wrażenia, bo w Śródmieściu oglądałam tego bardzo dużo. Gorsze były martwe konie, o sztywnych, wycelowanych w niebo nogach i wielkich oczach, którym ludzie wycinali mięso z zadów i boków.

Z brzuchów wylewały im się różowo-biało-niebieskie bebechy. Później długo jeszcze nie chciałam jeść koniny i trzeba mi było mówić, że to wołowina. Teraz już koniny nie jem, więc nie wiem, może by mi było wszystko jedno.

W naszym mieszkaniu nie było ani jednej szyby i wszędzie chodziło się po szkle. Pokoje, których okna wychodzą na wschód, skąd nacierali Niemcy, były bardzo zniszczone: ściany całe w dziurach, a w podłodze i drzwiach pełno odłamków. Pan Dąbek zabił okna deskami i tylko w stołowym, w kuchni i w pokoju Jadzi wstawił między deski szyby wyjęte z obrazów. Te małe szybki bardzo prędko zmętniały od brudu i przepuszczały niewiele światła. Mieszkałyśmy w stołowym. Z początku we trzy – mama, Fräulein Gertrud i ja. Później, kiedy przyszedł mrozy, przenieśli się do nas także dziadkowie. Ich parterowe mieszkanie zawsze było zimne i ponure. Kiedy dziadziś po przejściu na emeryturę wynajmował mieszkanie, babcia strasznie nie chciała się zgodzić na tę „norę”. Ale dziadek marzył o domku na wsi i „nora” miała być tylko na początek, zanim nie znajdą czegoś odpowiedniego. Niestety dziadziś nie mógł się na nic zdecydować; to chciał kupić kawałek ziemi i na niej budować, to znów wołał coś gotowego. Raz ta posiadłość miała być na linii otwockiej, innym razem koło Leśnej Podkowy. W końcu wybuchła wojna i nic z tego wszystkiego nie wyszło. Dziadkowe banknoty przydawały mi się dawniej do zabawy w sklep. Teraz nie mają już żadnego zastosowania.

Kiedy dziadkowie sprowadzili się do nas, zrobiło się w domu cieplej, bo ich meblami paliliśmy w piecu i pod kuchnią. Wietrzyć nie było trzeba, przez szpary w deskach wiało coraz bardziej. Było też bardzo głodno. Babcia z Jadzią zdobywały czasem jakieś mięso, pewnie tę koninę, ale najczęściej jedliśmy zacierki albo kluski, białe i mdłe, bez jajek. Babcia gniewała się na mamę, że to jej wina, że wszyscy przed wojną robili zapasy, a mama za nic nie chciała, twierdziła, że w tym jest coś obrzydliwego. Ja wtedy chodziłam czasem do pani Borzęckiej, która miała pełno jedzenia, i najadałam się do syta, ale byłam zadowolona, że u nas jest inaczej. Kiedyś Fräulein Gertrud przyniosła w menażkach cały obiad z kuchni dla Niemców, ale mama bardzo stanowczo powiedziała, że nikt z nas tego nie tknie. Fräulein płakała i też nic nie zjadła, wylała wszystko do ubikacji. Niedługo po tym wyjechała do Vaterlandu, bo Niemcy nie zgodzili się, żeby Niemka pracowała u Polaków. Bardzo rozpaczała wyjeżdżając i mówiła, że gdyby jej było wol-

no, to zostałaby z nami do końca wojny. Ale jeszcze przedtem umarł dziadzius.

Pewnego dnia, w listopadzie, stracił przytomność, w szpitalu okazało się, że coś mu pękło w mózgu i cały jest sparaliżowany. Po paru dniach umarł. Babcia trzymała się bardzo dzielnie, krzyczała nawet na mamę, która jeszcze wtedy dużo płakała. Ja nie pamiętam, żebym płakała, chociaż bardzo kochałam dziadka. Zdaje się, że uważałam to za normalne, że wszyscy po kolei będziemy umierać. Byłam jeszcze bardzo dziecinna, a przez tę wojnę wszystko mi się w łepetynie pokiełbało.

Tymczasem zrobiła się zima i spadł śnieg, a ja dostałam mego pierwszego bronchitu, który teraz wraca każdego roku, czasem nawet po parę razy w ciągu zimy. Nadchodziło Boże Narodzenie. Wiadomo było, że nie będzie żadnych Świąt ani moich imienin i że przeżyjemy te dni jak wszystkie inne. Dwudziestego trzeciego grudnia, w przeddzień Wigilii, siedziałyśmy z babcią pod piecem i babcia czytała mi na głos „W pustyni i w puszczy”, moją ukochaną wtedy książkę. Nagle wstała, powiedziała „oj, coś mi niedobrze” i szybko wyszła z pokoju. Wzięłam książkę i po paru minutach zaczytałam się zupełnie. Po jakimś czasie przyszły mama z Jadzią i mama powiedziała, zresztą całkiem zwyczajnie i spokojnie:

– Ewuniu, ubieraj się prędziutko, Jadzia odprowadzi cię do państwa Borzęckich. Babcia ciężko zachorowała.

Następnego dnia pani Borzęcka powiedziała mi, że babcia umarła nagle, na serce, nim zdążyła dojść do łazienki. Nie żyła już, kiedy wychodziłam z domu.

Nie byłam na pogrzebie babci, który odbył się na gwałt, w samą Wigilię, ponieważ mama uważa, że dzieci nie powinny uczestniczyć w takich uroczystościach. Zamówiła zwyczajny, konny karawan i bardzo taną trumnę, nie miała pieniędzy na nic lepszego. Pogrzebem zajmował się ten sam zakład z ulicy Książęcej, który przed niecałym miesiącem przewoził na Powązki dziadziusia. Wtedy mama sprzedała złotą bransoletkę, więc mogła wynająć normalny autobus pogrzebowy. Teraz miała tylko tyle, ile w ciągu paru godzin uzbierały pani Borzęcka z panią Marynowiczową, drugą najbliższą przyjaciółką mamy, a one też nie miały wiele. Tego dnia była okropna pogoda, padał mokry śnieg i wiał przejmujący wiatr. Mama prosiła, żeby nikt nie wybierał się z nią na ten grzeź, bo to oznaczało, że trzeba będzie iść piechotą z Moko-

towa na Powązki. Ale pani Borzęcka ubrała się grubo i poszła po mamę, a nasza Jadzia też. Kiedy we trzy wyszły na ulicę, okazało się, że karawaniarze wnoszą właśnie trumnę do autobusu. Mama przeraziła się, zaczęła tłumaczyć szoferowi, że zaszła pomyłka i że bardzo prosi, aby czym prędzej wracał do zakładu i spowodował przysłanie konnego wozu. Ale szofer odrzekł:

– Nie ma żadnej pomyłki. Szef kazał powiedzieć, że nie pozwoli, aby pani w taką pogodę szła piechotą.

Ja zostałam przez święta u państwa Borzęckich, mama przysłała tam także Jadzię. Sama zamknęła się w pustym, zimnym domu. Nie wiem, czy płakała. Kiedy spotkałyśmy się znowu, była już zupełnie zwyczajna.

Szef zakładu pogrzebowego nie był jedynym, który nam pomógł. W ogóle kiedy jest źle, to ludzie sobie bardziej pomagają. Dużo dobrych rzeczy robi dla nas pan Dąbek i nigdy nie bierze pieniędzy. Kiedyś, kiedy mama mu dziękowała, powiedział:

– Co tam; żeby nie pan inżynier, to mnie by już dawno święta ziemia nie nosiła.

Bardzo chciałam wiedzieć, co też takiego Tatuś zrobił dla pana Dąbka, ale oczywiście usłyszałam:

– To były sprawy osobiste, które ciebie nie powinny obchodzić.

To bardzo ważne w dzisiejszych czasach, jeżeli dozorca jest pewny, a nawet, jak nasz, zaprzyjaźniony z mieszkańcami. Niestety pan Grzybowski, drugi dozorca, jest zupełnie inny. Zajmuje się klatkami po przeciwnej stronie bloku, więc nie mamy z nim wiele do czynienia, ale wszyscy mówią, że przy panu Grzybowskim trzeba uważać. Nie tylko pije, ale podobno widuje się go z Niemcami.

15 V 1943

Wczoraj chciałam trochę popisać, ale przyszły do mnie Wiśka i Alicja, a później o mało nie zakatrupiłyśmy Starszego Bliźniaka.

Byłyśmy na budowli. Budowla jest po drugiej stronie ulicy, jej szkielec wzniesiono przed wojną tylko do pierwszego piętra i teraz stoi nie wykończona. Dawniej często bawiłam się tam z chłopakami w wojnę albo w złodziei i policjantów. Tym razem Alicja wymyśliła, że się będziemy opalać. Kazała mi zabrać koc i krem mamy, wylazłyśmy na górę, rozścieliliśmy koc na betonie. Alicja miała prawdziwy kostium

kąpielowy i naprawdę się opalała. My z Wiską, w sukienkach, mogłyśmy tylko siedzieć na kocu. I wtedy właśnie zjawił się Starszy Bliźniak.

Musiałam wstać, żeby zamknąć okno, ale niewiele pomogło. Ten wstrętny wrzask „Heili, heili – heila!” nawet przez szyby słysząc zupełnie wyraźnie. Mniej więcej co dwie godziny mamy taki koncert połączony z tupotem buciorów. Jedna z przyjemności mieszkania w niemieckiej dzielnicy!

Więc Starszy Bliźniak zjawił się na wierzchu budowli, wygłosił parę uwag o kobiecej próżności tym swoim nudnym, przesadnym tonem, po czym zaczął spod nas wyciągać pled. Byłam wściekła, bo bałam się, że go podrze. Alicja i Wiśka udawały, że go w ogóle nie dostrzegają (Bliźniaka oczywiście), ale tylko do momentu, kiedy ten idiota zgarnął pełne garście piachu i kurzu i posypał tym natłuszczoną Alicję. Alicja zerwała się z wrzaskiem, my też, ale Bliźniak zdążył już odskoczyć dobre kilka metrów i kiedy rzuciłyśmy się za nim, zaczął biec tyłem, podskakując to w lewo, to w prawo i robiąc do nas małe miny. Złapałyśmy go na pewno, gdyby nie to, że nagle zniknął. Po prostu wpadł do otworu na windę. Rozległ się głuchy łomot. I cisza. Zajrzałyśmy w głąb: ciemno, coś tam leży. Zbiegłyśmy po schodach na parter jak wariatki, ale szyb windy schodził niżej, do piwnic. Wiśka skoczyła pierwsza, my za nią, o mało go nie rozdeptałyśmy. Złapałyśmy go za ręce i nogi i jakoś wyciągnęłyśmy na wierzch, do światła. Nawet nie był pokaleczony, tylko blady i oczy miał zamknięte. Wiśka zamachnęła się i wyrznęła go w twarz. Poskutkowało. Otworzył oczy i mądrze zapytał:

– Żyje?

– Żyjesz – odpowiedziałyśmy wszystkie trzy. Alicja kazała mu zgiąć każdą kończynę po kolei, a ponieważ robił to jako tako, więc postawiłyśmy go na nogi i zaprowadziłyśmy do domu.

Uratowało go chyba to, że ten szyb, szczególnie z tej strony, z której do niego wleciał, ma dno zasypane gruzem i śmieciami. Ale żeby tak sobie nawet niczego nie złamać?

Po południu mama kazała mi iść dowiedzieć się o jego zdrowie. Strasznie mi było głupio i bałam się jego rodziców, ale oni nic mi nie powiedzieli poza tym, że ten wypadek powinien być dla nas ostrzeżeniem przy tych wiecznych zabawach na budowli. Za to młodsze dzieci patrzyły na mnie jak na morderczynię. Trudno, wcale nie czuję się winna, a Starszego Bliźniaka też specjalnie mi nie żal, bo go nie lubię.

Obaj Bliźniacy są naturalnie w tym samym wieku, ale patrząc na

nich, nikt by się tego nie domyślił. Starszy wygląda jak niewyrośnięty dorosły, jest nadęty i uważa się za strasznie mądrego. Może zresztą i jest mądry, mama twierdzi, że to chłopiec „wyjątkowo rozwinięty umysłowo”. Młodszy jest zupełnie normalny. Mają chmurę rodzeństwa w różnym wieku. Starszy Bliźniak ma na imię Zbyszek, Młodszy – Krzysztof. Mówi się do niego Kryś. Kiedyś dziwiłam się, dlaczego nie Krzyś, przecież to dużo ładniej. Wyjaśnił mi wtedy, że jego mama, Krystyna, zmarła przy ich urodzeniu, a że on jest do niej podobny, więc tak go nazywają na pamiątkę po niej. Nie wiedziałam, że on nie ma matki, bo u nich w domu jest pani, do której wszystkie dzieci, duże i małe, mówią „mamo”. Widocznie to macocha tych starszych. Któregoś dnia spytałam go, czy kocha swoją drugą mamę. Odpowiedział „naturalnie” takim tonem, jakbym pytała, czy śnieg jest biały. Wtedy pomyślałam, że oboje jesteśmy w tej samej sytuacji, on – jeśli chodzi o mamę, ja – o tatę, tylko on swoją mamę ma, a ja mojego Tatusia nie.

Dzieci ze starych fotografii

Kiedy w czterdziestym piątym roku, wprost z obozu, zjawiłyśmy się z matką w naszym domu, nie wpuszczono nas już do mieszkania i nie oddano nawet najńędniejszego z ocalałych sprzętów. Jeszcze dziś czuję tę samą co dawniej nienawiść do ludzi, którzy skuteczniej niż Niemcy zrobili z nas bezdomne nędzarki, i do tego prawa – bezprawia, które za nimi stało. Schodziłyśmy ze schodów, mama – w milczeniu, ja – szlochając głośno z poczucia krzywdy i bezsilności. Na parterze, kiedy sądziłam, że pozostaje nam już tylko wyjść na ulicę, matka bez słowa pociągnęła mnie w dół, do piwnicy. Była otwarta, drzwi rozwalono siekierą, wewnątrz uprzątnięto do czysta. Tylko w kącie wały się podeptane i pogięte zdjęcia. Ta piwnica stała się na kilka miesięcy naszym nowym domem.

Na fotografiach do dziś pozostały półkoliste odciski zabłoconych obcasów, a smugi węglowego mialu zamazują powierzchnię niektórych z nich tak gruntownie, że tylko z trudem można się domyślić, kogo przedstawiają. Ale są i takie, które choć nie zniszczone, przestały jednak być dla mnie czytelne z przyczyny samego tylko upływu czasu. Już nie potrafię zidentyfikować twarzy, już nie wiem, czy ten chłopiec to Romek czy Zdzich, a tamta pani to panna Helena, czy może pani Ludmiła. A nawet wtedy, gdy rozpoznaję bez trudu samych ludzi, to często myślą mi się ich losy i nasze powiązania z nimi.

Pomiędzy oglądaniem rodzinnych fotografii a próbą skomentowania cudzego pamiętnika istnieje analogia. Pozornie jako komentatorka jestem w sytuacji wyjątkowo korzystnej, mając do dyspozycji nie tylko zapiski Ewy, ale i własną pamięć oraz znajomość środowiska. A mimo to nie czuję się pewnie w tej roli, już choćby dlatego, że jej i moje wspomnienia nie zawsze się pokrywają: Ewa obsadziła w jakimś epizodzie Ryśka – ja wyraźnie widzę w tym miejscu Zygmunta (Zyg-

monta – jak to się wtedy mówiło); z opisu Ewy wynika, że jakieś tam wydarzenie rozegrało się przy pięknej pogodzie – ja dałabym sobie głowę uciąć, że w deszczu. I tak dalej. Wiem, że w takich akurat przypadkach muszę wierzyć jej, a nie sobie. Ale są one dla mnie namacalnym dowodem odkształceń, jakie poczynił czas, a świadomość tego odbiera mi odwagę i zaufanie tak do siebie, jak i do innych. Może więc byłoby najśluszniej pozostawić ten pamiętnik bez żadnych omówień? Z drugiej jednak strony wydaje mi się, że jeśli ma on ujrzeć światło dzienne, to trzeba podjąć próbę wypełnienia istniejących w nim luk, a przede wszystkim wyjaśnienia niektórych faktów. I nie ma innej drogi, jak zawierzyć ludzkiej pamięci.

Lista pytań i wątpliwości, jaką sporządziłam w czasie lektury, nie była zbyt długa. Ewa chętnie posługiwała się „tematami”, dzięki którym wiemy znacznie więcej o sprawach rodzinnych i wydarzeniach minionych, niżby to się mieściło w toku codziennych, na gorąco robionych notatek. Toteż zadanie było z pozoru łatwe. Jednakże w miarę jak zżywałam się z Ewą, zaczął się we mnie budzić niepokój, czy aby jej obraz, jaki sobie stworzyłam, nie odbiega zbyt daleko od pierwowzoru. Każdy pamiętnik pokazuje nam jego autora tak, jak on sam siebie widział, a często nawet tak, jak chciał siebie widzieć. Mamy więc prawo podejrzewać również i Ewę o wielorakie zniekształcenia. Chwiejna równowaga wewnętrzna „nastolatki” mogła sprawiać, że poszczególne wydarzenia relacjonowane były pod wpływem przelotnych, a często i sprzecznych nastrojów – ich rzeczywistej wagi nie sposób już obecnie ocenić. Dziewczynka w tym wieku przybiera też niejednokrotnie przeróżne pozy w zależności od tego, kim w danym momencie się czuje. Istnieje wreszcie możliwość, że część zapisków robiona była – podświadomie czy na wpół świadomie – dla wymyślanego czytelnika, któremu pisząca pragnęła się zademonstrować w określony sposób. Byłam nieco starsza od Ewy, miałam pewnie ze szesnaście lat, kiedy przez krótki czas zajmowałam się podobną twórczością i wiem, że z jednej strony ukrywałam to swoje pisarstwo najskrzętniej jak mogłam, z drugiej strony jednak pamiętnik miał przekonać mnie (a w jakiś bliżej nieokreślony sposób także i pewnego jasnowłosego maturzystę), że jestem więcej warta i bardziej interesująca, niżby ktokolwiek mógł przypuszczać. Maniera pisania pod czytelnika była zresztą u mnie znacznie wyraźniejsza niż u Ewy. Ja nie lubiłam pisać, Ewie natomiast pisanie sprawiało wyraźną przyjemność, kto wie, czy nie największą ze wszystkich, jakie były jej dostępne.

Zależało mi na tym, by Ewa, nawet wbrew jej woli, ukazała nam się taką, jaka była naprawdę. Sama niewiele mam tu do powiedzenia, za mało ją znałam. Chcę tylko od razu skorygować przewijające się przez cały pamiętnik, chyba najgłębsze przekonanie Ewy o jej brzydocie. Była w koszmarnym wieku, w którym ma się za dużo rąk i nóg, kiedy to wszystko się płące, a człowiek przeszkadza sam sobie do tego stopnia, że zaczyna siebie nie lubić. Ewa jest przykładem raczej skrajnym, brak bowiem pozytywnych uczuć do samej siebie zaszedł w niej już tak daleko, iż zamiast rzeczywistości dostrzegała wyłącznie karykaturę. Ja natomiast twierdzę, że ta mała, chuda dziewczynka była zupełnie normalnym podlotkiem, który w nikim postronnym nie mógł obudzić nagłej myśli: „dawno nie widziałem czegoś równie brzydkiego”. Tak sądzę teraz, bo w tamtych czasach byłam nawet skłonna twierdzić, że Ewa jest przepiękna.

To jednak sprawa czysto zewnętrzna, mnie zaś, jak już wspominałam, chodziło w pierwszym rzędzie o korektę jej wizerunku wewnętrznego, jaki zdołała mi narzucić. Chciałam dotrzeć do ludzi, którzy ją znali naprawdę, a nie było to łatwe. Część z nich nie żyje, część rozpierchła się gdzieś po świecie. Ci, z którymi zdołałam się skontaktować, przekazali mi sporo interesujących wiadomości – ich relacje włączam kolejno w tok dzienników Ewy – ale rzecz, kto wie, czy nie najprawdziwszą, powiedziała jedna z jej przyjaciółek:

– Żadnej z nas już nie ma. Po tylu latach wszystko, co pani usłyszy o niej, o mnie, o nas – będzie spacone. Nawet fakty. A pani szuka czegoś więcej niż faktów. Po co? Czternastoletnia Ewa żyje dzięki pamiętnikowi bardziej niż my, dziś pięćdziesięciokilkuletnie.

Zwracając się więc ponownie ku rzeczom bardziej obiektywnym i namacalnym, natrafiam w mojej liście spraw nie wyjaśnionych na punkt mówiący o konieczności wypełnienia luki, jaka istnieje w dziennikach pomiędzy styczniem 1940 a majem 1943 roku. Tak wiele działo się przed pierwszą z tych dat i tak niezmiernie dużo zdarzyło się począwszy od drugiej. A między nimi nic? Pustka?

Mówi „Młodszy Bliźniak”:

– Czekaj, zaraz... Myśmy się sprowadzili do Warszawy w czterdziestym pierwszym, no tak, bawiłem się z Ewą mnóstwo razy i bardzo ją lubiłem. Mogę ci nawet powiedzieć, w co się bawiliśmy. W wojsko. Ale nie byle jak, tylko naukowo. Mieliśmy setki żołnierzyków, kupo-

wanych i własnoręcznie odlewanych w zdobytych, nie pamiętam już w jaki sposób, foremkach. Nie mam też pojęcia, z czego robiono wtedy tubki od pasty do zębów, ale wiem, że znakomicie się je przetapiało. Jeśli zaś brakowało nam tego surowca, a zapotrzebowanie na żołnierzy wzrastało, wycinałem laubzegą jakieś potworki z dykty. Były nam potrzebne całe armie, bo rozgrywaliśmy historyczne bitwy z czasów pierwszej wojny. Terenem walk był pokój Ewy adaptowany do tej roli według map sztabowych, tak zwanych pięćdziesiątek, które sukcesywnie wyciągałem – podiawiałem, jak to się wtedy mówiło – memu ojcu. Nie przeszkadzało nam, że bitwa nad Marną odbywała się w scenarii skopiowanej z okolic jakiejś Wólki Małej na Podlasiu; ważne było, żeby, tak jak na mapie, w pokoju płynęła rzeka ułożona ze wstążek i pasków, żeby przez nią przerzucony był mostek z lalczynego łożka, żeby we właściwych miejscach ciągnęły się lasy, pola i bagienka, a między nimi leżały wsie. Oboje nauczyliśmy się wtedy bezbłędnie odczytywać mapy. Nasze armaty strzelały grochem, a samoloty zrzucały ziarna fasoli. Każdy taki pocisk miał określony promień rażenia. Miotaliśmy się jak dwójce głupków z linijkami w ręce i uprzątaliśmy nawzajem trupy „żołnierzy”. Klóćiliśmy się o każde pół centymetra, a kiedyś pobiliśmy się tak skutecznie, że obie armie długo później uzupełniały przerzedzone stany. Mania zabawy w wojnę trwała parę miesięcy i minęła nam pewnego dnia radykalnie. Ale naturalnie widywaliśmy się nadal, chociaż pewnie już nie tak często. I nie pamiętam, żeby cokolwiek się wtedy działo, a w każdym razie, żeby z Ewą działo się coś istotnego.

Dawna Wiśka wspomina przede wszystkim „Las”, o którym później i tak dowiadujemy się sporo. Długo zastanawia się, co jeszcze mogłaby mi powiedzieć o Ewie z tego brakującego okresu, ale rozkłada ręce:

– Nie, chyba rzeczywiście nie wydarzyło się nic takiego, co by miało większe znaczenie. Wszystkie nasze naprawdę ważne sprawy rozegrały się dopiero później, ale o nich Ewa musiała chyba pisać?

Sprawdziłyśmy: pisała.

Kiedy zjawiłam się u państwa Dąbków i wspominałam o Ewie, pani Dąbkowa „wzięła słowo” i trzymała je przez czas dłuższy.

– Pani – mówiła – co to był za czort! Tłukła się z tymi chłopakami, latała potargana, uszargana, nie było takiego muru i takiego drzewa, na które by nie weszła. Sama pani pamięta, nie? Chociaż pani to była całkiem inna, normalna dziewczynka, a nie takie tam półdiable. Z

tymi jej zwierzakami też był krzyż pański. Jak do nas się wprowadziła potem ta volksdeutschka, co to mieszkała pod nimi, to Ewa musiała akurat trzymać króliki na balkonie. A króliki, jak to zwierzaki... no, szczały zwyczajnie na beton. Niemra na balkonie wietrzyła akurat poduszki i to wszystko jej z góry skapywało. Przyleciała, nie wiedzieć dlaczego, do mnie z awanturą, że ktoś jej specjalnie zniszczył pościel. Musiałam wysłuchiwać, a bałam się, pani wie, co to było w tamtych czasach narazić się takiej... Nie mogłam przecież powiedzieć: „A idź pani piętro wyżej i poradź Ewie, żeby te swoje króliki przerobiła na paszтет”. Na szczęście króliki zaraz zdechły i był spokój. Nie mówię, żeby była jaka niedobra albo niegrzeczna. Nie, zawsze ładnie powiedziała dzień dobry, dygnęła, uśmiechnęła się. Tylko że spokoju nie było ani chwili. Nie przez nią jadną, te chłopaczyska broiły, że nie daj Panie Boże, wszystko to prawie chowało się bez ojców, bez męskiej ręki, robiło, co chciało. Pan inżynier, znaczy się ojczym Ewy, też poszedł zaraz na początku wojny. O, to był, proszę pani, człowiek! Pani go chyba nie pamięta, co? No pewnie, przed wojną to panią jeszcze za rączkę prowadzali. Już nawet nie to mam na myśli, że był dobrym człowiekiem, chociaż takiego drugiego ze świecą szukać. Ale jaki to był piękny mężczyzna! Tu jedna taka mieszkała na tej samej klatce co ja, to się w nim na zabój kochała. Jej mąż mały był i suchy jak skwarek, a tamten wysoki, czarny, elegancki. Ciągle do mnie przylatywała: „Pani Dąbkowa, a dlaczego pana inżyniera tak długo nie widać? A dokąd wyjechali? A nie wie pani, gdzie pan inżynier pracuje?” Ja tam nawet jak wiedziałam, to nie mówiłam. Po co? On zresztą nie był z tych, co się na inne kobiety oglądają, chociaż nie powiem, ta akurat była niczego, nawet tak z samej urody tobym wołała ją niż panią inżynierową.

Pani mówi: między czterdziestym a czterdziestym trzecim rokiem? Niech mnie pani zabije, nie pamiętam, co to się u nich wtedy mogło takiego dziać i co się działo z Ewą. Chodziła do szkoły, łobuzowała... Ale żeby co więcej, to mi się nie wydaje.

Tak więc nie dowiedziałam się niczego i myślę, że niepotrzebnie zwracałam ludziom głowę. Próba mierzenia cudzego życia wedle miesięcy czy lat nie zawsze okazuje się udana. Każdy człowiek ma w sobie własny zegar, który czesem idzie szybko, a czasem pomału. Mam wrażenie, że z początkiem lat czterdziestych zegar Ewy cykał jeszcze wolniutko. Pierwsze próby pisania pamiętnika zarzucone zostały wcale nie z powodu obrazy na matkę, a wyłącznie dlatego, że dla dziesięcio-

letniego dziecka także nic się właściwie nie działo. Podobnie było i w ciągu paru następnych lat.

Jeśli o aktywnej i energicznej Ewie można by rzec, że jednak prze-
drzemiała jakiś okres swojego dzieciństwa, to co należałoby powie-
dzieć o mnie, stworzeniu tak beznadziejnie biernym? Kusi mnie, aby
przeciwwstawić jej sylwetce mają, ponieważ wiem, że byliśmy zupełnie
inne, że ona i ja stanowiłyśmy wtedy niemal przeciwieństwo. I nie po-
trafię, brak mi tworzywa. Wspominam siebie z czasów okupacji i widzę
burą, nudną mgłę. To chyba właśnie ja: dziecko bez inicjatywy, mił-
czące, samotne wśród licznych dorosłych. Gdzieniedzie opar się uno-
si, rysują się jakieś oderwane obrazki. Mała dziewczynka skacze po
schodkach łączących w naszym mieszkaniu dwa sąsiednie pokoje. Wi-
dzą tłustawe nogi w białych podkolanówkach: hop! – nogi stoją w roz-
kroku, hop! – łączą się o schodek niżej, hop! – jedna noga ląduje
chwiejnie na podłodze, druga jest po bocianiemu podgięta do góry.
Dziewczynka skacze w takt piosenki, jej rytm mam w sobie do dziś, ale
melodii już nie pamiętam. Kiedy to było, przed wojną czy na początku
wojny? Skakałam tak przez długie lata i chyba zawsze ów finał na jed-
nej nodze wydawał mi się osiągnięciem, mającym o czymś świadczyć.
Inna scena: jadę wysoko na ramionach tatusia, żyrandol przepływa
obok mej twarzy, nitka pajęczyny rozpięta między świecą a sufitem
jest w zasięgu ręki, można by ją zdjąć, gdyby istniała metoda rozwarcia
palców wczepionych w kołnierz ojcowskiej marynarki. Jak powiedzieć
tatusiowi, żeby tak nie podskakiwał, że ja w ogóle nie cierpię takiej za-
bawy? Nie sposób.

Nie sposób także wrócić do drewnianego domku, do mamy, która
wysłała mnie do sklepika po paczkę zapalek radząc: „Pobiegiesz
szybciutko skrótem, przez te wszystkie dziury w płotach”. Jeden płot
miał siatkę z kolczastego drutu, teraz na sukience w dwóch miejscach
brązowieją dziurki o poszarpanych, zardzewiałych brzegach. Jak zja-
wić się przed mamą, skoro to ona, a nie ja, jest winna? Jak wytrzymać
taką okropną, nienormalną sytuację i po co, o podła!, próbowałam
przekonać mamę, że powinnam pójść zwyczajnie drogą? A czy to były
te same, czy też inne wakacje, kiedy Stefan podpalił mrowisko? Był
starszy ode mnie, ale często bawił się ze mną, już nie wiadomo, czy z
braku innych, ciekawszych dzieci, czy z powodu psiego posłuszeństwa,
z jakim spełniałam wszystkie jego żądania. Bawiliśmy się na gorących
piaskach wydm, wśród rzadko rosnących jałowców, na skraju sosno-

wego lasu. Zaś w lesie, do którego czasem chodziliśmy na spacer, mijaliśmy zaraz z brzegu wielki, misterny kopiec i przekraczaliśmy wąwóz wydeptany przez miliony mrówek. Jego dnem ciekł bez ustanku brunatny strumień owadów. Od kopca zanosiło kwaśnym zapachem, którego się bałam, ponieważ bałam się mrówek. Z podziwem patrzyłam, jak Stefan robi z opalonej pięści barykadę w poprzek korytarza i jak pokrywa się ona ciemnymi punktami. „To cię boli!” – wołałam z podziwem i współczuciem, kiedy podginając odwłoki wpijały mu się szczękami w skórę. Śmiał się, śmiał się i wtedy, gdy z piskiem wierzgałam nogami, siłując strząsnąć mrówki wczepione w tkaninę skarpetek, ale pewnego dnia, gdy znaleźliśmy się w pobliżu kopca, wyjął z kieszeni butelkę z żółtym płynem i zapaliki. Oblany naftą kopiec palił się jak wielka pochodnia, w korytarzu, nad którym stałam, zapanował dziki rozgardiasz. Zrobiło mi się niedobrze. Stefan powiedział ochryplym głosem: „To za to, że cię gryzły”. Oczywiście błyszczały. W domu dostałam wymiotów, mama zarządziła dietę. Po paru dniach wracałyśmy już na szczęście do miasta.

Mama mówiła: „Zeszłabyś na dół, pobawiła się z dziećmi, po całych dniach siedzisz sama”. Mnie wilgotniały dłonie ze strachu, za nic na świecie nie poszłabym w tamten gwar, bieganinę, obcość. Kiedy Zosia z klatki C, z którą chodziliśmy do jednej klasy, pytała: „Dlaczego ty nigdy nie przyjdiesz się bawić?”, kłamałam bez wahania: „Mamusia nie kazała” (tego okropnego zwrotu używaliśmy wówczas nagminnie). Ale gdy oni wszyscy szaleli naprzeciw mojego okna, przyglądałam się godzinami, z początku zza firanki, później, upewniona, że nikt na mnie nie zwraca uwagi, już jawnie, wygodnie usadowiona na parapacie. Znałam ich wszystkich doskonale, choć osobiste kontakty miałam, prócz Zosi, tylko z Hanką, jedyną dziewczynką, która mnie czasem odwiedzała. Przychodziła sama z siebie, nie proszona, ze swą twarzyczką chudej myszy, czarnymi oczkami omiatała kąty. Nie lubiłam jej i nie wiem, co ją do mnie ciągnęło. Dziś myślę, że dziewczynce z dolnomokotowskich ruder bardziej potrzebne były godziny spędzone w normalnym domu, z jego pozorami przedwojennej zamożności niż kontakt ze mną. Hanka opowiadała mi o tamtych wszystkich dzieciach, ale opowiadała dziwnie, z mieszaniną zachwyty („O, jego ojciec jest bardzo bogaty!” „A wiesz, u nich w domu to jest lustro od sufitu do podłogi”) i pretensji („On się zawsze bije”. „Ona jest strasznie fałszywa”). O niektórych mówiła: „U nich jest teraz zwyczajna bi-

ida". Wyśpiewywane „i” nadawało temu słowu szczególny odcień pogardy. W relacjach Hanki moi podglądani znajomi byli biedni lub bogaci, ale zawsze antypatyczni. Nie chciałam, żeby przychodziła i żeby mi o nich opowiadała, a równocześnie nie znajdowałam żadnego sposobu zabronienia jej tego. Pozostawało mi tylko nie akceptować żadnej z jej opinii.

Skutkiem tego dzieci z naszego domu miały kilka różnych bytów: swój własny, ten naszkicowany przez Hankę i wreszcie ten, który ja dla nich wymyśliłam. Podejrzewam, że pomiędzy bytem rzeczywistym a narzuconym przeze mnie nie było żadnych punktów styecznych. Przydelałam im równie hojnie najwspanialsze zalety, jak i najbardziej odrażające wady; w rezultacie przed naszym domem biegały promienne anioły i ponure potwory. Na czele aniołów kroczyła Ewa.

Moja miłość do Ewy (przy słowie miłość nie będzie cudzysłowu. Nie jest ładnie, gdy dorosły człowiek poklepuje siebie, małego, po ramieniu i z pobłażliwym uśmiechem odbiera dziecku coś, co było jego własnością), moja więc miłość do Ewy była zaborcza i zachłanna. Ewa żyła dla mnie i nie miała prawa do żadnych samodzielnych posunięć czy doznań poza mną. Wszystko, co działo się na dworze przed myimi oczyma, służyło bez reszty naszym wzajemnym stosunkom. Jeśli Ewa uciekała, a inne dzieci ją goniły, to oznaczało, że ścigają ją moi wrogowie, a ona biegnie mnie na ratunek; jeśli kłóciła się z kimś lub biła – wiedziałam: walczy o mnie. Byłyśmy bez przerwy narażone na największe niebezpieczeństwa i zawsze ja jej lub ona mnie ratowałyśmy życie. Najczęściej jednak to Ewa była w tym naszym związku stroną mocną, odważną do szaleństwa, szlachetną bez granic. Nawet teraz, gdy pierwszy raz czytałam ten pamiętnik, w pewnej chwili oburzyłam się: a cóż to za beksa go pisała?! Moja Ewa nie płakała nigdy.

Jednak nie zawsze można było uciec od tego, co działo się naprawdę, i w takich chwilach zżerała mnie piekąca zazdrość. Ewa przyjaźniła się z Zosią, w zabawach matkowała Bogusi... I tylko dla mnie, dla mnie jednej pozostawała nieosiągalna.

Dlaczego wybrałam sobie właśnie ją? Chyba dlatego, że była jednak starsza i w tej gromadzie, którą miałam do dyspozycji, była jedyną dziewczynką w odpowiednim wieku. Wśród niedorośliwych mieszkańców naszego domu przeważali chłopcy, do nich też przede wszystkim ściągali rówieśnicy z okolicznych posesji. Żadnego z nich nie mogłam kreować na przyjaciela i obrońcę: mógłby któregoś dnia podpalić mrowisko.

Tak więc przed moim punktem obserwacyjnym przez długi czas (można chyba obliczać na lata) paruszały się papierowe postacie, dla niepoznaki odziane w ciała Bliźniaków, Ryśków, Ew i wszelkiego innego smarkatego tałatajstwa. Dopiero gdzieś pod koniec wojny, a w każdym razie w ostatnim roku przed Powstaniem, nieśmiała dziewczynka opuściła parapet, zeszła na dół i została wchłonięta przez bandę, bez żadnych zresztą ze strony bandy oporów. Skończyła się fikcja, poszczególnym osobom zostały przywrócone ich prawdziwe cechy charakteru. Zresztą, jeśli dobrze pamiętam, owo spięcie wyobrażeń z rzeczywistością nie miało dla mnie żadnego znaczenia i bez najmniejszego sprzeciwu zaakceptowałam ich wszystkich takimi, jakimi byli naprawdę. Nie doszło tylko do konfrontacji pomiędzy Ewami, tą moją i tą realną, Ewa bowiem żyła już wtedy poza orbitą bandy. Tylko jeden jedyny raz zdążyliśmy razem zagrać w dwa ognie i tylko jeden raz, już w czasie Powstania, byłam u niej w domu. Oba te spotkania wynikły wyłącznie z przypadku i przypadły na czas, kiedy Ewa nie była mi już potrzebna.

Pamiętnik Ewy

O TEMATACH, RODZINIE I STRACHU

22 V 1943

Zdaje się, że opisując wypadek Starszego Bliźniaka, zaczęłam pisać zwykły pamiętnik. Naprawdę nie mam na to ochoty, dużo bardziej podobają mi się „tematy”. Spróbuję wytłumaczyć, skąd mi się te „tematy” w ogóle wzięły.

Narodziły się w tym roku, kiedy Kawica, nasza polonistka (i wychowawczyni) zamiast zwykłego wypracowania kazała nam pisać dowolny temat. Wyjaśniła, że takim tematem może być jakieś zdarzenie, rozmowa, która pobudziła nas do myślenia, widok za oknem, nawet sen albo marzenie. Wszystko.

Miałyśmy dwie godziny czasu. Nie wiem, co się ze mną stało, ale pisałam zupełnie nieprzytomnie. I kiedy oddałam zeszyt, nie mogłam już sobie w ogóle uprzytomnić, co ja tam właściwie nabazgrałam. Później trochę zaczęłam się bać tej lekcji, na której Kawica miała zwracać klasówki. A ona tymczasem od razu kazała mi wziąć zeszyt i czytać na głos. Nazywało się „Zamieć” i mówiło o jakimś polu bez kresu, białym polu, które zlewa się z niebem. O szalejącej zamieci i wyjąłym wietrze. Było tam tego na cztery albo pięć stron, o śniegu, wicherze i zapadającej nocy. Czytałam głośno i czułam, że to pisał zupełnie ktoś inny, nie ja. Ja przecież nigdy niczego takiego nie przeżyłam i nawet nie widziałam takiej zamieci.

Od tamtego dnia widzę we wszystkim różne tematy, a teraz chciałabym opisać niektóre z nich. Poza tym jestem ciekawa, czy jeszcze kiedyś przydarzy mi się to samo, co w klasie, taki stan nieprzytomności. Ale jak dotąd – nie. Kiedy pisałam o Tatusiu albo ostatnio o mamie, to denerwowałam się, nawet trochę beczałam, ale to zupełnie co innego. Nie rozumiem, skąd się wtedy wzięła tamta historia.

Tak samo nie rozumiem pewnych bardzo nieprzyjemnych przeżyć z dzieciństwa. Przed wojną mieliśmy samochód i w niedzielę jeździliśmy

na wycieczki. Byłam jeszcze zupełnie mała, miałam może cztery, może pięć lat, ale świetnie pamiętam, że patrząc przez okno, wołałam często:

– O, myśmy tu już byli!

Dorośli, zdziwieni, tłumaczyli mi, że nic podobnego, że przyjecha-
liśmy tu po raz pierwszy. Ale ja upierałam się i zapewniałam, że dokła-
dnie wszystko pamiętam: że tam, za tym lasem, będzie stał dom z czer-
wonym dachem i psią budą koło furtki. I stał. Albo że za zakrętem bę-
dzie krzyż na wzgórk. I był. Doszło do tego, że zaczęłam się bać tych
niedzielných wyjazdów. Rodzice dla pewności jeździli ze mną już tylko
po znanych trasach i mama mówiła:

– Pamiętasz, Ewuniu? Byliśmy tu niedawno, zaraz będziemy prze-
jeżdżać koło kościoła.

Wtedy ja zaczynałam ryczeć. Wrzeszczałam, że to nieprawda, że je-
steśmy tu pierwszy raz i że niczego nie pamiętam! Tak się bałam, że w
końcu wszystko mi się pokiełbało.

Później to przeszło prawie zupełnie. Teraz już tylko czasami, bar-
dzo rzadko czuję, że to już było, że kiedyś przeżyłam dokładnie to
samo. Ale teraz to „coś” działa bardzo króciutko i nigdy naprzód. Bo
choć wydaje mi się, że znam ten widok albo że brałam już udział w
identycznej rozmowie, to jednak nie potrafię przewidzieć, co stanie się
za chwilę. Takie uczucie mija szybko i zostaje tylko gęsia skórka.

Chciałabym, żeby mi ktoś to wszystko wytłumaczył. Bo i przy pisa-
niu „Zamieci”, i przy „widzeniu naprzód” jedna rzecz była wspólna:
działo się coś takiego, jakbym na pewien czas stawała się kimś innym.
Kimś, kto potem odchodzi i nie daje się przywołać z powrotem.

Zmęczyłam się, bredzę i zdaje się, że najwyższy czas iść spać.

1 VI 1943

Jak człowiek wspomni o jednym, to okazuje się, że zaraz trzeba pi-
sać o drugim. Przeczytałam sobie to, co napisałam tu o moich dziad-
kach, tych po mamie, którzy umarli w trzydziestym dziewiątym, i znów
przypomniało mi się mnóstwo rzeczy. Jeśli chodzi o dziadków ze stro-
ny ojca, to nic mi się nie mogło przypomniać, bo ich nie znałam. Dzia-
dek Wilhelm nie żył już, jak przyszłam na świat, a babcia Helena
umarła, kiedy miałam cztery lata, więc to żadne znanie. Wiem tylko,
jak wyglądali, bo u stryja Ludomira zawsze oglądałam albumy z fotogra-

fiami, a zresztą portrety dziadków wiszą w salonie na najważniejszym miejscu. Dziadek był paskudny. Był tak okropnie kudłaty, że właściwie widać same włosy, z których wyłazi długi, ostry nos i bardzo błyszczące oczy. Inni panowie w tamtych czasach też nosili brody i wąsy, ale niektórym było z tym bardzo do twarzy i ładnie wyglądali w wysokich kołnierzykach z zagiętymi rożkami. U dziadka kołnierzyka nie widać, zasłania go broda. Na zdjęciach dziadek zawsze siedzi, na krześle albo na fotelu, a jeżeli to jest „pod gołym niebem”, to na jakiejś ławeczce czy murku. Babka stoi za nim i opiera rękę o poręcz albo o jego ramię. Stojący dziadek jest tylko na jednej jedynej fotografii i na niej widzi się, że w porównaniu z innymi panami, a nawet paniami, dziadek był strasznie mały, po prostu karzeł. Widocznie w żaden sposób nie udało się mu wykręcić od tego zdjęcia, ale minę ma na nim bardzo niezadowoloną.

Babka była dla odmiany przepiękna i cudownie wygląda w tych dawnych strojach z koronkami i żabotami pod szyją, kolczykami w uszach i z wysoko upiętymi włosami. Stryj Ludomir opowiadał, że kiedy była jeszcze panną i wyjechała z bratem do Ostendy, w kronice towarzyskiej ukazała się notatka, że „najpiękniejszą parą, jaką mamy zaszczyt gościć w tym roku, jest rodzeństwo Helena i Aleksander A. z Warszawy”. Podobno cała rodzina strasznie się gorszyła, bo to było w bardzo złym tonie, jeśli o młodej panie napisano w gazecie. Ale stryj z dumą pokazał mi wycinek, a myślę, że oni też byli wtedy trochę z tego dumni, skoro prawie sześćdziesiąt lat temu wycięli go i schowali. Mama mówi, że odziedziczyłam po babce Helenie niestety tylko charakter. Pewnie wygląd odziedziczyłam dla odmiany po dziadku Wilhelmie, bo też jestem taka mała i brzydka jak on, tylko nos mam inny, z kartoflem na końcu. Bardziej wołałabym spiczasty.

Z charakterem babci Heleny sprawa nie jest taka całkiem prosta. Mama mówi, że była potwornie uparta i że w domu musiało zawsze być tak, jak ona sobie życzyła. Z drugiej strony – stryj Ludomir bardzo ją kochał i nie ożenił się podobno tylko dlatego, żeby jej nie zostawić samej. No, ale stryj, rodzony syn, kochałby ją pewnie i wtedy, gdyby była naprawdę antypatyczna.

Ważniejsze jest to, co opowiada ciocia Alina, siostrzenica mojej babki Heleny. Wokół babki – jak mówiła – skupiała się cała rodzina, uwielbiały ją dzieci, i te bliższe, i te dalsze, a ona była dla nich anielsko dobra. Żałuj – powiedziała do mnie – że nie zdążyłaś jej poznać i zapamiętać.

A w ogóle to miałam pisać o dziadkach ze strony mamy. Jeszcze tylko króciutko zanotuję, że mam bardzo miłą babcię po Tatusiu i to jest ostatnia żyjąca osoba z moich sześciorga dziadków. I nie jest to babcia rodzona, tylko przyszywana, tak jak i Tatuś nie jest rodzony. Ale o tym już było.

Z moich dziadków po mamie zdecydowanie ważniejsza była babcia. Dziadzius był bardzo duży, tęgi, nosił wąsy podkreślone do góry, odzywał się rzadko i trochę się jękał. Bardzo kochałam dziadziusia.

Z babcią miałam ciągle awantury, bo ona bardzo łatwo się złościła i, tak samo jak tamta babka, zawsze uważała, że ma rację. Często żądała ode mnie czegoś zupełnie odwrotnego niż mama. Na przykład mama mówiła: „Dzisiaj możesz iść na spacer bez rajtuzów”, a babcia siłą wciągała na mnie te wstrętne gacie. Ja wyłam, więc babcia biła mnie po łapach, a ja wtedy kopałam babcię. Wcale nie jestem pewna, czy to jednak nie po niej odziedziczyłam charakter.

Dziadek nosił w kieszeniach cukierki i orzechy, dla dzieci i dla wieiórek. Czasem sprowadzał przed dom dorożkę, pakował do niej Dąbczaków i małych Grzybowski i wszyscy razem jechali do Łazienek. Oczywiście beze mnie, bo jak kiedyś spróbowałam powiedzieć, że ja też bym chciała, to babcia narobiła takiego krzyku (o dziadziusiu powiedziała „ten stary wariat”), że wolałam dać spokój. Babcia nie lubiła, gdy przychodziły do mnie dzieci z naszego domu. Uważała, że roznoszą choroby i nie wiem dlaczego, ale za najbardziej zaraźliwe uważała dzieci państwa Dąbków. Za to jeżeli Tatuś i mama przywieźli mi z podróży jakąś zabawkę, która jej zdaniem nie była odpowiednia dla panienki, to bez pytania oddawała ją małym Dąbczakom. Dopiero co mlałam hulajnogę, piękną, na grubych gumach, a już Staś Dąbek rozjeżdża się nią pod domem. Albo koń! Dostałam na Gwiazdkę najcudowniejszego konia, jaki był na świecie i u Braci Jabłkowskich, bawiłam się nim bez przerwy, ale gdy wróciłam na jesieni z wakacji – konia nie było. Mama próbowała przemawiać babci do rozsądku, ale babcia wiedziała swoje: „nieodpowiednie dla panienki”.

Tatuś powiedział kiedyś, że największym błędem było to, że dziadkowie zamieszkali na tych samych schodach. Zresztą Tatuś bardzo mało się tym wszystkim przejmował i jeżeli babcia zaczynała przy nim zrzedzić, chwytął ją na ręce jak dzieciaka i kręcił w kółko tak długo, aż jej na jakiś czas odbierało mowę. A co najdziwniejsze, babcia prawie

nigdy nie złościła się na Tatusia i najwyżej, jeżeli psocił i łasował w kuchni z garnków, łapała ścierkę i przepędzała go „A kysz! A kysz!” Kiedyś, kiedy w domu było pranie bielizny i babcia wygoniła Tatusia z balii, wpadł do mojego pokoju i zaśpiewał mi do ucha:

*Magiel, magiel, maglownica,
Twoja babcia czarownica!*

W pierwszej chwili bardzo się zgorszyłam, ale później wiele razy, gdy było pranie i babcia biesiła się bardziej niż zwykle, mruczałam przed siebie „magiel, magiel, maglownica...” i cieszyłam się, kiedy mówiła:

– Co tam mamrociesz? No pewnie, że jak magiel, to i maglownica.

Przez babcię odeszło wiele kolejnych służących i dopiero Jadzia dała sobie z nią radę. Chociaż babcia bez przerwy wydawała jej nowe polecenia, to Jadzia stale robiła tylko to, co sama uważała za potrzebne, a wszystko bardzo dobrze. Tym razem skargi babci nie odniosły rezultatu. Mama zapytała tylko:

– Czy uważa mamusia, że w domu jest brudno? Czy jadamy nieodpowiednio? Nie? To prosiłabym, żeby mamusia dała Jadzi spokój.

Babcia się popłakała, przez tydzień jej u nas nie było, później od nowa zaczęła przychodzić, ale Jadzi już nie dokuczała.

Mnie tylko raz udało się zwyciężyć babcię i to było naprawdę ważne zwycięstwo. Chodziło o Abisyńczyka, którego dostałam na ostatnie przedwojenne Boże Narodzenie. Uszyty z materiału, głowę miał z masy, nosił czerwony frak i czerwony cylinder, a został nazwany na cześć Abisynii, na którą napadł Mussolini i która długo i bardzo bohatersko się broniła. No i dlatego, że był ciemnoczekoladowy.

Kiedy go wyciągnęłam z pudełka, babcia zaraz podniosła krzyk, jak można dziecku kupować coś tak niegustownego. Więc od razu wiedziałam, że to musi być prezent od dziadka. Powiedziałam, że moim zdaniem to jest bardzo piękny Murzyn i że już go kocham. Później wyrzuciłam śpiącą lalkę z największego łóżka (Abisyńczyk był bardzo długi, a w dodatku musiał się zmieścić razem z cylindrem, który był przyklejony do czubka głowy) i ułożyłam go w pościeli z koronkami. Trochę to dziwnie wyglądało, ale chodziło mi o to, żeby wszyscy wiedzieli, że on się bardzo liczy.

Pilnowałam go przed babcią jak oka w głowie, bo czułam, że to się źle skończy. I rzeczywiście: wracam któregoś dnia ze szkoły – Abisyń-

czyka nie ma. Ani Fräulein, ani Jadzia nie wiedzą, co się z nim stało. Ale Jadzia powiedziała domyślnie:

– Była tu dziś pani starsza. Warto by się rozejrzeć u małych Dąbków, może im co przybyło?

No i poszłyśmy razem do państwa Dąbków skradając się po schodach jak złodziejki, żeby się nie natknąć na babcię. Jadzia grzecznie przeprosiła, że przez pomyłkę została oddana ulubiona zabawka Ewy, a ja wręczyłam jakiś samochodzik, którym się już nie bawiłam. Wieczorem przyszła babcia i ja wystąpiłam z Abisyńczykiem w ramionach. Obie nie powiedziałyśmy ani słowa, ale jakoś czułam, że Abisyńczyk jest odtąd bezpieczny.

8 VI 1943

Przed chwilą gdzieś w okolicy placu Unii wybuchła strzelanina. Mamy nie ma w domu, a za pół godziny zacznie się godzina policyjna. Siedzę na balkonie, bo stąd widać duży kawał naszej ulicy. Jest zupełnie pusta. Od placu Unii nie idzie nikt, ani jedna osoba. Widocznie nikogo nie przepuszczają. A mama musi wracać z Politechniki i nie ma innej drogi niż przez plac Unii. Przed naszym domem stoi kilka osób, nawet zawołałam do pana Dąbka, czy nie wie, co się stało, ale tylko wzruszył ramionami. Na dole są sami dorośli. Naturalnie, jak tylko dzieje się coś ważnego, to dzieci zapędzane są do mieszkań. Piszę jakieś głupstwa, ale strasznie boję się o mamę. Ulica pusta. Nic już nie słychać. Na początku padły trzy pojedyncze strzały, chyba rewolwery, później posypały się serie z pistoletów automatycznych. Trwało to wszystko minutę, może dwie. I cisza. Robi się coraz ciemniej, ludzie się rozeszli. Mama nie telefonowała, chociaż wtedy, kiedy nie mogła wyjść od znajomych, bo ulica była obstawiona, zaraz dzwoniła, żebyśmy się nie niepokoiły. Teraz Jadzia tkwi przy telefonie. Robi się coraz ciemniej, już prawie nie widzę, co piszę. Pan Dąbek zamyka bramy. Dlaczego mama nie dzwoni?! Dlaczego, dlaczego, dlaczego, dlacze...

Wieczorem

Wszystko skończyło się szczęśliwie. Mama nagle zjawiała się na balkonie i objęła mnie, a ja w ogóle nie chciałam się od niej oderwać. Chyba z godzinę zachowywałam się z radości jak przyssana pijawka.

A było tak:

Mama poszła Polną, kiedy rozpoczęła się ta strzelanina i ludzie biegnący od placu Unii ostrzegali, żeby zawracać. Mama nie miała dokąd wrócić, więc przeszła do Marszałkowskiej, stamtąd do Alej Ujazdowskich i do Belwederskiej. Na rogu Balwederskiej i Bagateli stał patrol, sprawdzali kenkarty. Mamę przepuścili. Zbiegła w dół i od kolejki wilanowskiej działkami wróciła do domu! Ja gapiłam się stale w jedną stronę, a ona niepostrzeżenie nadeszła z odwrotnego kierunku.

Z tej radości zrobiłam się jakaś śpiąca.

9 VI 1943

Od Młodszeo Bliźniaka dowiedziałam się, co to było wczoraj. Dwaj młodzi ludzie wieźli riksą coś dłuższego, nakrytego plandeką i kiedy zatrzymał ich żandarm, wyciągnęli rewolwery i zastrzelili go. Zaczęli uciekać, ale musieli wiedzieć, że tu, pod samym nosem gestapo, nie mają żadnych szans. Jednego zabili parę metrów od rikszy, drugiego trochę dalej, u wylotu Marszałkowskiej. Kryś nie wie, co oni takiego przewozili tą riksą. Zresztą pewnie nikt nie wie, bo Niemcy zgarnęli wszystkich przechodniów, którzy nie zdołali ukryć się w bramach.

Tak myślę i myślę o tych zastrzelonych chłopakach. Jechali przez samo gniazdo żmij, wiedzieli, że jeśli ich zatrzymają, to nie ujdą z życiem. Mama powiedziała by pewnie, że to nieostrożność, że powinni byli wybrać inną trasę. Ale widocznie musieli się spieszyć, do godziny policyjnej brakowało tak niewiele... Nie zawsze można być ostrożnym. A zresztą – ja już nie mogę słuchać o tej ostrożności! I tak ciągle jesteśmy ostrożni, uważamy na każde słowo, przez telefon rozmawiamy szyfrem, w listach pisze się różne bzdury, żeby cenzura nie rozumiała, na ulicy bez przerwy trzeba uważać, co się dzieje wkoło. Chciałabym chociaż raz nie być ostrożna! Na przykład wieczorem zapalić światło, otworzyć okno i czekać, aż przylecą albo zaczną strzelać!

Przypomniała mi się jednak zabawna historia o obecnych rozmowach przez telefon, którą opowiadała mama. Dwie panie, zwykłe handlary, bardzo długo rozmawiały o „angielskich granatach”. Jedna chciała je sprzedać, druga kupić. Ledwo odłożyły słuchawki, gdy zjawilo się gestapo. Rewizja. I pewnie w najlepszym razie wylądowały w obozie. A chodziło o kupony granatowej angielskiej wełny, którymi te osoby handlowały.

Kochany, zwariowany dom

Bez trudu wyobrażam sobie samotną Ewę siedzącą na balkonie i czekającą w napięciu na matkę. Poprzez zapadający zmierzch widzę dokładnie ten narożnik, wznoszący się jak dziób okrętu nad polem i pustymi ulicami i znów staje mi w oczach niepokojący kształt naszego dawnego domu.

Na pewno żadne z nas nie zdawało sobie wówczas sprawy z faktu, że jest to dom zwariowany. W każdym razie ja tego nie dostrzegałam, a i Młodszy Bliźniak zapytany o to obecnie, odpowiedział: „no cóż, dom jak dom”. Dopiero kilka miesięcy temu, kiedy po wielu, wielu latach niebywania w tamtych stronach zjawiłam się po raz pierwszy na naszej ulicy, stwierdziłam ze zdumieniem, że czegoś podobnego nie ma z pewnością w całej Warszawie.

Jest to tak zwany blok, a więc bryła długa i niezbyt wysoka. Co do wysokości, można się sprzeczać, liczy bowiem od trzech do pięciu pięter. Elewację wschodnią zdobi regularny szereg załamania i występów muru – z daleka wygląda to tak, jakby dom szczyrzył zęby. Fasada północno-zachodnia biegnie natomiast linią od biedy łukowatą, załamującą się tylko gdzieniegdzie, bez sztucznych podporządkowań jakiegokolwiek symetrii.

Po wojnie dom zyskał liczne sąsiedztwo w postaci innych bloków, wtopił się jakoś w prawie już miejski krajobraz i sądzę, że może ująć nie zauważony. W czasach naszego dzieciństwa ten statek pijany płynął samotnie (jeśli nie liczyć „budowy”) wśród rozległych pól, nosząc w dodatku zdumiewający numer 50, choć wokół nie stało nic, co wypełniałoby lukę od numeru 1 do 49. Ktoś kiedyś powiedział, że architekt, który go zbudował, musiał być pomyłony. Ja posądzam go raczej o chłodny rozsądek i żelazną konsekwencję. Człowiek o innych cechach charakteru nie potrafiłby wznieść budynku mieszkalnego na sa-

mym stoku skarpy tak, aby nie pokusić się o malownicze a kosztowne rozwiązania przestrzenne. Może zresztą i jemu marzył się jakiś śmiały kształt wkomponowany w skarpe, zrosnięty z nią w sposób efektowny i naturalny zarazem. Jednakże dostał pieniądze nie od kogoś abstrakcyjnego, a od żywych, czujnych ludzi, którzy chcieli jak najszybciej i jak najtaniej zamieszkać na zakupionym – zbyt małym – skrawku ziemi. I wywiązał się z zadania. Niepokojące cechy domu są już tylko nieuniknionym rezultatem tej rzetelności. Rzecz bowiem nie kończy się na kształcie i na różnej liczbie pięter; blok ten ma ponadto jedyne w swoim rodzaju rozwiązanie parteru: na jednej ze ścian frontowych, a także od tyłu, u podstawy trójkąta, mieszczą się tak zwane ogródki – dwa wieloboki, wycięte w podłożu tak głęboko, iż okna mieszkań znajdujących się na parterze leżą o całe piętro poniżej poziomu ulicy.

Ostatnio, kiedy dzięki uprzejmości obecnych lokatorów zwiedziłam dawne mieszkanie dziadków Ewy, zrozumiałam, dlaczego babcia nazywała je „norą”. Okazało się, że ślepe kuchnie wynaleziono w Polsce pięćdziesiąt lat temu, a co więcej – wynaleziono wówczas także bezokienne pokoje. Jest tam bowiem pokój, któremu, w przeciwieństwie do pozostałych, nie starczyło już rozpędu, aby dotrzeć do zbawczego „ogródka”. Pozostał ślepy całkowicie i nieodwołalnie.

Mieszkanie Ewy, chociaż przestronne i widne, także dalekie jest od jakiegokolwiek szablonu. Z pewnym zawrotem głowy oglądałam pokoje o kształtach, których nazwy nie są znane geometrii, patrzyłam na wnęki i wykusze, na belkę przecinającą zniecka sufit w jadalni. W mieszkaniu, należącym niegdyś do moich rodziców, jeszcze raz przeszłam amfiladę, gdzie z jednego pokoju do drugiego wchodzi się po paru stopniach, po których niegdyś skakałam na jednej nodze. W obu tych lokalach obecni właściciele powiedzieli jednak znamienne słowa:

– Nie ma pani pojęcia, jak dobrze się człowiek czuje w mieszkaniu, które jest inne niż te wszystkie dzisiejsze.

Wspominałam już o tym, że za naszych dziecinnych lat dom stał wśród zieleni. Nie tej parkowej, lecz polnej, samorzutnej, która pleni się wszędzie tam, gdzie człowiek nie wkroczył jeszcze w pełni. Okupacja zamieniła ją na zieleń wiejską, ziemniaczano-pomidorową i kapuścianą. Przed wojną okoliczne drzewa były małe tak jak i my, więc to nie one dawały schronienie słowikom. Raczej pojedyncze, zbite kępy krzaków rosnące pod murem kwatery Rydza-Śmigłego. Nocami po uliczce wiodącej w górę, do miasta, twardo turkotały chłopskie wozy,

skrzypiały nie nasmarowane osie, człapały kopyta. Dźwięki te zamierały nad ranem, kiedy furmanki docierały już na warszawskie bazy. Wtedy zaczynały szaleć słowiki. Milkły, gdy pojawiał się brzask, ale z pierwszymi promieniami słońca podnosił się z niedalekich Łazienek historyczny krzyk paw. Takie były hałasy wiosenne i letnie, bo zimą, przez zaporę podwójnych okien, tylko bezsenni mogli słyszeć mroźny skrzyp płóz i parskanie zdyszanych koni.

Dziś ulicą przetaczają się z fukaniem autobusy, pędzą samochody wpadające na kilkupasmową jezdnię. Asphalt zastąpił kocie łby, na których łamał się w tamtych czasach równy łomot podkutych butów, z którym nieuchronnie mieszał się odmierzony ryk „Heili – heila”.

Podobnie jak dźwięki żyją też we mnie zapachy wyniesione z naszego dawnego domu, a nad wszystkim dominuje woń karbidu. Pod koniec wojny, ze względu na „niemieckość” dzielnicy, światło wyłączano nam już tylko sporadycznie. Ale przedtem długo płonęły w mieszkaniach karbidówki. Trochę dziwna jest myśl, że mój rocznik jest jednym z ostatnich, które jeszcze pamiętają białe, oślepiające światło i metaliczny, zły zapach karbidu. Misterium zapalania lampy: nie za wcześnie, aby po dolaniu wody gaz zdążył się w zbiorniku wytworzyć i nie za późno, broń Boże nie za późno, żeby nie wybuchło! Krążyły opowieści o wybuchających karbidówkach, o poranionych ludziach, jakby nie dość było innych... Więc najpierw był syk uchodzącego gazu i ten zapach, później pstryknięcie zapalki i jarzący biały blask, co wieczór od nowa wydobywający z mroku cały smutek naszych wojennych mieszkań. A za oknami stała czarna, kosmata noc.

Miasto bez świateł jest niewyobrażalne. Nie do pojęcia nawet dla tych, którzy znają miasta bardzo źle oświetlone. Żaden najbardziej mroczny zaułek nie stwarza okazji do porównań. Za każdym z nich jest gdzieś jakieś światło, choćby w tle, choćby w błyskach mijających go samochodów i dlatego jest on w gruncie rzeczy mniej ciemny, niż było miasto wtedy. Wówczas było ono jak noc: pochmurne, mgliste albo księżycowe, o czerni rozbłyszczonej bielą opadłego śniegu lub zmatowiałej od deszczu, ale zawsze jednakowej od krańca do krańca. I wypełniała je nie ciemność, a brak światła. Niechaj los chroni nas przed brakiem światła.

Ale teraz odeszliśmy już zdecydowanie za daleko od tego, co właśnie dzieje się w naszym domu. Jest czerwcowy dzień, popołudnie pogodne i rozbrzmiewające krzykami bijących się dzieci.

Pamiętnik Ewy

O WŚCIEKLIŹNIE I O NIEDOBRYM POBYCIE W POPIELEWKU

12 VI 1943

Chciałam dobrze, a wyszło najgorzej jak można.

Chłopaki tłukli się pod naszym balkonem i wołali:

– Ewka, Ewka, zejź ze stoperem!

Poszłam sędziować. Chodziło o to, kto kogo położy na obie łopatki i dłużej przytrzyma. Na ogół Rysiek był lepszy, ale to nie były ciekawe walki, różnice dochodziły najwyżej do dwudziestu sekund. Później oni obaj wyzwali mnie, więc oddałam stoper Zośce. Z Ryśkiem miałam remis, a Młodszeo Bliźniaka trzymałam na trawie ponad minutę i dałabym radę dłużej, gdyby nie Jadźka, która wyjrzała przez okno i narobiła krzyku; co to za zabawy i że powinnam się wstydzić. Chciałabym wiedzieć, czego właściwie mam się wstydzić? Oni wiedzą, że ze mną nie wygrają, bo jestem starsza i silniejsza (Rysiek mówi: „sucha żyła”), a napalają się mimo to. Do niczego ich nie zmuszam.

Kiedy Jadzia się wtrąciła, to wszystkiego nam się odechciało. Zośka poszła do domu, a Młodszy Bliźniak spostrzegł, że jego maluchy gdzieś się rozlaży, i poleciał ich szukać. On to ma los z tymi dziećmi! Starszy siedzi w domu, bo okazało się, że jednak naderwał ścięgno w kolanie: Zresztą on się i tak dziećmi nie zajmuje, jest wyższy ponad to.

Zostaliśmy tylko my z Ryśkiem. I wtedy przyszła Azunia. Miała naderwane ucho, poszarpany pyszczek i dwie głębokie rany na karku. Azunia mieszka na budowli, ma swoją kwaterę gdzieś w piwnicach, tam rodzi i wychowuje dzieci. Teraz też była okrągła jak serdelek. Bardzo jest miła i łagodna, więc wszyscy z naszego domu ją karmią.

Rysiek, jak ją zobaczył, zrobił się zielonkawy, powiedział, że nie może patrzeć na krew, i spłynął. Zabrałam Azę na górę. Jadzia nie protestowała, bo wie, że mogę się z nią bawić. Umyłam jej futerko, a woda w misce zrobiła się zupełnie czerwona. Rany zasmarowałam maścią cynkową. Bałam się, że jodyna będzie ją za bardzo szczypać. Była

tak wdzięczna, że lizała mnie po rękach. Dostała talerz zupy z chlebem i poszła sobie.

Mama wróciła koło piątej i bardzo zdenerwowana od razu przyszła do mojego pokoju.

– Pokaż ręce – powiedziała. Zaczęła oglądać moje dłonie i wypytywać, skąd te wszystkie zadrapania i kiedy je sobie zafundowałam. Nie chciało mi się mówić, że to głównie pazury Ryśka. Ale mama i tak oznajmiła, że natychmiast idziemy do Zakładu Higieny, bo Aza dziś rano zastała pokąsana przez wściekłego psa, którego już zabito na Belwederskiej. Pan Dąbek widział, że zabierałam Azę na górę, i powiedział o tym mamie. Teraz Azunia będzie musiała się wściec, a po niej mogę i ja.

W Higienie dałam lekarzowi słowo honoru, że Aza mnie nie ugryzła, że tylko myłam i opatrywałam jej rany. Ale doktor twierdził, że zarazki wściekliczny znajdują się w ślinie chorego psa, w tej pianie, która mu leci z pyska, więc futro Azy było nie tylko pokrwawione, ale i zaślinione. Myjąc je, moczyłam ręce w wodzie z bakteriami. I gdyby te ręce nie były pokaleczone, to można by się niczego nie obawiać, bo zarazek, żeby się rozwinąć, musi się przedtem dostać do krwi. Ale ponieważ mam na dłoniach pełno zupełnie świeżych zadrapań, to ten doktor może się ze mną założyć, że najdalej za parę miesięcy też się wścieknę. Chyba że będę brała zastrzyki.

No i dostałam pierwszy zastrzyk. Mamo kochana, dobrze, że ja wcześniej nie wiedziałam, co to będzie! Wbijają igłę w brzuch, boli jak diabli i często dostaje się gorączki. Chodzić trzeba codziennie, nie można się migać, bo podobno jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś, kto się już wściekł, przeżył tę chorobę. W dodatku ona podobno też boli, i to bardziej niż zastrzyki.

Jak wróciliśmy do domu, to Azy już nie było. Przyjechali jacyś ludzie i zabrali ją. Zabijają ją i te jej nieurodzone dzieci. To podłe i niesprawiedliwe, bo jej też można by dawać takie zastrzyki! Powiedziały mamie, ale rozłożyła ręce:

– Widzisz, to jest pies. A taka szczepionka jest bardzo kosztowna.

No to co z tego?! Aza nie była niczemu winna, nawet jeszcze nie była wściekła. Miała taki dobry charakter, a wzięli ją i zabili. Podlece!

16 VI 1943

Łażę na te zastrzyki, gorączkuję i snuję się po domu jak mucha w mazi albo leżę na wyrku i nawet mi się nie chce czytać, a co dopiero pisać. Znowu zawałam szkołę.

26 VI 1943

Koniec budy. Dwa miesiące spokoju. Duża ulga. Moje świadectwo... No cóż, widywało się lepsze. Na oko nie jest nawet takie złe, tylko trzy tróje, z matmy, fizy i łaciny. Mama jest całkiem zadowolona, bo nie wie, że te trójczyny kompletnie się chwieją i jeśli stracą równowagę, to będą z nich zwyczajne lufy. Cóż, przyszłość pokaże. Tymczasem są wakacje i od razu ogarnia mnie takie rozleniwienie, że nawet tu, w tym brulionie, piszę wolniutko. Ledwo-ledwo trzymam pióro, a litery rozciągają się jak glisty. Jest mi zupełnie błogo.

3 VII 1943

Pojechałyśmy z mamą do Leśnej Podkowy do państwa Marynowiczów. Niby to na jeden dzień, a zostałam trzy. Nie miałam na to wielkiej ochoty, ale mama powiedziała, że parę dni na wsi to dla mnie skarb i mam nie grymasić. Było zresztą całkiem przyjemnie, tylko w nocy nie mogłam spać – gorąco. Domek jest kryty papą i bardzo się w ciągu dnia nagrzewa. Tego zeszytu nie miałam ze sobą, więc cały czas czytałam „Faraona”. (Po raz drugi zresztą.) Bardzo mi żal Ramzesa. Naturalnie, że nie zawsze był rozsądny, a już jego postępowanie z kobietami zupełnie mi się nie podoba, ale chciał dobrze dla swego ludu i starał się ukrócić tych wstrętnych kapłanów. Tylko był strasznie samotny. Jeżeli nawet ktoś mu pomagał, to albo dla własnych celów, albo z przyjaźni, ale tak naprawdę nikt go nie rozumiał. Chyba dlatego musiał zgimnąć.

Kiedy tak leżałam i nie mogłam zasnąć, to dużo myślałam o mamie i o tym, że jak pisałam o niej w tym pamiętniku, to zaraz zaczynałam się złościć. Większość naszych rozmów kończy się w ten sposób, że ja robię się arogancka, a mama wychodzi z pokoju, a czasem nawet z domu. Nie wiem, dlaczego tak jest. Kiedy dzieje się coś złego, jak na przykład w czasie tej strzelaniny, wtedy nagle czuję, jak bardzo ją kocham. Mam okropne wyrzuty sumienia i przysięgam sobie, że się poprawię. Gdy o tym wszystkim myślę na spokojnie i patrzę na nas obie

trochę „z boku”, dochodzę do wniosku, że jestem dla niej po prostu niedobra. W niczym jej nie pomagam, moją niegrzecznością zatruwam każdą wolną chwilę, o byle co urządzam sceny. I dlaczego ja to robię? Przecież chciałabym być dobra. Chyba po prostu mam bardzo zły charakter.

Dzisiaj rano byłam u Alicji. Obie z Wiśką dopiero pojutrze jadą do Konstancina. A mnie znudziło się wieczne siedzenie w domu i chciałam pogadać. Mówiliśmy o książkach, między innymi o „Faraonie” i Alicja wykpiła moją sympatię dla Ramzesa. Stwierdziła zdecydowanie, że jest po stronie kapłanów, ponieważ tylko oni byli mądrzy i dzięki temu silniejsi. Zapytałam, dlaczego uważa, że Ramzes był głupi. Roześmiała się i odrzekła, że to przecież zupełnie jasne: gdyby miał trochę oleju w głowie, to szedłby ręka w rękę z kapłanami przynajmniej do czasu, aż osiągnie pełnię władzy i pozna ich wszystkie sekrety i zamiary. Wtedy mógłby twardo wziąć ich w garść i wykorzystać do swoich celów. Zaczęła mi dawać przykłady różnych posunięć faraona i rzeczywiście – nie mogłam się upierać, że były one sprytne albo rozsądne. Oponowałam, że chciał dobrze i był szlachetniejszy niż kapłani. Ale Alicja machnęła ręką:

– No i widzisz, jak wyszedł na tej szlachetności. W polityce to się nie liczy.

Jakoś nie przyszło mi przedtem do głowy, że to, co się działo w starożytnym Egipcie, można by nazwać polityką. Alicja musiała to zauważyć.

– Tak, tak, moja kochana. Walka o władzę to jest właśnie polityka i szlachetnością się jej nie wygrywa. Kapłani to rozumieli, dlatego jestem po ich stronie. A w ogóle każdy rozsądny człowiek stanie zawsze po stronie silniejszego.

Wydało mi się to takie okropne, że zaczęłam krzyczeć, dlaczego wobec tego ona sama nie jest po stronie niemców? Co robi wśród Polaków? A przede wszystkim – dlaczego należy do „Lasu”? Odpowiedziała zupełnie spokojnie:

– Niemcy są silniejsi tylko w tej chwili. Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że w końcu muszą przegrać. „Las” ma swój sens jak wszystko, co do tej przegranej doprowadza. I wymaga ryzyka, a ja uważam, że bez ryzyka życie nic nie jest warte.

Trochę mnie przekonała, ale nie bardzo. Nie potrafię zachwycić się kapłanami, ale po tej rozmowie nie mogę już tak lubić Ramzesa, jak lubiłam.

Wobec Alicji bardzo często czuję się tak, jakbym była dużo młodszą, chyba dlatego, że ona jest bardzo inteligentna, dużo bardziej niż ja. W rzeczywistości dzieli nas tylko rok. Ja poszłam do szkoły mając lat sześć, ona – siedem, więc wylądowałyśmy w jednej klasie. Rozmowy z Alicją prawie zawsze kończą się tak jak dzisiejsza: nigdy nie jestem całkiem pokonana i przekonana, ale równocześnie coś, co przedtem mi się podobało – zaczyna mi się podobać mniej, a to, w co wierzyłam bez zastrzeżeń – przestaje zasługiwać na wiarę.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy Alicja nie byłaby dla mnie „tematem”. Ale nie. Nie mogę pisać charakterystyki (to brzmi jak wypracowanie z lektury) mojej jedynej w życiu przyjaciółki (byłej przyjaciółki), bo chyba nie umiałabym zrobić tego prawdziwie i uczciwie. Jeszcze przed rokiem Alicja wydawała mi się kimś zupełnie innym niż teraz, odkąd trzyma się z Wišką.

Ja Wiškę bardzo lubię, ale we trzy gada się już inaczej, dużo gorzej. Był czas, kiedy było mi smutno i dużo płakałam, zdaje się, że z zazdrości o Alicję. Teraz już przyzwyczałam się do tego, że jestem bardziej sama, i nawet zaczyna mi się to podobać.

Alicja jest zupełnie inna niż ja i reszta dziewczynek. To dlatego, że ona ma wyjątkową indywidualność. Tego pojęcia też nauczyłam się od niej. Któregoś dnia, po zebraniu „Lasu”, Alicja zapytała nagle:

– Słuchajcie, jak myślicie, co jest najważniejsze w człowieku?

Milczałyśmy zaskoczone tym pytaniem, ale przyciskała nas do muru:

– No mówcie, mówcie. Kryśka, jak myślisz, jaka jest największa zaleta?

Wypytywała nas po kolei, jak na lekcji. Wymieniałyśmy różne cechy: dobroć, mądrość, odwagę. Wiśka powiedziała: „ofiarność”. Alicja śmiała się i kręciła głową. Wreszcie rzekła:

– Moim zdaniem najważniejsza jest indywidualność.

Wy tłumaczyła nam dokładnie, co to znaczy, i dodała, że ona stara się w sobie wyrobić indywidualność jak najsilniejszą. Od tego czasu bardzo często słyszę z jej ust: „Ona ma sporą indywidualność” albo „O, ona nie ma żadnej indywidualności”. O mnie Alicja twierdzi, że mam. Ale mniejszą niż ona.

Myślę, że Alicja nie ma racji. Indywidualność jest ważna, ale jeśli ktoś ma jej za dużo, a nie ma innych zalet, to wtedy powstaje taki właśnie Hitler.

Hitler śni mi się czasem. Zawsze tak samo. Prowadzi samolot, który leci prosto na mnie. Widzę dokładnie jego złe oczy, wąs, „ząbek” na czole. Budzę się mokra w momencie, kiedy dziób samolotu jest o metr ode mnie. Nigdy nie bałam się nalotów, ale bardzo boję się tego snu.

7 VII 1943

Dziś był dzień zupełnego dzieciennienia! Rano przyszedł Młodszy Bliźniak i bawiliśmy się w podróż dookoła świata. Jechaliśmy samochodem, zrobionym z tapczanu i stolika, przez Francję nad Ocean Atlantycki, gdzie przesiedliśmy się na statek i popłynęliśmy do Ameryki. W drodze było dużo przygód, ale same niewielkie i przyjemne. Wprawdzie Kryś chciał, aby nasz statek był „Titanikiem” i żeby zatonął po zderzeniu z górą lodową, a my żebyśmy się uratowali na szalupach, ale ja nie miałam ochoty na żadne takie przeżycia, więc góry lodowe mijaly nas w bezpiecznej odległości. Po przybiciu do wybrzeży Ameryki Kryś poszedł na obiad. Umówiliśmy się, że gdy znowu, tak jak dziś, będzie padał deszcz, odbędziemy następny etap tej podróży.

Mama wróciła dzisiaj wcześniej, bardzo z czegoś zadowolona. Przy stole wesoło rozmawiałyśmy, a po obiedzie postawiła przede mną talerzyk pierniczków w czekoladzie! Ostatni raz jadłam czekoladę przed wojną i już nawet nie pamiętałam, jakie to pyszne! Same pierniczki też nie były z marchwi czy z czego tam się je robi, tylko zupełnie inne.

Okazało się, że jedna znajoma pani, która także została bez męża, pracuje u „Wedla” i dostaje miesięczny przydział słodczy wyrabianych tylko dla Niemców. Mama kupiła od niej te pierniki, ponieważ dostała duże zamówienie na dulcynę i – jak powiedziała – od razu poczuła się strasznie bogata. Dulcyna jest obrzydliwa, jeszcze gorsza od sacharyny, ale panuje przekonanie, że jest zdrowsza, więc niektórzy ludzie ją wolą. Wyrabianie dulcyny (z fenacetyny i mocznika – wiem, bo mama stale poszukuje tych składników) musi się odbywać w porządnym laboratorium i w tym właśnie jest cała trudność. Mama pichci dulcynę na Politechnice, chociaż dawnym pracownikom nie wolno teraz wchodzić na teren uczelni. Woźni, znający świetnie mamę i jej współnika, wpuszczają ich oczywiście bez przeszkód, ale trzeba to wszystko robić tak, żeby Niemcy nie zauważyli. Nie wiem dokładnie, jak oni sobie radzą, mama wspominała coś, że się przenieśli do piwnic. Powiada, że robi dulcynę po to, abyśmy mogły pić herbatę z cukrem.

Bardzo lubię herbatę z „Herbapolu”, bardziej niż z karmelu, a dużo bardziej niż tę przedwojenną. W ostatnią Wigilię, którą spędziłyśmy z panem Borkowskim, mama zaparzyła herbatę z lizbońskiej paczki i wtedy okazało się, że wcale mi ona nie smakuje. Mama powiedziała: „wojenne dziecko” i chyba się trochę za mnie wstydziła, a pan Borkowski śmiał się jak szalony i twierdził, że to jest jeszcze jeden dowód, jak bardzo wszystko jest względne.

Minęły już dwa tygodnie wakacji, a ja nic nie robię. Trochę tylko piśzę i bardzo dużo czytam. Mam mnóstwo książek, bo po pierwsze – swoje własne, które, jak na przykład „Skarb” Żurakowskiej czy „Drugą bramę” Górskiej, czytuję w kółko na okrągło; po drugie – bibliotekę rodziców; a po trzecie – książki zakazane. Książki zakazane przechowuje u nas znajoma pani, która prowadzi wypożyczalnię. Kiedy Niemcy ogłosili listę książek, które należy spalić, do nas zjechało kilkaset tomów. Właśnie skończyłam czytać „Na Zachodzie bez zmian” – o tamtej pierwszej wojnie. Czy i o obecnej będzie się w przyszłości pisać książki? Chciałabym za kilka albo kilkadziesiąt lat poczytać sobie jakąś powieść, której akcja rozgrywa się w 1943 roku w Warszawie, zastanawiać się nad tym, czy autorowi udało się odtworzyć nastrój tych czasów, i wymądrzać się, że jego bohaterowie są nieprawdziwi i zachowują się nie tak, jak my się dziś zachowujemy. Mam trochę książek z czasów poprzedniej wojny, w których wszyscy są bardzo bohaterscy i na ogół zupełnie inni niż my.

Popielewko, 15 VII 1943

Minął tydzień, chyba najtrudniejszy w moim dotychczasowym życiu. Nie, nie tak... Minął tydzień od najstraszniejszej nocy, jaką dotąd przeżyłam... Nie potrafię opisać, co czułam. Więc przynajmniej same fakty.

Pisałam już, że był to taki wesoły, pogodny dzień. Po obiedzie mama poszła do miasta. Wróciła późno, zmieniona na twarzy i zaraz zatelefonowała do państwa Borzęckich z zapytaniem, czy może przysłać mi i Jadzię na noc. Słyszałam, jak mówiła:

– Nie, ja nie mogę, muszę zrobić porządki, przyjdę rano... mam nadzieję.

Kazała nam szybko spakować najpotrzebniejsze rzeczy, trochę bie-

lizny, parę sukienek, sweter, przybory toaletowe. Zabrałam też ten pamiętnik.

Właściwie już wtedy wiedziałam, co się stało. Nie zapytałam o nic. Nie prosiłam, aby szła z nami, wiedziałam, że nie pójdzie. W przedpokoju wcisnęła mi do ręki mały neseser:

– Otworzysz go jutro rano, jeżeli pani Borzęcka ci powie...

Nie musiałam pytać, co mi powie pani Borzęcka. Byłam jak z drewna. Także i wtedy, kiedy mnie przytuliła i trzymała mocno przy sobie, a potem odepchnęła:

– Idźcie!

Nie pamiętam, czy się pocałowałyśmy.

Pani Borzęcka przygotowała mi pościel na klubowej kanapie w pokoju pana Borzęckiego, chociaż Baśka, która nic nie rozumiała, błagała, żebyśmy spały razem. Ale pani Borzęcka huknęła na nią:

– Odczep się, ona nie jest zupełnie zdrowa, ma gorączkę. I żebym cię tu więcej nie widziała.

Ona jest mądra, rozumiała, że nie będę mogła rozprawić z Baśką o głupstwach ani o tym, co się dzieje. Bardzo, bardzo jestem jej za to wdzięczna, a jeszcze bardziej za to, że przed samą godziną policyjną zadzwoniła (z poczty, nie z domu) do mojej mamy. Wtedy jeszcze nic się w domu nie działo. Ale przed nami była cała noc. Myślałam o tym, że oni przyjeżdżają najczęściej nad ranem i że do tego czasu mama zdąży chyba oczyścić mieszkanie. Ale mogli też zjawić się w każdej chwili. Nagle przypomniałam sobie, że papiery „Lasu” schowane są w pudełku z grą w „Grzybobranie”, mama może ich wcale nie znaleźć i przez takie głupstwo będzie nieszczęście. Chciałam zatelefonować i powiedzieć jej o tym, ale nie mogłam. Pani Borzęcka proponowała mamie, aby co godzina dzwoniła do mnie. Telefon stoi u nich obok kanapy, mogłabym go odbierać przez całą noc. Mama nie zgodziła się. Na pewno bała się narażać państwa Borzęckich, bo gestapo – pierwsza rzecz – kontroluje wszelkie rozmowy. Uważała, że i tak jest nie w porządku, ponieważ już raz dzwoniła do nich, ale zrobiła to tylko dlatego, że chodziło o mnie. „Taka jest właśnie twoja matka” – powiedziała pani Borzęcka.

Więc nic nie mogłam zrobić. Siedziałam i czekałam. Pani Borzęcka zaglądała do mnie od czasu do czasu, ale nie gonila mnie do łóżka i nie obraziła się, kiedy powiedziałam, że chcę być sama. Ja musiałam być sama, bo gdybym zaczęła z kimś rozmawiać o tym, co się dzieje, to na

pewno zaczęłabym płakać, a od razu na początku powiedziałam sobie, że jeżeli się rozplacę, to stanie się coś złego. Staralam się w ogóle nie myśleć o mamie, bo wiedziałam, że jeżeli wyobrażę ją sobie w pustym domu samą, palącą papiery, albo ją i tych zbirów, to chyba zacznę głośno krzyżeć. Wtedy udało mi się wytrzymać, becę za to teraz. Ale to już nie ma żadnego znaczenia. Na szczęście!

Próbowałam czytać, ale nawet nie wiem, co za książki brałam z szafy bibliotecznej.

Nad ranem zrobiłam coś okropnego. Nie mam ochoty o tym w ogóle pisać, ale uważam, że powinnam, choćby za karę. Otworzyłam neseser.

Z tym neseserem schodzimy zawsze do piwnicy w czasie nalotów, więc wiedziałam, że są w nim same najważniejsze rzeczy, wszystkie dokumenty naszej rodziny oraz „resztki magnackiej fortuny”, jak mówi mama, czyli nie sprzedane dotąd złote drobiazgi i pieniądze. Ale wtedy na samym wierzchu leżała rzecz straszna: dwie szare, zalakowane koperty. Jedna z nich była zaadresowana do stryja Ludomira, a druga nosiła napis: „Dla Ewy. Otworzyć tylko w razie mojej śmierci lub aresztowania”.

Nie wiem, dlaczego wspomnienie tych kopert przeraża mnie znacznie bardziej teraz, niż wtedy przestraszył mnie ich widok. Doskonale rozumiałam, że w liście do stryja jest prośba o zaopiekowanie się mną, a w liście do mnie mama napisała różne ważne rzeczy, które mają mi się przydać, kiedy zostanę sama. Patrząc na zegar wskazujący godzinę trzecią, pomyślałam tylko: „za jakieś pięć, sześć godzin będę musiała to przeczytać” i nawet tej myśli jakoś się nie zlekłam. Grzebałam w neseserze, czytałam różne papierzyska, dowiedziałam się, że Tatuś zdał egzamin końcowy ze studiów z wynikiem „dobrym”, i zrobiło mi się przykro, ponieważ mama miała „bardzo dobrze”. Później wszystko porządnie spakowałam, szare koperty położyłam na wierzchu i zamknęłam walizczkę. Bardzo starałam się nie usnąć, to byłoby podłe wobec mamy, gdybym spała. Było mi zimno i szczękałam zębami.

Opisuję to dokładnie, bo niedługo pewnie zapomnę wszystko poza tym jednym: że była to straszna noc. Będzie mi się wydawało, że myślałam o różnych rzeczach, o których wcale nie myślałam, albo że czułam coś, czego w ogóle nie czułam. A poza tym nie rozumiem jednego: że w ciągu tej nocy najpierw przez wiele godzin myślałam, że zwariuję ze strachu o mamę, a później zrobiło mi się wszystko jedno i bezmyśl-

nie przeglądałam dokumenty. Chcę mieć możliwość zastanowienia się nad tym, jak już będę starsza.

O pół do piątej przyszła pani Borzęcka i przyniosła mi filiżankę gorącej, pachnącej kawy. Pierwszy raz piłam prawdziwą, nie zbożową, kawę. Później siedzieliśmy razem na kanapie, ona przytuliła mnie do siebie i troszeczkę kołysała mną to w lewo, to w prawo. Musiałam się bardzo pilnować, żeby nie zasnąć. O szóstej przyszła mama.

Wyjechałyśmy do Popielewka prawie natychmiast, zanim u Borzęckich ktokolwiek się obudził. W pociągu cały czas spałam, przespałam też pierwszy dzień w Popielewku i noc, która po nim nastąpiła. Przez cały ostatni tydzień nie miałam najmniejszej ochoty na opisywanie tego wszystkiego, dziś też robię to tylko z nudów.

Popielewko, 16 VII 1943

Byłyśmy razem tylko dwa dni, ten przespany i następny. Trzeciego – mama pojechała do Warszawy. Teraz co wieczór o tej samej porze telefonuje do mnie. Idę spać z porcją nadziei i spokoju, rano wstaję i zaczynam czekać. Próbuję myśleć o innych sprawach, czasem to się udaje, ale częściej nie.

Nie wiem, co mama robi w Warszawie, z kim się widuje i gdzie mieszka. Powiedziała mi tylko, że o wszystkim dowiem się w razie czego od pani Borzęckiej. „W razie czego”! Wiadomo – w razie jakiego czego! Mam już dość, nie chcę się tak bać, chcę, żebyśmy znowu były razem w domu! Ten cholerny nesesor został tu, ze mną, nienawidzę go razem z tym wszystkim, co w nim siedzi! Czy mama musi się w to mieszać? Czy nie może, jak pani Barzęcka, zajmować się tylko domem i swoim dzieckiem? Ciocia Hania też tak uważa, bo powiedziała: „Naprawdę powinnaś, Paulo, trzymać się od tego wszystkiego z daleka. Masz Ewę i musisz ją wychować”!

Jestem świnia, świnia, świnia! Świnia i histeryczka. Napisałam wstrętne rzeczy. Bo kiedy mama odpowiedziała: „Gdybyśmy wszystko zostawiali bezdziejnym, to nie wiem, czy nasze dzieci chciałyby się do nas w przyszłości przyznawać” – byłam całkowicie po jej stronie, byłam z niej dumna, byłam okropnie zadowolona, że dała po nosie cioci Hani, która nie ma dzieci, a żyje tak, jakby wojny w ogóle nie było. Sama nie wiem, czego chcę, wiem tylko, że jest mi źle i smutno.

Ładnie tu jest w tym Popielewku. Piękny i stary jest park należący

do SGGW; właśnie leżę na kocu, trochę piszę, trochę czytam („Człowiek, istota nieznaną” Carella*, bardzo to trudne i niektóre kawałki opuszczam) i patrzę na małego błotnego żółwia cioci, którego zabrałam z oranżerii. Wędruje toto po kocu, kiwa swoją starą główką, na chudej szyjce kołysze mu się fałd skóry. Muszę go pilnować, żeby gdzie nie polazł. Trawa tu jest duża, nie koszona, pełno w niej białych wielkich rumianów i czerwonej koniczyny. Pachnie to wszystko. Brzęczą małe, czarno i żółto pręgowane osy, czasem z drzew spadają włochate gąsienice. Na bie odkryłam gąsienice-olbrzymy, zielone i nagie, zakończone kolcem, kiedyś takie hodowałam, z poczwerek wykluwały się wielkie beżowe ćmy. Gdyby to były normalne wakacje w Popielewku, znowu założyłabym sobie hodowlę różnych odmian. Ale teraz to nie ma sensu.

Staram się jak najmniej siedzieć w domu. Ciocia Hania (krewna ze strony mamy) jest miła i lubię ją, ale jej mąż, stary i bardzo ważny profesor od czegoś tam, nie cierpi dzieci i młodzieży, a w ogóle bardzo źle znosi obecność obcych. Mama prosiła, abym starała się jak najmniej zakłócać mu spokój. Staram się.

Trochę sobie wspominałam przedwojenne czasy, kiedy było nam dobrze i chyba musiałam się czuć szczęśliwa, tylko tak to się jakoś składało, że ciągle przypominały mi się same nieprzyjemne rzeczy. Na przykład to, że Fräulein Gertrud dawała mi Ohrfeigen, czyli biła mnie po twarzy. Albo że szczypałam w złości babunię. I że na wakacjach w Hańczy, przed samą wojną, starsze dzieciaki nagadały na mnie, że wybiłam szybę w jadalni, i jeszcze podrzuciły tam moją piłkę. I że tak okropnie bałam się ciemności. W końcu od tego wspomnienia zrobiło mi się jeszcze smutniej.

Wieczorem

Był telefon od mamy, wszystko w porządku.

Popielewko, 17 VII 1943

Tamtej nocy jednak udało się mamie znaleźć papiery „Lasu” i spalić je. Będzie trzeba jakoś o tym dziewczętom powiedzieć, jeszcze nie

* A. Carell – autor znanych przed wojną książek przyrodniczych.

wiem jak, ale do jesieni coś wymyślę. A może wcale nie będzie trzeba o tym mówić. „Las” funkcjonował ostatnio coraz słabiej. Mama spytała mnie, czy to spalenie papierów to dla nas duża strata, odrzekłam, że chyba nie, a wtedy powiedziała: „Wyrosłyście już z tego, prawda?”

Zdaje się, że naprawdę wyrosłyśmy i może z tego powodu tak mi się nie chce o tym pisać. Ale „Las” to na pewno jest „temat”, więc może warto się przemóc.

Powstał dawno temu, kiedy byłyśmy w połowie szóstej klasy. Pomysł wyszedł oczywiście od Alicji, która przyszła z nim do mnie. Najpierw długo gadałyśmy we dwie, później ustaliłyśmy listę dziewczynek z klasy mogących się do tego nadawać, wreszcie zwołałyśmy zebranie. Alicja wytłumaczyła, że chodzi nam o to, aby nie siedzieć z założonymi rękami, kiedy wszyscy walczą, tylko także coś robić w miarę naszych możliwości. Ponieważ nie istnieje harcerstwo, więc proponujemy założenie czegoś w rodzaju zastępu harcerskiego. Zgodziły się wszystkie.

„Las” zresztą nie przypomina wcale harcerstwa. Nie mamy żadnych przykazań w rodzaju „harcercz nie pije, nie pali” i coś tam jeszcze, bo i tak nie pijemy i nie palimy. Nie śpiewamy piosenek, żadnych tam takich „Płonie ognisko”, bo szkoda czasu, a zresztą skąd wziąć ognisko. Nie mamy zastępowej ani przewodniczącej, wszystko załatwia się zbiorowo na zebraniach. Zebrania odbywają się u mnie co tydzień (teraz jest przerwa z powodu wakacji), a wnioski, postanowienia i sprawozdania z wykonanych zadań zawsze się protokołowało (ja byłam sekretarzem) i te właśnie protokoły mama spaliła. Nazwa „Las” wzięła się od tytułu filmu „Młody las”, podobno bardzo fajnego, o młodzieży. Nam się spodobała, bo jest zwyczajna. Marychna, pamiętam, proponowała „Orły” i mnie się zrobiło wstyd i głupio. Wtedy któraś przypomniała tamten film, a z tego zrobił się po prostu „Las”.

Robiłyśmy różne rzeczy. Pisałyśmy i rysowałyśmy kredą na murach, kładłyśmy kwiaty pod pomnikami w dniach świąt narodowych, opiekowałyśmy się opuszczonymi grobami poległych. Naturalnie, że to było naśladowanie tego, co inni już wcześniej wymyślili, ale uważałyśmy, że im więcej na ścianach domów będzie tych żółwi (każdy wie, że to znaczy „pracuj powoli”) i kotwic utworzonych z liter P i W (każdy wie, że to znaczy „Polska Walczy”) – tym lepiej. Trochę też zajmowałyśmy się osobami szczególnie skrzywdzonymi przez Niemców.

Krystyna z Anką, dobre matematyczki, wyciągnęły z dwój Iwonę,

której rodzice siedzą już od roku w koncentraku. Ja z Alicją pomagałyśmy trochę jednej starszej pani, której mąż zginął w Palmirach, a syn jest w Anglii; chodziłyśmy po zakupy, a czasem paliłyśmy jej w piecu. W zeszłym roku najwięcej robiłyśmy w „Akcji Patronat”.

„Akcja Patronat” urodziła się na lekcji robót zupełnie zniecka. Zawsze wiadomo było, że roboty to nie jest prawdziwy przedmiot i pani Żabczyńska niewiele zdołała nas nauczyć. Chyba nie pisałam dotąd o tym, że nasza szkoła nazywa się oficjalnie Zawodowa Szkoła Krawiecka i chociaż pod tym szyldem działa normalne gimnazjum, to jednak lekcje robót nie mogą być tylko na papierze – Szkoła Krawiecka musi wykazać się wynikami. W minionym roku szkolnym w pierwszej klasie krawieckiej (a drugiej gimnazjalnej) w programie było głównie robienie szydełkiem i na drutach. Ten przedmiot nazywał się „dzianiny”. Z początku interesowało nas jedynie, jak brzmi odpowiedni czasownik: czy należy mówić „ja dziam, ty dziasz, on dzia”, czy „ja dzieję, ty dziejesz, on dzieje”, czy też „ja dziaję, ty dziajesz, on dziaje”. Reszta obchodziła nas tyle, co zeszłoroczny śnieg. Nasze szaliki przypominały falbany, a czapki pasowały na główkę niemowlęcia lub – przeciwnie – na krowi łeb. Wtedy zmartwione Żabsko bąknęło, że te nasze twory, gdyby się nadawały do noszenia, mogłyby się przydać więźniom. Nas w pierwszej chwili zupełnie zatkało, a później zażądałyśmy wyjaśnień. Żabsko próbowało kręcić, ale wreszcie wyznało, że nasza szkoła jest w kontakcie z organizacją opiekującą się więźniami, która nazywa się Patronat. Ciepłe rzeczy potrzebne są i na Pawiaku, i dla ludzi wywożonych do Niemiec, i dla żyjących w nędzy rodzin aresztowanych czy pomordowanych.

Na następnych robotach wszystkie miałyśmy nieskazitelnie równe szaliki i czapki o normalnych wymiarach. W ciągu roku szkolnego zrobiłyśmy mnóstwo nauszników, rękawic, skarpet, a nawet kamizelek. My – to znaczy „Las” – zorganizowałyśmy poważne źródło surowca. To był zresztą mój pomysł, bo jedna z moich ciotek (po Tatusiu) utrzymuje się z tego, że wyrabia samodzielnie na warsztacie tkackim i zna mnóstwo innych pań, które robią to samo. Przy tej pracy, choćby się nie wiem jak starannie wymierzyło długość osnowy i wątku, zawsze trochę wełny zostaje. Przedtem te panie zużywały swoje resztki na tkanie pasiastych szaliczków, ale podobno głównie po to, żeby się wełna nie marnowała, bo przy szalikach jest dużo pracy, a zarobek niewielki. Teraz, odkąd usłyszały o więźniach każda oddaje swoje kłębuszki.

Czasem trafiają się duże, wielkości pomarańczy, ale najczęściej są takie jak kasztany. To nic nie szkodzi, teraz pasy są bardzo modne, a nasze dzianiny są bajecznie kolorowe i najważniejsze, że ciepłe.

Później przyszło nam do głowy, że Patronatowi przydadzą się też pieniądze. W naszej szkole duża pauza jest bardzo długa, bo część uczennic chodzi w tym czasie do RGO na obiady. W czasie tych przerw w budzie dzieją się na ogół dzikie rzeczy, a wrzask jest taki, że przechodnie na placu Unii zadzierają głowy i z niepokojem patrzą, co też tam się stało na pierwszym, drugim i ósmym piętrze. Pewnie dlatego pani Przełożona bez oporów wyraziła zgodę, kiedy zaproponowałyśmy, że będziemy na dużych pauzach organizować widowiska. Robiliśmy je trzy razy w tygodniu, ciężko harując przez parę miesięcy. Wystawialiśmy jednoaktówki, składanki, dialogi, skecze. Teksty były bardzo różne, od scen z „Kordiana” i „Warszawianki” (duży sukces!), przez „kawałki” znalezione w przedwojennych czasopiśmie, aż po twórczość własną, czyli dość nudną szopkę wypoconą przez spółkę autorską – Wiśka i ja.

Wreszcie wyczerpałyśmy wszystkie pomysły, a cała sprawa skończyła się dużym skandalem. Kiedy zupełnie już nie mogłyśmy nic wymyślić, Alicja znalazła „znakomite” rozwiązanie. Na afiszu (bo zawsze były i afisze) wypisałyśmy:

TAJEMNICZY TRUP W WANNIE

czyli

ROMANS PANI HRABINY

i podniosłyśmy cenę biletów. Frekwencję miałyśmy tego dnia zupełnie nadzwyczajną: przyszli dosłownie wszyscy, niektóre dziewczęta nie poszły na obiad, zjawiała się nawet część ciała P. (pedagogicznego). Sama sztuka była bardzo prosta. W zaciemnionym kącie sali gimnastycznej, służącym nam zawsze za scenę, stał stół, a na nim leżała Kryśka przykryta płaszczem, to jest kołdrą. Wiśka stała nad nią i pytała:

– Dlaczego leżysz w łóżku, mój ojczu, skoro mamy wystawiać sztukę pt. „Tajemniczy trup w wannie, czyli romans pani hrabiny”?

– Dlatego, że jestem chory, moje dziecko – odpowiedziała Kryśka.

– Czy jesteś bardzo chory, mój ojczu?

– Jestem bardzo, bardzo chory, moje dziecko.

Wówczas Wiśka wystąpiła na przód sceny i oznajmiła:

– Państwo wybaczą, ale z powodu ciężkiej choroby mego ojca przedstawienie się nie odbędzie.

Krystyna zlaźła ze stołu, zabrała palto i obie spokojnie wyszły bocznymi drzwiami. Na widowni panowała przez jakiś czas martwa cisza, a później rozległ się nieludzki ryk. Zdążyłyśmy dopaść klasy i zasunąć drzwi szafą z eksponatami mineralogicznymi dosłownie w ostatniej chwili, kiedy w szkole szalało już piekło. Ponad sto pięćdziesiąt dziewczyn postanowiło obedrzeć nas ze skóry. Przez następne piętnaście minut, potwornie przestraszone, podpierałyśmy szafę, pomagała nam zresztą solidarnie cała klasa. Nacierającym nie udało się nas odepchnąć: na szczęście korytarz jest wąski i szturmować szafę mogło równocześnie nie więcej niż kilkanaście dziewcząt. Drzwi naszej klasy otwierają się niestety na zewnątrz, więc ta szafa była naszym jedynym ratunkiem. Przez cały czas kolebała się we framudze to w przód, to w tył, ale jakoś stała. Aż nagle natrafiła na próżnię, chybnęła się do przodu i runęła na korytarz z potwornym hukiem i brzękiem tłukących się szyb. Nie mogłyśmy wiedzieć, że, zwabiona wżaskiem, ukazała się na korytarzu Przełożona i że nasze przeciwniczki pierzchnęły jak zdmuchnięte. My, nieszczęsne idiotki, pchałyśmy oczywiście dalej.

Konsekwencje tego były, i owszem, ale nawet nie takie straszne. Zresztą nie o szkole mam pisać, tylko o „Lesie”.

Za działalność artystyczną uzbierałyśmy jednak sporo grosza, nawet po odrzuceniu zarobku za „Trupa w wannie”, który kazano nam zwrócić, mówiąc jednocześnie sporo o nieuczciwości, wojennej demoralizacji i o tym, że nie każdy cel uswięca środki. Pieniądze przekazywałyśmy, jak nam poleciło Żabsko, Irce z obecnej drugiej licealnej, a ja, jako sekretarz, notowałam kolejne kwoty.

Po tamtej historii przedstawienia na przerwie skończyły się bezprowrotnie i trzeba było wymyślić coś nowego. Były różne propozycje, największe jednak uznanie zdobył pomysł moim zdaniem potworny: założenie kącika wróżb i przepowiedni. Mnie powierzono jego obsługę. Kochany „Las” naznosił mi pełno senników egipskich, broszurek o czarnej magii, o wróżeniu z kart i z ręki. Teraz jestem już poważnym specjalistą od tych spraw, wiem, że jak się śni dziecko – to zmartwienie, a dziecko w bieli – to nieszczęście; że robactwo znaczy pieniądze, czysta woda – powodzenie, mętna zaś – intrygi i ploty. Ślub to śmierć. Śmierć to długie życie. Itd., itp. Umieję kłaść kabałę metodą sześciu kupek: dla ciebie, dla domu, dla serca, dla sprawy, o której myślisz, co się stać musi, co cię bezwarunkowo nie minie. Nie wiem tylko, jaka jest różnica między znaczeniem dwóch ostatnich kupek, i zawsze się

bałam, że mnie ktoś o to zapyta. Potrafię też wróżyć z ręki, a zwłaszcza dobra jestem w ocenie charakteru i zdolności. W tych sprawach najczęściej zresztą kłamię, bo postanowiliśmy nie zrażać klienteli.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy roku szkolnego wszystkie duże pauzy spędziłam w ciemnej, dusznej szatni, bredząc przez czterdzieści pięć minut jak Piekarski na mękach. Moje drogie koleżanki tylko zbierały pod drzwiami forsy i pilnowały porządku. Jak potem przychodziłam na lekcję, to miałam w głowie same linie życia, blondynów i fałszywe przyjaciółki. A ponieważ impreza ta nie była zbyt dochodową, więc wystawiłyśmy jeszcze prawie dwugodzinną sztukę Porazińskiej „Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami”. Ja grałam w niej dwie role, to znaczy dwa razy wchodziłam, nic nie mówiąc, na scenę. „Las” doszedł do wniosku, że i tak mam dużo pracy przy wróżbach. Małpy!

Na próbie generalnej była pani Przełożona, zdaje się, że po „Trupie hrabiny” nie miała do nas pełnego zaufania, ale wyszła zadowolona. Przedstawienie powtórzyłyśmy dwa razy. Przy pełnej widowni i z dużym sukcesem kasowym, bo bilety były drogie. A na koniec roku urządziliśmy jeszcze bal maskowy dla czterech najmłodszych klas. Były czarne maseczki, kolorowe kapelusze i loteria fantowa. Te maluchy musiały oczywiście za wszystko płacić i forsy nazbierałyśmy sporo.

Co do mnie, to tyle miałam tej roboty, że gdyby nie Anka, dostałabym na cenzurze dwie lufy.

Właściwie Ankę lubię co najmniej tak samo jak Wiśkę i Alicję, a w dodatku ją podziwiam. Ogromnie zdolna, wie mnóstwo, a ponieważ jest cicha i małomówna, więc nie pcha się naprzód. Niektóre nauczycielki już ją znają z tej strony i kiedy cała klasa nie umie odpowiedzieć na jakieś pytanie, zwracają się do niej. Na przykład pani Kajkowa pytała ostatnio, czy wiemy, kto to byli Lacedemończycy. Wszystkie milczały. „A ty, Aniu?” Anka wstała i powiedziała, że to to samo co Spartanie. A kiedy w piątej czy szóstej klasie powszechniaka padło nazwisko Szekspir, też tylko jedna Anka wiedziała, że pisze się Shakespeare. Uczy się bardzo dobrze, a najlepsza jest z przedmiotów ścisłych i z łaciny, najobrzydliwiej ścisłej ze wszystkiego na świecie.

Już trzeci dzień piszę o „Lesie” i nie mogę skończyć. Ten „temat” nie ma zresztą końca. „Las” istnieje nadal, boję się tylko, że na najbliższy rok nie wystarczy już nam pomysłów. Na ostatnim zebraniu przed wakacjami próbowałyśmy ułożyć plan działania na przyszłość i nic z tego nie wyszło. Wszystko, co nam przychodziło o głowy, było oklepane i

gorsze od tego, co już było. Ja osobiście mam już dość tych przedstawień i zabaw, nie mówiąc o wróżbach. Niedługo skończę czternaście lat. Alicja i Wiśka mają już po piętnaście, czas chyba, żebyśmy zaczęły robić coś serio. Nie wiem tylko zupełnie, do kogo można by się zwrócić w tej sprawie. Przecież nie do mamy. Nie zgodziłaby się za żadne skarby. Ciągle się trzęsie nade mną, jak nad małym dzieckiem. Tu, w Popielewku, kiedy już wiedziała, że musiałam się zorientować w jej sprawach, powiedziała: „Mam wyrzuty sumienia, że narażam jeszcze i ciebie”. Też coś.

23 VII 1943 Warszawa, Warszawa, Warszawa!

Wczoraj mama przyjechała i zabrała mnie do domu! Już podobno możemy mieszkać spokojnie. Ciocia Hania próbowała mnie zatrzymać w Popielewku, ale coś mi się zdaje, że obie z mamą chcemy być znowu razem, bo mama niezbyt gorliwie namawiała mnie do pozostania. No i jestem w domu. Mieszkanie wydaje mi się duże i puste, a przecież tego, co zeń zniknęło, przedtem też nie było widać.

Będę wreszcie musiała coś mądrego zrobić z tym pamiętnikiem, który teraz jest pewnie jedyną kompromitującą rzeczą w domu.

Dzieciakom z kamienicy powiedziałam, że byłam u cioci w Brwinowie. Mama twierdzi, że nikt nie powinien wiedzieć, gdzie naprawdę mamy rodzinę i u kogo szukamy schronienia.

Boli mnie głowa i chce mi się spać. To ta zmiana powietrza.

Co do zmian, zdaje się, że będzie ich sporo. Jutro wprowadzają się do nas jedni państwo, kuzyni pana Borzęckiego. Nazywają się Wysocy. Mają osiemnastoletniego syna Marka, poznałam go kiedyś u Bałki Borzęckiej. Długi, chudy, niespecjalnie sympatyczny. A w ogóle – trzy obce osoby w domu... Ale co robić.

Niemcy wyrzucili ich z mieszkania, tu niedaleko, na Mokotowie. W ciągu godziny musieli się wynieść. Teraz mieszkają u państwa Borzęckich i chociaż tam jest dużo więcej pokoi, nie chcą pozostać na stałe, bo z rodziną niezręcznie jest mówić o sprawach finansowych. Państwo Borzęccy nie mogliby brać pieniędzy, a państwo Wysocy nie chcieliby mieszkać za darmo. Dlatego przenoszą się do nas. Mama z Jadzią już przygotowują dla nich gabinet. Potrzebne będą trzy miejsca do spania, więc ze stołowego zabrały kanapę i na ścianie znowu jest brzydki ciemny prostokąt.

Jakoś mnie pieką oczy. Jeszcze tylko zanotuję, że podobno nasza szkoła ma kłopoty z powodu słabych wyników w krawieczyźnie, więc jeśli w ogóle zostanie uruchomiona na jesieni, to będziemy mieć o wiele więcej wszelkich robót niż dotychczas. A jeśli nie, to pewnie znów wrócimy do nauki na kompletach. Po prywatnych mieszkaniach, tak jak to było na początku wojny, kiedy ganiałyśmy z książkami i zeszytami po całej dzielnicy. Pomyślałam teraz o naszych nauczycielkach. A jak one musiały wtedy ganiać?! Przecież każdy taki komplet był dużo mniejszy niż klasa, więc było ich mrowie, a w dodatku one uczyły tyle różnych klas naraz.

Jednym słowem, same przyjemne perspektywy. I w domu, i w szkole.

Próba oceny

Jaki był właściwie udział matki Ewy w konspiracji? Co robiła wówczas ta pani w średnim wieku, w oczach własnej córki awansująca stopniowo ze zwykłej mamy do rangi aktywnego działacza podziemia?

W pamiętnikach Ewy nie znajdziemy jednoznacznej odpowiedzi na te pytania. Wynika z nich, że pani Paulina była silnie związana ze swym środowiskiem zawodowym, ale związki te nie mogły chyba dotyczyć tylko produkcji owej parokrotnie przez Ewę wspomnianej dulcyny. Zapiski robione w Popielewku przekazują nam klimat autentycznego zagrożenia, poważniejszego niż to, jakie powstałoby po wykryciu nieoficjalnej wytwórni środka słodzącego. W różnych miejscach pamiętników rozsiane są ponadto drobne, ale wymowne potwierdzenia owego odczucia, że pani Paulina nie była osobą zabiegającą jedynie o jaki taki byt i spokojne przetrwanie.

Pani Wysocka, którą niebawem poznamy bliżej, a do której zwracałam się wielokrotnie o różne wyjaśnienia, w tej akurat sprawie niewiele umiała mi powiedzieć. Obie panie nie rozmawiały szerzej na te tematy. Na samym początku ich znajomości, kiedy uzgadniano sprawę wspólnego zamieszkania, pani Wysocka uznała za konieczne uprzedzić przyszłą gospodynię, iż z uwagi na Marka oni wszyscy nie są najbezpieczniejszymi lokatorami. Matka Ewy powiedziała wówczas, że to nie ma znaczenia; nawet dziwiłaby się, gdyby chłopiec w tym wieku był „bezpieczny dla otoczenia”. O sobie samej zachowała jednak milczenie. Później, choć obie rodziny zżyły się i zaprzyjaźniły z sobą, nadal nie zadawano sobie takich pytań, ani też nikt się z niczego nie tłumaczył. Nie rozmawiano o tym także po wojnie – obie matki bały się powrotów... Pani Wysocka sądzi jednak, że przed samym Powstaniem sytuacja pani Pauliny zmieniła się jakoś, w tym czasie bowiem jej trochę tajemnicze kontakty z różnymi osobami wyraźnie się nasiliły.

Te skąpe fakty dają podstawę do mniemania, że matka Ewy była zaangażowana w pracę konspiracyjną. Możliwe też, że przez dłuższy czas ta powściągliwa pani, trzymająca się na uboczu cudzych spraw i niemal programowo niechętna wkraczaniu w zawilóści ludzkich losów, pozostawała jeszcze dość bierna. Mogła być jedną z tych licznych, a dziś skazanych na zapomnienie osób, które oddawały swe mieszkania na „skrzynki”, czyli miejsca kontaktów i pozostawiania przesyłek przez ludzi z organizacji. Rola takich osób była trudna i niewdzięczna: rozumiejąc doskonale, co robią różni „panowie Borkowscy”, musieli równocześnie, gwoli spokoju sumienia „panów Borkowskich”, udawać kompletną ignorancję. Brali więc udział w czymś, co było niejako konspiracją do kwadratu – przed obcymi kryli starannie tajemnicę swego domu, przed ludźmi zaś z organizacji zachowywali pozory nieświadomości, by nie odbierać im poczucia wyłączności ich wtajemniczenia. Pozory te pryskały zresztą w momencie, gdy ktoś, korzystający z owego domu jako ze skrzynki kontaktowej, wpadał w łapy gestapo, tak jak to się zdarzyło z początkiem lipca. Gospodarz mieszkania uzyskiwał wówczas prawo do wspólnego zagrożenia, a w przypadkach mniej szczęśliwych niż przypadek pani Pauliny – prawo do wspólnej śmierci.

Pamiętnik Ewy

O TATUSIU I O HARCERSTWIE

5 VIII 1943

Co ja najlepszego narobiłam! Co ja zrobiłam!

Byłam chora, licho wie skąd złapałam wietrzną ospę, a że jestem już za stara na dziecinne choroby, więc przeszłam to ciężko i przez kilka dni miałam ponad czterdzieści stopni gorączki. Strasznie mnie wysypało, na twarzy krosta siedziała na kroście. Chociaż byłam mało przytomna, ciągle przeglądałam się w lusterku. No i zauważyłam, że mam niskie czoło, a Carell napisał, że to oznaka braku inteligencji. Musiałam być nielicho zamroczona, bo wzięłam nożyczki i wystrzygłam sobie z przodu wszystkie włosy do gołej skóry, na szerokość ze trzech centymetrów. Jak ja teraz wyglądam, ludzie kochani! Śtrupy dopiero zaczynają odpadać, skóra pod nimi jest czerwona i wstrętna, a do tego nad czołem nie ma włosów, tylko prześwitująca na różowo szczecina. Jak ja pójdę do szkoły!!!

Mama zachowuje się tak, jakby w ogóle nie spostrzegła zmiany na mojej głowie. Państwo Wysoccy też nic nie mówią, tylko ten Marek, odkąd od trzech dni łażę trochę po mieszkaniu i zdarzy się, że go spotkam, robi dziwną minę i odwraca wzrok. Mam go w nosie, ale co będzie ze szkołą?

6 VIII 1943

Pani Wysocka jest strasznie sympatyczna i wesola. Chwilowo nigdzie nie pracuje, więc dziś rano wpadła do mego pokoju na dłuższą pogawędkę. Wyjątkowo dużo mówiłam, znacznie więcej, niż na ogół umiem powiedzieć dorosłym. Ona znowu opowiadała mi o Marku, jaki był nieznośny w dzieciństwie. Niektóre historie były bardzo śmieszne.

– Nigdy bym nie pomyślała – powiedziała pani Wysocka – że wyrośnię z niego taki dobry, mądry chłopiec.

Nie wiem, co ona widzi w nim mądrego. Mnie się wydaje zupełnie zwyczajny.

7 VIII 1943

Mama znalazła wyjście z sytuacji. Sprowadziła fryzjerkę, która szesała mi włosy z czubka głowy do przodu i ucięła grzywkę nad samymi brwiami. Pani Wysocka twierdzi, że tak mi nawet ładniej, a Marek dodał: „wyglądasz jak Japonka”. Niech sobie gadają. I tak wiem, że nie ma Japonek z niebieskimi oczami i że jestem brzydka, ale przynajmniej nie widać czoła.

20 VIII 1943

Tatuś nie żyje.

Mama już piąty dzień nie wychodzi ze swojego pokoju, wpuszcza do siebie tylko panią Borzęcką i panią Wysocką. Mnie nie chce widzieć. Pani Zosia Wysocka tłumaczy, że mój widok przypomina mamie czasy, kiedy byliśmy wszyscy razem, że to dlatego. Ale to wcale nie o to chodzi. Mama ma do mnie żal i ja wiem o co. Wtedy, kiedy wróciła z miasta z tą straszną wiadomością i ja otworzyłam jej drzwi, to zaraz, jeszcze na progu, wyszeptła: „Tatuś nie żyje”. A ja nie powiedziałam ani słowa i nie rozplakałam się. Stałyśmy tam obie, w tym ciemnym przedpokoju, jakbyśmy się wcale nie znały. Potem mama minęła mnie, weszła do swego pokoju i przekręciła klucz. I tak jest do teraz. Ona tam leży przy zaciągniętych zasłonach, ja żyję na zewnątrz, sama. I jest bardzo cicho.

Wyłączyłam telefon, bo z początku ciągle ktoś dzwonił z rodziny albo przyjaciół. Musiałam tłumaczyć, że mama nie podejdzie, i wysłuchiwać takich tam różnych... Czasem do mojego pokoju przychodzi Marek, któregoś dnia rozmawialiśmy zwyczajnie, o matematyce, on twierdził, że to można zrozumieć i że chętnie mi pomoże. A wczoraj jakimś sposobem, nie pamiętam dokładnie, jak do tego doszło, zaczęłam mu opowiadać o Tatusiu i nagle rozplakałam się pierwszy raz od czasu tej wiadomości, płakałam bardzo długo, a później Marek nakrył mnie pledem, powiedział „śpij” i rzeczywiście usnęłam, chociaż nigdy w dzień nie sypiam.

Po co ja to wszystko piszę?

Tak mi źle, że mama mnie nie chce.

Nawet nie wiem, kiedy i jak Tatusz zginął. Wiem tylko, że zadzwoniła jakaś pani, której mąż wrócił do domu po długiej nieobecności, ma wiadomości o Tatusiu i prosi, żeby mama przyszła. Więc poszła zaraz, a jak wróciła, to już tylko powiedziała: „Tatusz nie żyje”.

21 VIII 1943

Od pani Wysockiej dowiedziałam się, że ten pan został zwolniony z Oświęcimia, gdzie siedział przeszło trzy lata, że jest umierający i przed śmiercią chciał jeszcze pozalać różne sprawy, między innymi z mamą. W czasie kampanii wrześniowej był w tym samym oddziale co Tatusz i w ogóle trzymali się razem. Jednego dnia ich oddział zatrzymał się w lesie, ten pan poszedł do wsi po żywność, a kiedy wrócił, to obok tego miejsca, gdzie spał Tatusz i jego żołnierze, był wielki lej od bomby i leżeli sami zabici. Ten pan zebrał ich dokumenty i osobiste drobiazgi, tylko że to wszystko zagarnęli Niemcy, kiedy go aresztowali. Z rzeczy Tatusia miał jego obrączkę i stąd wiedział, że mama jest Paulina, bo to było wygrawerowane na wewnętrznej stronie razem z datą ślubu, którą też mamie powiedział. Tak, że nie ma wątpliwości.

Pani Wysocka mówi, że te paczuszki z Lizbony, o których myślałyśmy, że są od Tatusia, mogą być wysyłane po prostu na polecenie kogoś ze znajomych, kto znalazł się w Anglii i podał mamy nazwisko i adres. Ona zna takie wypadki.

Mama wyszła dziś po raz pierwszy ze swego pokoju. Spotkałyśmy się nagle w jadalni, wcale nie wiedziałam, że tam jest. Zapytała mnie, czy jadłam śniadanie, powiedziałam, że tak, i chciałam coś jeszcze dodać, ale się przestraszyłam, bo była bardzo zmieniona i blada, więc znów tylko postaliśmy chwilę naprzeciwko siebie, a potem mama poszła do kuchni.

Wieczorem

Nie przebaczę jej tego nigdy.

Po południu mama wychodziła gdzieś z panią Borzęcką. Ja siedziałam w stołowym i usłyszałam, że pani Borzęcka pyta:

– A Ewa?

– Ewa jest ewangeliczką, a zresztą nie wydaje mi się, aby to wszystko zrobiło na niej większe wrażenie. Dzieci tak szybko zapominają...

Coś mnie tknęło i pobiegłam do Jadzi dowiedzieć się, dokąd poszły.

– A to nie wiesz, że jest nabożeństwo żałobne za naszego pana? Najlepiej też się pomódl, choćby w tej twojej szwabskiej wierze, bo chociaż nie ojciec, ale chował cię jak rodzinę.

Chciałabym zrobić coś strasznego. Chciałabym kogoś pobić. Dlaczego ona mi to zrobiła?! Teraz ja... ja nie chcę jej widzieć!

23 VIII 1943

Dzisiaj pani Wysocka zaczęła mnie strofować, że mama jest zrozpaczona, a ja sobie pozwalam na fochy. Powiedziałam jej, żeby się nie wtrącała w nie swoje sprawy, więc się obraziła i wyniosła. Te „fochy” polegają na tym, że jak mama wchodzi do pokoju, to ja z niego wychodzę. I będę tak robić zawsze.

Później przyszedł Marek i myślałam, że zrobi mi awanturę za to, że tak się zachowałam wobec jego matki, więc od razu powiedziałam, że jeżeli usłyszę jedno słowo, to pójdę sobie z tego domu i nigdy nie wrócę. Marek usiadł w fotelu i milczał tak długo, aż wreszcie ja sama zaczęłam mówić to wszystko, o czym teraz stale myślę. Że nikogo nic nie obchodzi, że mama zawsze kochała tylko Tatusia, a ja byłam dodatek i że teraz ten dodatek nie jest jej potrzebny. Że nie powiedziała mi o nabożeństwie, że pewnie specjalnie pozwoliła memu ojcu ochrzcić mnie w ewangelickim kościele, bo to bardzo wygodnie i w razie czego można mnie skrzywdzić. Później musiałam się wyłączyć, bo okropnie beczałam. Marek wetknął mi do ręki swoją chustkę do nosa i dopiero kiedy już się trochę uspokoiliłam, powiedział:

– To się musi wreszcie jakoś ułożyć. Postaraj się, jeśli możesz, żeby to się stało jak najszybciej.

Chyba mu było trochę smutno. A mnie nie. Mnie jest już wszystko jedno.

24 VIII 1943

Dzisiaj przypomniało mi się pewne zdarzenie z ostatnich przedwojennych wakacji, o którym nigdy, ale to nigdy dotąd nie myślałam. Te-

raz wylazło widocznie po to, żeby mi było jeszcze bardziej okropnie niż jest, żebym do tego wszystkiego ciągle musiała pamiętać, że zawsze byłam wredna i podła. Od godziny płaczę i płaczę bez przerwy, bo już niczego nie można zmienić.

Byłyśmy wtedy z mamą nad morzem, w takiej małej wioseczce na Helu, gdzie jadało się ryby trzy razy dziennie przez siedem dni w tygodniu. Więc Tatus, jak przyjeżdżał, to przywoził pełen bagażnik różnych dobrych rzeczy. My z Tatusiem zawsze mieliśmy takie same gusta, oboje też uwielbialiśmy figi. Mama zupełnie nie mogła tego zrozumieć, wołała daktyle, które mnie smakują jak kartofle w cukrze. Kiedy pewnego dnia, już pod koniec lata, zjawił się Tatus i okazało się, że ma tylko trzy niewielkie paczuszki fig, mama powiedziała:

– Od razu podzielę między was te wasze przysmaki.

I podzieliła „sprawiedliwie”: dla mnie dwie paczki, dla Taty jedną.

Później kazali mi się iść bawić, więc poszłam na plażę, schowałam się za wydmy i pożarłam wszystkie figi na raz. Na obiad poczłapałam tak objedzona, że o smażonej flądrze już nie mogło być mowy i byłam pewna, że będzie mnóstwo gadania. Ale nikt się jakoś nie zainteresował moim brakiem apetytu. Chyba właśnie wtedy Tatus przywiózł wiadomość, że wojna wybuchnie lada dzień i że trzeba wracać do Warszawy.

Po obiedzie wygonili mnie do pokoju, żebym poleżała. Czytałam i oglądałam obrazki w książce, później jakiś czas bawiłam się misiem, a później poczułam, że koniecznie i natychmiast chcę znowu jeść figi. W tamtych czasach często rozmawiałam sama ze sobą i wtedy też powiedziałam głośno i wyraźnie:

– Nie ma już fig, zjadłaś wszystkie.

Ale ponieważ dalej nie miałam spokoju, więc jeszcze raz powtórzyłam:

– Przecież słyszałaś, wszystkie swoje figi już zjadłaś.

No i wtedy zaczęło być ze mną całkiem źle, bo już w żaden sposób nie mogłam zapomnieć, że są jeszcze inne figi – nie moje. Wstałam, otworzyłam szafę i porwałam ostatnią paczuszkę. Zdaje się, że smakowała mi nawet jeszcze bardziej niż te dwie poprzednie i dopiero kiedy wyrzuciłam celofan do kubła, zrobiło mi się niedobrze. No i zaczęłam się bać, co będzie, jak się wyda. Wydało się po kolacji, kiedy Tatus, już wesoly i rozbrykany jak zawsze, oznajmił:

– No co, Ewa, robimy sobie deser? Mamusia, jak nie chce, to niech nie je, niech patrzy i zazdrości!

I otworzył szafę. A po chwili zwrócił się do mamy:

– Nie mogę znaleźć... Gdzieś ty wpakowała te figi?

Mama, zdziwiona, zajrzała do szafy, chciała coś powiedzieć, ale popatrzyła przedtem na mnie. Na pewno byłam koloru buraka, bo wykrzyknęła nagle z przejęciem:

– Och, zupełnie zapomniałam ci powiedzieć, że kiedy drzemałeś po południu, przysłała mi nagle straszna ochota na te figi i zjadłam całą paczkę!

A w moją stronę:

– Szukała cię Halinka, zdaje się, że miała jakiś ważny interes.

Tak to było. Wtedy też ryczałam w sionce z miłości do nich i z okropnego wstydu, ale wtedy mogłam jeszcze myśleć, że kiedyś się zmienię na lepsze. Teraz w stosunku do Tatusia już nigdy niczego nie naprawię. Już na zawsze tak zostanie, że mu zjadłam figi.

25 VIII 1943

Pani Rudowiczowa od matematyki telefonowała, że szkoła zacznie się normalnie, pierwszego września. Widocznie udało im się przekonać, kogo trzeba, że szkoła krawiecka to bardzo pożyteczna placówka. To nawet dobrze. Mam zupełnie dość tego domu, w którym wszyscy traktują mnie jak zbrodniarkę. Nawet pan Wysocki, z którym zamieniłam dotąd nie więcej niż pięć zdań, teraz wyraźnie okazuje, że jest na mnie obrażony za historię z jego żoną. Może tylko jeden Marek zachowuje się wobec mnie jak człowiek, ale jego teraz prawie nigdy nie ma w domu, bo w tym roku szkolnym ma zrobić aż dwie matury: na tajnych kompletach w liceum Rejtana i w oficjalnej zawodowej szkole elektrotechnicznej. Więc ma moc roboty i ciągle lata uczyć się z kolegami.

11 IX 1943

Długo nie pisałam, ale naprawdę nie było o czym. W budzie dowalili nam tyle tych zajęć krawieckich, że aby zmieścić także i inne przedmioty, musimy mieć po siedem i osiem lekcji dziennie. W tym roku już nie będzie robienia na drutach. Samo szycie. Zapowiada się koszmar. Nie powiedziałam klasie o Tatusiu.

W domu bez zmian i jest mi bardzo ciężko.

Chcę zanotować rozmowę z Markiem, dopóki ją jeszcze dokładnie pamiętam. Było tak:

Gadaliśmy o szkołach, jego i mojej, a kiedy coś wspomniałam o mamie, Marek zapytał:

– No i jak się układa między wami?

Zażartowałam:

– Przecież widzisz. Coś w rodzaju zawieszenia broni. Ale pewnie niedługo padną pierwsze strzały.

Marek się zmarszczył i powiedział dość ostro:

– Powinnaś porozmawiać z mamą. Do ciebie należy pierwszy krok, nie do niej.

Oburzyło mnie, że tak to widzi. Ale on argumentował, że mama jest bez porównania biedniejsza niż ja, po prostu dlatego, że jest starsza. Przede mną jest przyszłość i całe życie, a dla niej, zwłaszcza teraz, kiedy już nie czeka na powrót Tatusia, liczy się tylko to, co ja jej dam z siebie. Więc nie wolno mi zachowywać się tak jak dotąd, zimno i nieprzyjaźnie.

Tłumaczyłam mu, że wcale tego nie chcę i nigdy nie chciałam, że to ona tak mnie traktuje, jakbym była wrogiem. Marek nie zgodził się ze mną. Powiedział, że o ile on się orientuje, to mama nie ma najmniejszego pojęcia o moim żalu do niej, ma natomiast zapewne swoje żale do mnie, o których ja z kolei mogę nic nie wiedzieć.

I w ten sposób doszliśmy do tego, że opowiedziałam mu o tej chwili, kiedy mama wróciła z wiadomością o Tatusiu, a ja stałam jak kołek. Znowu zaczęłam płakać i próbowałam jakoś wyjaśnić, że nie jestem niestety dziewczynką z czytanki, która zarzuca matce rączki na szyję i mieszając własne łzy z jej łzami, szepce: „jestem, mateńko, przy tobie”! Że może jestem potwór i wyrodek, ale tak nie potrafię. I że, jeśli mama potrzebowała mojej serdeczności, to mogła to jakoś okazać, ja przecież tylko na to czekałam i ciągle czekam. Wtedy Marek powiedział:

– Jeżeli ty nie jesteś dziewczynką z czytanki, to dlaczego chcesz, żeby mama była taką mateńką z tej samej czytanki? Obie cierpicie w ten sposób i chyba dlatego nie potraficie cierpieć razem. Ale przecież musicie wrócić wreszcie do normalnego życia. Powinnaś się o to postarać nawet za cenę swojej ambicji.

Później zaczął mi mówić o tamtym dniu i o mamie: poszła do tego pana, spotkał ją straszny cios, wracała do domu półprzytomna i jednocześnie w wielkim napięciu, aby na ulicy nie okazać rozpacz, a kiedy znalazła się w domu, mogła już tylko powiedzieć, że Tatuś nie żyje. Krajało mi się serce, kiedy znów zobaczyłam moją biedną mamę w ciemnym przedpokoju, mówiącą te okropne słowa. Ale równocześnie usłyszałam też inne, dawniejsze, i powtórzyłam je Markowi.

– Trzy lata temu moja mama powiedziała, że jej życie skończyło się tego dnia, kiedy ostatni raz widziała swego męża. Mówię ci o tym, żebyś wiedział, że ja nie jestem jej wcale tak potrzebna, jak sobie wyobrażasz.

Wtedy Marek popatrzył na mnie bardzo długo z takim wyrazem twarzy, jakbym była cielem o dwóch głowach i spytał:

– I ty po trzech latach jeszcze to pamiętasz?

– Zawsze będę pamiętać.

– No to wiesz... – pokiwał nade mną głową ze współczuciem, a raczej chyba z politowaniem. A po chwili powiedział:

– Czy tobie nigdy nie zdarzyło się mówić coś, w co sama nie wierzysz, co zupełnie nie jest prawdą, a tylko brzmi odpowiednio do nastroju chwili i ma tak zwany ładunek dramatyczny?

– Pewnie, że mi się zdarzyło! – zaperzyła się. – Ale nie mamie, mama nigdy tego nie robi. Nie znasz jej.

– Nie znam – zgodził się – ale wiem, że robi to każdy. Rozumiesz? Każdy. Jeden częściej, drugi rzadko, trzeci bardzo rzadko. Twoja mama należy do tych ostatnich, dlatego sądzisz, że jej się to nigdy nie zdarza. Pech chciał, że akurat musiałaś coś takiego usłyszeć... Ale że wyciągnęłaś z tego jakieś wnioski i że trzymasz się ich kurczowo, to już, przepraszam cię, kretynizm i tępota. Czy przez te same trzy lata nie miałaś przypadkiem paru dowodów, nie w słowach, a w faktach, że jest akurat na odwrót? Ciotka Borzęcka mówi o twojej mamie jako o osobie niezwyklej, oddanej ci bezgranicznie, szarpiącej się ponad siły po to, żeby ci stworzyć znośne warunki. Czy to nieprawda? Zastanów się nad tym.

To jest prawda! Prawda tak oczywista, że trzeba być ostatnim idiotą, aby jej nie zobaczyć. Co ja najlepszego zrobiłam? Dlaczego tyle czasu męczyłam JA tak okropnie? To bzdura, że jestem inteligentna, Marek ma rację, jestem tępą kretynką, podlec, świński ryj! Co ja teraz mam zrobić, żeby ona mi wybaczyła? I czy już nie jest za późno?!

16 IX 1943

Dzisiaj są moje czternaste urodziny.

Myślałam i myślałam, jak by to wszystko, co zaszło, wytłumaczyć mamie i jak ją przeprosić, ale nic nie wymyśliłam. Wprawdzie następnego dnia po rozmowie z Markiem poszłam do niej, ale zdołałam jedynie wydukać, że nie chcę żadnego urodzinowego prezentu, a tylko fotografię Tatusia. Mama popatrzyła na mnie i powiedziała „dobrze”. Nic więcej. Byłam strasznie zmartwiona, bo wyglądało na to, że niczego nie naprawiłam, i już nie wiedziałam, co robić dalej. A dziś dostałam powiększenie ostatniego Tatusiowego zdjęcia, mama bardzo długo tuliła mnie do siebie i było mi strasznie dobrze.

20 IX 1943

„Las” zmarł śmiercią naturalną, tak jak się tego spodziewałam, ale zdaje się, że się narodzi coś nowego. Jeśli rzeczywiście tak się stanie, to zaraz napiszę.

Glupio mi, że tak się wyplakiwałam przed Markiem. Przecież to zupełnie obcy chłopak, a tyle o mnie teraz wie. Wprawdzie dużo mi pomógł i był dla mnie bardzo dobry, ale jakoś mi wstyd i staram się go omijać.

25 IX 1943

Od czterech dni ja oraz osiem pozostałych z „Lasu” tworzymy zespół w Tajnym Harcerstwie! Jestem nieprzytomna z radości. Nareszcie będziemy robiły coś sensownego! To był nadzwyczajny zbieg okoliczności, że rozpad „Lasu” i wystąpienie pani Kaweckiej prawie spotkały się ze sobą! Kilka dni temu Kawica wezwała do siebie Alicję na rozmowę i, nieco kołując, powiadomiła ją, że władze szkolne, orientując się w patriotycznej działalności grupki dziewcząt, pod adresem tych dziewcząt wysuwają pewne propozycje. Otóż przy szkole działa drużyna harcerska. Zasadniczo obejmuje ona tylko dziewczęta starsze, z klas licealnych, ale ją, Kawicę, upoważniono do oświadczenia, że z uwagi na naszą dotychczasową postawę i dojrzałość mogłybyśmy ubiegać się o przyjęcie. Alicja ma przekazać Kawicy odpowiedź swoją i reszty, przy czym nie musimy się zapisywać wszystkie, drużyna przyjmie

także pojedyncze z nas. Tu Alicja znalazła się, moim zdaniem, bardzo przytomnie, bo oznajmiła, że rozbicie naszej grupy w ogóle nie wchodzi w rachubę. Albo zgłosimy się wszystkie, albo żadna, a nasze przystąpienie jest możliwe jedynie pod warunkiem, że i w dalszej pracy nie zostaniemy rozdzielone. Pani Kawecka obiecała przekazać ten postulat, Alicja – naszą odpowiedź. Była jednomyślna.

No i jesteśmy zastępem „Las” w drużynie Tajnego Harcerstwa. Teraz, po wiadomości o Tatusiu, już bym nie mogła „walczyć z Niemcami” wróceniem z kart i robieniem na drutach.

Mamy zastępową starszą od nas o dwa lata. Ma na imię Nina. Chyba jest sympatyczną, Alicja wręcz się nią zachwyca. Była już pierwsza zbiórka i zostałam wybrana podzastępową. Dziewczynki już wiedzą, że Tatuś nie żyje, i chyba właśnie dlatego Alicja zaproponowała mnie, a wszystkie się zgodziły. A ja przyjąłam ten wybór, chociaż sama wiem, że należał się Alicji.

Na początek mamy się nauczyć prawa harcerskiego.

27 IX 1943

Na urodzinach stryja Ludomira wydarzyła mi się paskudna historia.

Mama skorzystała z okazji, że w obecnej sytuacji nie ma obowiązku udzielać się towarzysko, i została w domu. Napisałam „skorzystała z okazji”, bo coś mi się wydaje, że ona i tamta rodzina nie bardzo się lubią. Mnie wysłała pod skrzydłami Jadzi, a z powrotem miała mnie odstawić stryjkowa Genia. Stryj, odkąd go wyrzucili z Flory, mieszka na Kredytowej, więc dość daleko od nas.

Okropnie się martwiłam, że muszę iść między ludzi. Moje włosy odrastają i teraz akurat jest fatalny moment. Te cholerne nowe włosy są strasznie sztywne, rosną wyłącznie do przodu i nie ma mowy, żeby się dały zaczesać na bok czy do góry. Sterczą poziomo jak daszek, który podnosi mi grzywkę albo przebija się przez nią ostrą szczecinę. Wśród bliskich mało się tym przejmuję, w szkole powiedziałam, że zgolenie włosów w czasie wietrznej ospy spowodowane było ropiejącymi krostami i jakoś żyję. Ale pokazać się obcym? Brr... Wprawdzie u stryja bywa sama rodzina, ale to jest przecież rodzina ojca. Zawsze mam uczucie, że patrzą na mnie trochę nieufnie i są pełni wątpliwości, czy „ta Paulina” ze swym drugim mężem potrafiła mnie przyzwoicie wychować.

Długo myślałam i wymyśliłam sposób na te włosy. Kupiłam tubkę syndetikonu i wycisnęłam na mój „dach” prawie całą jej zawartość. Dzięki temu udało się nagiąć go w dół. Kiedy klej już zasechł, szesałam grzywkę na czoło i okazało się, że leży ślicznie i płasko. Byłam dość dumna z tego wynalazku, a mama też była zadowolona, że przyzwoicie wyglądam. Ale gdy pocałowała mnie na pożegnanie, jęknęła:

– Ewuniu, okropnie pachniesz tym rybim klejem! U stryja będzie cię całować mnóstwo osób. Co z tobą zrobić?

Dla pewności skropiła mi głowę paroma kroplami francuskich perfum, które są jeszcze przedwojenne i których nie wolno mi było dotąd nawet dotknąć. Niestety wezwała jeszcze panią Wysocką.

– Powąchaj Ewę i powiedz, czym ona pachnie – poprosiła.

– Perfumowanym śledziem – oznajmiła pani Zosia kategorycznie.

Tak więc szłam na te urodziny mało pokrzepiona na duchu, a w dodatku w nowej sukience, przerobionej ze starej maminej. Nienawidzę nowych rzeczy. Zwłaszcza ładnych. Moje kiecki szyje taka pani, która przed wojną miała magazyn mody dziecięcej. Podobno nie przyjmuje przeróbek, ale dla nas, dawnych klientek, robi niestety wyjątek. Sukienki od niej są, po pierwsze, świetnie skrojone i takie właśnie „ładne”, po drugie zaś, mają fasony jak dla przedszkolaków: różne takie odcinane karczki, kołnierzyczki „bé-bé” itp. Wyglądam w nich jeszcze bardziej beznadziejnie niż na co dzień.

Zapisałam maczkiem dwie strony, a ciągle jeszcze jestem daleko od samej katastrofy. Więc ad rem, jak mówi pani Przełożona. (Res, rei, rem – diabli wiedzą, która to deklinacja, na pewno ani pierwsza «puella, puellae», ani druga «servus, servi». Pierwszą umiem, bo łatwa, drugą – bo końcówki w singularis tworzą słowo SIOMEO, odkąd to wykryłam, nie mam kłopotów z odmianą. Niestety z końcówki trzeciej, czwartej i piątej deklinacji nie daje się sklecić nic sensownego).

Trzeba wreszcie jakoś przebrnąć przez tę rodzinną chryję. Przyszłam więc do stryjka, złożyłam życzenia, zostałam wycalowana przez dziesięć ciotek i tyłuż wujków i jakoś nikt nie kręcił przy tym nosem. Usiedliśmy do stołu. Z jednej strony miałam za sąsiada kuzyna Witka, zajętego wyłącznie jedzeniem, z drugiej – wuja Romka, który zadał parę pytań w sprawie samopoczucia mamy oraz moich postępów w nauce i przestał się mną interesować. Z początku więc poszło nieźle. Niestety vis-à-vis mnie siedziała ciocia Dusia, niewiele jadła, raz po

raz obrzucała mnie krytycznymi spojrzeniami, wreszcie przez stół zaczęła wypytywać o szczegóły śmierci Tatusia. Trudno mi było o tym mówić, tak publicznie, wśród obcych ludzi. W dodatku ciocia Dusia mówiła o Tatusiu per „twój ojczym”, co zawsze doprowadzało mnie do zupełnej wściekłości. Wreszcie ciocia oznajmiła na cały głos:

– Ten osobnik, który przekazał wiadomość o śmierci twojego ojczyma, musiał być chyba niemieckim konfidentem, skoro go wypuścili z Oświęcimia.

A ja, w zupełnej już furii, że w dodatku szkaluje niewinnego człowieka, krzyknęłam:

– Nieprawda! Miał odbite nerki i gruźlicę! Tydzień temu umarł!

Jeszcze nie skończyłam krzyczeć, kiedy usłyszałam ciche trzeszczenie w okolicy czoła. To pękała warstwa kleju na moich włosach. Poczulałam, jak uwolniony „daszek” rażno unosi mi grzywkę, zauważyłam też, że przy stole panuje cisza, a wszyscy patrzą na mnie. Tak się tym zdenerwowałam, że rozbeczałam się na cały głos, odepchnęłam krzesło i uciekłam. Stryj Ludomir rzucił się za mną do przedpokoju, ale zbiegałam już ze schodów wlokąc za sobą porwane z wieszaka palto.

Wracałam piechotą, bo nie miałam pieniędzy na tramwaj. Im bliżej byłam domu, tym wolniej szłam. Bałam się. Nie ulegało wątpliwości, że stryj już dawno zadzwonił do mamy i powiedział jej o mojej ucieczce i o tym, jak wrzeszczałam na ciocię Dusię. Wstyd mi było, że się znowu zbłaźniłam i że przeze mnie tamta rodzina będzie mogła wygadywać na mamę. Byłam pewna wielkiej awantury i postanowiłam sobie, że pozwolę mamie gniewać się, ile tylko będzie chciała.

I, jak to zdaje się często bywa, wszystko odbyło się inaczej. Mamę spotkałam na placu Unii. A raczej nie spotkałam, tylko dostrzegłam ją już z daleka, a ona, ze swoją krótkowzrocznością, wcale mnie nie widziała. Stałam za słupem do ogłoszeń i patrzyłam, czy nie pójdzie na przystanek i nie odjedzie. Bardzo chciałam, aby to zrobiła. Ale tylko chodziła parę kroków w jedną i parę kroków w drugą stronę i mrużąc oczy z wysiłku, zaglądała ludziom w twarze. Jednym słowem, czekała na mnie. Musiałam wyleźć zza tego słupa i podejść do niej. Na mój widok powiedziała słabym głosem:

– Jesteś... Gdzie byłaś tak strasznie długo?

Wyjaśniłam, że szłam piechotą, bo nie miałam na tramwaj. Wtedy objęła mnie ramieniem i szłyśmy tak ulicą, chociaż to nie było wygod-

ne, bo mama jest wysoka, a ja mała. Mama musiała być wyjątkowo zdenerwowana, bo mówiła o tamtej rodzinie rzeczy, jakich dotąd nigdy nie słyszałam: że są nietaktowni, że ciocia Dusia zawsze była gruboskórna, a z biegiem lat robi się coraz gorsza, że stryj Ludomir to jedyny człowiek z charakterem. Z tego wszystkiego zrozumiałam wreszcie, że stryjek jako przyczynę mojej ucieczki podał niedelikatność cioci Dusi. Wyraził się nawet, że człowiek dorosły nauczyłby ciocię rozumu już znacznie wcześniej, a to, co ja zrobiłam, było „manifestacją bezsilności dziecka wobec dorosłych”. Było mi głupio, że oni tak to sobie wytłumaczyli, a mama wierzy i jest dla mnie taka dobra i jakby wdzięczna. Chciałam powiedzieć, że prawdziwym powodem były włosy, ale właśnie doszliśmy do domu. Przez całą drogę miałam dreszcze i szczękałam zębami, więc mama zaraz zaczęła się krzątać przy herbacie i aspirynie, słać mi łóżko i pakować mnie do niego, a potem poszła zatelefonować do stryja, że już jestem. Zaraz też przyszła pani Wysocka natrzeć mnie spirytusem z solą i już nie było okazji do rozmowy. Teraz leżę w łóżku i napisałam sobie „temat” pt. „Urodziny stryja Ludomira”. Ale nie jestem zadowolona, nie tylko dlatego, że ta opowieść nie za bardzo się trzyma kupy. Uważam, że wszystko, co zaszło, było niesprawiedliwe. Bo jeżeli nie wolno karać za winy nie popełnione, to tak samo nie powinno się przyjmować pochwał za zasługi, których nie było. Samopoczucie mam więc dosyć podłe.

29 IX 1943

Pani Borzęcka postawiła mi bańki i już łatwiej mi się oddycha. Dawniej bałam się baniek, teraz lubię zapach denaturatu i tańczący na ścianie blask ognia, a nawet moment, kiedy bańka dotyka skóry i wciąga ją do środka. Nieprzyjemne jest tylko te piętnaście minut, w ciągu których trzeba leżeć nieruchomo na brzuchu.

Nie wiem, czy takie lubienie baniek jest zupełnie normalne. Bo co gorsza, lubię też i inne dziwne rzeczy. Na przykład pająki i szczypawki. Albo zapach piwnicy. Ile razy wchodzę na klatkę schodową, a spod schodów ciągnie woń wilgoci i psujących się kartofli, tyle razy robi mi się miło i bezpiecznie. Może dlatego, że w piwnicy siedzi się w czasie nalotów. Teraz naloty zdarzają się tylko nocami. Schodzimy do schronu rozespani i mało przytomni, ja sadowię się w kącie, owijam kocem

i drzemię. Nie boję się zupełnie, chociaż może na górze, w mieszkaniu, pewnie bym się bała. Mama mówi, że to kwestia wyobraźni i rozumem przez to, że mam jej za mało. Trudno.

Rozmawiałam z Markiem o urodzinach stryja i o tym, jak podle się czuję, że cała ta awantura, którą urządziłam z powodu grzywki, została zrozumiana jako obrona pamięci Tatusia czy coś w tym rodzaju. Marek uważa, że nie mam racji. Że grzywka była może tą przysłowiową ostatnią kroplą, ale gdyby mi się nie odkleiła, to pewnie i tak uciekła-bym z płaczem. Powiedział, że nie tylko innych, ale i siebie widzę zawsze z najgorszej strony i że będzie mi z tym bardzo ciężko w życiu. Już mi ciężko.

30 IX 1943

Jak człowiek choruje, to rozmyśla o różnych sprawach, na które normalnie nie ma czasu. Ja zaczęłam się dziś zastanawiać, dlaczego obie z mamą nie lubimy rodziny mego ojca. A jak doszłam do poszczególnych osób, okazało się, że z tym nielubieniem niezupełnie jest prawda, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Stryja Ludomira na przykład lubię bardzo, tylko że zawsze czuję się wobec niego nieswojo. Podobnie wobec wszystkich pozostałych. Nawet Witek, z którym byliśmy dawniej dosyć żyłymi, bo przed wojną parę razy wysyłano nas razem na wakacje, teraz zrobił się już zupełnie obcy. Nie mówiąc już o wujkach i ciotkach. Zwłaszcza o ciotkach.

Wszystkie ciotki, może z jednym wyjątkiem cioci Aliny, która jest miła i łagodna, zachowują się tak, jakby należenie do tej rodziny było czymś nadzwyczajnym i jakby wszyscy inni ludzie byli na pewno gorsi. Ja należę do rodziny tylko trochę, ponieważ wychowuję się u mamy. Więc też jestem gorsza. O moich kuzynach i kuzynkach mówi się, że są nadzwyczajni, mają same zalety i wyrosną z nich jakieś bardzo ważne osoby. O mnie nie mówi się wcale.

Wujowie są bardziej zwyczajni. Pachną wodą lawendową i cygarem albo fajką, a ja lubię ten zapach i zawsze ich z przyjemnością obwąchuję. Są dużo weselsi od ciotek, życzliwi i łagodniejsi. Na przykład wujek Danek, chociaż już mocno stary, jest zupełnie przepiękny, a jego żona, ciocia Roma, przypomina perliczkę i ma nawet perliczy głos: takie cienkie gulgotanie.

Na temat naszych spraw rodzinnych dużo dowiedziałam się w Popie-

lewku. Prawdę mówiąc, to w ciągu jednego wieczora z ciotką Hanią dowiedziałam się więcej niż od mamy przez całe życie. Ciocia Hania uważa, że mojej mamie wcale nie było łatwo w rodzinie ojca. Ta rodzina nie była zachwycona, że ojciec wybrał sobie żonę znacznie młodszą, która dopiero co wróciła ze Szwajcarii i do tego uparła się kończyć zaczęte studia. Woleliby, żeby to była zwykła panna na wydaniu, najlepiej z jednej z tych bogatych, ewangelickich rodzin, które znały się i pobierały między sobą od pokoleń. Ciocia przypuszcza, że moja babka Helena nie raz dała mamie odczuć, że wołałaby inną synową. Ale najgorsze stało się już po śmierci mojego ojca: mama nie odczekała nawet oficjalnego okresu żałoby, który trwa rok i sześć tygodni, tylko po jedenastu miesiącach wyszła za mąż za Tatusia. Bardzo się cieszę, że to zrobiła, ale tamci wszyscy się na nią obrazili, a w każdym razie stosunki bardzo ochłodziły. W dodatku mama nie pozwala nikomu wtrącać się do mojego wychowania, co też jej mają za złe.

Od cioci Hani usłyszałam poza tym coś dziwnego i smutnego o moich dziadkach ze strony mamy. Kiedy powiedziałam jej to samo, co nie tak dawno pisałam w tym zeszycie, to znaczy, że babcia była nieznośna, a dziadziś dobry i kochany, oburzyła się:

– To nie jest wcale takie proste! Weź pod uwagę, że babcia miała z twoim dziadkiem bardzo ciężkie życie.

Mnie się zawsze zdawało, że było akurat na odwrót, że to dziadziś miał z babcią ciężkie życie, więc zapytałam, dlaczego.

– Dziadek bardzo zaniedbywał żonę – powiedziała ciocia i troszeczkę się zaczerwieniła. – Ogromnie lubił towarzystwo, szczególnie pań. Miał dużą łatwość wydawania pieniędzy, ale, niestety, nie na potrzeby rodziny. Babcia musiała ciężko pracować, żeby dać sobie radę z gospodarstwem i pewnie wtedy nauczyła się rządzić ludźmi i trzymać ich twardą ręką. Więc na starość, kiedy tego wszystkiego zabrakło, próbowała rządzić przynajmniej wami i waszymi służącymi.

A do tego – mówiła ciocia – ciężar wszystkich nieszczęść, jakie ich dotknęły, musiała praktycznie dźwigać samotnie, bo dziadek potrafił rozpaczać, ale działać nie umiał. Kiedy w 1918 roku zginął ich jedyny syn, babcia pojechała sama gdzieś na drugi koniec Polski ogarniętej wojną i wiozła ciało, aby je pochować w rodzinnym grobie. A kiedy najstarsza córka chorowała długo i beznadziejnie, a lekarze przestali już robić nadzieję, dziadek wyjechał w niecierpiących zwłoki sprawach za granicę i zjawił się dopiero wezwany telegraficznie na pogrzeb. To wszystko nie było takie proste, Ewuniu.

Teraz jest mi wstyd i przykro. Nie tylko za to, co tu poprzednio wypisywałam, ale za całe moje życie. Dlaczego nikt mi o tym wszystkim nie powiedział wcześniej? Byłam mała, głupia i zła, ale coś bym z tego przecież zrozumiała i chyba byłabym dla babci lepsza. Teraz jest za późno.

8 X 1943

Omawiamy prawo i dyskutujemy z Niną. Na przykład na temat przykazania „harcercz nie kłamie” stoczyłyśmy całą batalię i chyba nikt tu nie wygrał. My wszystkie kłamiemy jak najęte, w rzeczach dużych i w drobiazgach. Kłamiemy i oszukujemy. Chodzimy do szkoły krawieckiej, a przerabiamy program gimnazjalny. Mamy zbórkę harcerską, a rozkładamy moje stare misie i lalki, że to niby zabawa dziecienniałych panna. Nina słusznie mówi, że w stosunku do okupanta kłamstwo jest konieczne, a więc wytłumaczalne. Ale na to Wiśka:

– A w stosunku do Polaków? Czy jeśli ktoś mnie zapyta: „Należysz do harcerstwa?”, to mam odpowiadać „tak” czy kłamać?

Nina na to, że obowiązek konspiracji jest tak uzasadniony, iż pojęcie kłamstwa nie ma tu w ogóle zastosowania.

– No dobrze – powiada Anka – a w stosunku do rodziców? Moi rodzice nigdy by się nie zgodzili, abym należała do harcerstwa. Ile razy idę na zbórkę, mówię, że będę się uczyła z Ewą. Więc chyba jednak kłamię.

Biedna Nina wyjechała z mową o potrzebie porozmawiania z rodzicami i o nietypowej sytuacji. A to już jest lipa. Wiadomo, że właśnie sytuacja Anki jest „typowa”, wszystkie mamy taką samą albo podobną i żadne rozmawianie z matkami nic tu nie da. Alicja dobiła Ninę stwierdzeniem:

– Ja to już tak dużo kłamię, że często, nawet kiedy mogę powiedzieć prawdę, wybieram kłamstwo, bo mi łatwiej.

W tym momencie spojrzała na mnie i zaczęła się śmiać, a ja z nią. Zdaje się, że tylko ja wiem, że ten pan, który mieszka u jej mamy jako sublokator, jest rodzonym ojcem Alicji. Inne dziewczęta nie bywały u niej przed wojną i nie znały jej taty. Tak więc tylko ja orientuję się, kim jest obcy pan Piątek, mieszkający u pani Orłowiczowej, której mąż siedzi jakoby w oflagu.

Drażnimy się z Niną może niepotrzebnie, ale czy jest sens uczyć się przykazań, których nie można dotrzymać?

Na zbiórkach śpiewamy też piosenki i pieśni: „Szturmówkę”, „Naprzód do boju” i najpiękniejszą: „Hej, chłopcy, bagnet na broń”.

Dziewczęta poleciły mi przeprowadzenie rozmowy z Niną i dowiedzenie się, kiedy wreszcie zaczniemy coś robić. Jestem z nią umówiona na jutro po lekcjach.

11 X 1943

Nie jest dobrze, Nina coś kręci. Tłumaczy, że jesteśmy młode i nie przeszkolone, że musimy wiele się nauczyć, zanim przejdziemy do konkretnego działania. Powtórzyłam to „Lasowi” i nagle okazało się, że część z nas, Grażyna, Krysia i jeszcze parę, uważa taki program za bardzo rozsądny i zdaje się, że nie marzy o niczym więcej. Uświadomiłam sobie nagle, że w dawnym „Lesie” też nie wszystkie zgłaszały się do pisania na murach czy do składania kwiatów pod pomnikami, czyli do tych akcji, które wymagały odrobiny ryzyka. A dotąd wydawało mi się, że tworzymy grupę, która myśli i czuje jednakowo.

14 X 1943

Nina urządziła nam wycieczkę harcerską, po której wszystkie jesteśmy wściekle. Ledwo ubłagałam mamę, żeby mnie puściła na pół dnia, niby to do Anki, na wspólną naukę i gadanie. Szczęście, że ta Anka nie ma telefonu i nie można sprawdzić, co się dzieje u niej w domu. No, ale jakoś się udało. Spotkałyśmy się w siedem na peronie EKD (reszta widocznie nie mogła) i pojechałyśmy do Leśnej Podkowy. Nina zaprowadziła nas zaraz do lasu, pokołowała trochę po ścieżkach i nagle zaczęła mówić, gdzie są jakie strony świata. Każda z nas miała na ten temat inne zdanie. Wtedy Nina pouczyła nas, że północ można zawsze rozpoznać, ponieważ na pniach drzew od północy usadzają się porosty nie lubiące słońca. Zaczęłyśmy sprawdzać i okazało się, że wszystkie sosny są omszałe dokładnie ze wszystkich stron. Trochę dalej stał samotny dąb i faktycznie był porośnięty tylko z jednego boku. Nina wyjęła kompas, który wykazał, że jest to bok wschodni. Pytałyśmy, kto się myli, dąb czy kompas, ale Nina nie była pewna. Schowała kompas i zaczęła nam tłumaczyć, że strony świata można też odczytać przy po-

mocy zwykłego zegarka, pod warunkiem, że świeci słońce. Słońce nie, świeciło i nawet myślał deszcz. Nie wiem, jak one, ale ja nic z tego wszystkiego nie rozumiałam. Było zimno i chciałyśmy już iść na tę wycieczkę, niestety Nina musiała jeszcze przerobić z nami ćwiczenia na azymut. Azymut jest to kąt pomiędzy północą a danym punktem w terenie i oblicza się go bardzo łatwo, tylko nie wiem po co.

Później poszłyśmy i wdrapałyśmy się na spory pagórek. Każda miała nogi mokre do kolan, bo już chwilę padało, a wszędzie rosły bujne wrzosi. Z pagórka widać było jakiś inny, na którym stała trójkątna wieża i Nina kazała dokładnie przyjrzeć się tej wieży, chociaż niewiele można było zobaczyć, bo była daleko, a deszcz robił się coraz większy. Złazłyśmy z powrotem i wtedy Nina oznajmiła, że mamy się rozejść i każda z osobna musi dojść najkrótszą drogą na tamtą drugą górkę, a punkt zborny będzie pod wieżą. Zaczęłyśmy jej tłumaczyć, że musimy iść wszystkie razem, bo jeżeli któraś odejdzie, to będzie oznaczało, że nie idzie najkrótszą drogą. Alicja powiedziała nawet, że jeżeli Nina nie jest z geometrii ostatnią ofertą, to powinna dawno wiedzieć o tym, że pomiędzy dwoma punktami można wytyczyć tylko jedną linię prostą. Nina się obraziła, powiedziała, że nie życzy sobie dyskusji, i poszła, ale od razu poszła trochę bardziej na lewo, niż było trzeba. My jeszcze chwilę postaliśmy, decydując po chwili, że trudno, rozejdziemy się, ale po dwie. Ja i Anka pójdziemy mniej więcej tak jak Nina, Wiśka z Alicją na odwrót: trochę za bardzo na prawo, a Grażyna i Lilka będą szły prosto, ale odpowiednio wolno, żebyśmy się wszystkie mogły za kilkanaście minut spotkać na właściwej drodze. I tak się stało. My cztery, które zataczałyśmy te łuki, leciałyśmy jak głupie i spocilyśmy się okropnie, a te dwie ze środka szły dla odmiany noga za nogą i zmarzły. Później spotkałyśmy się na wrzosowisku, skąd jak na dłoni widać było z daleka Ninę, sunącą wielkimi krokami w kierunku wieży. Mocno już lało i zrobiło mi się przykro, że ona dla nas marnuje sobie niedzielę. Reszta myślała widocznie o czymś podobnym, bo jak przygoniłyśmy zziąbane pod tę wieżę, to wszystkie uśmiechały się mile i któraś zawołała wesoło: „No, Ninka, jesteście!” Wtedy Nina zakomenderowała:

– Zastęp: Ba-a-czność! – i lodowatym tonem oznajmiła: – Teraz będziecie ćwiczyć musztrę.

Jak to usłyszałam, przeszły mi wszystkie dobre uczucia i zupełnie się wściekłam. Wrzasnęłam:

– A właśnie, że nie będziemy ćwiczyć żadnej musztry! – a cała reszta też zaczęła wołać, że mowy nie ma, i tylko jedna Lilka stała dalej na baczność i jęczała:

– Ależ, dziewczynki, tak nie można, ależ, dziewczynki...

Zrobił się jazgot, bo mówiłyśmy jedna przez drugą i bardzo głośno, a Nina milczała i była taka blada na twarzy, że widać było trzy razy więcej piegów niż normalnie. Dopiero kiedy Anka powiedziała: – „Chyba nie chcesz, żebyśmy wszystkie dostały grypy? Zdaje mi się, że najrozsądniej byłoby jak najszybciej iść na stację” – Nina nagle odwróciła się i zbiegła z pagórka. Pobieglyśmy za nią i już całą drogę odbyłyśmy truchtem. W pociągu stałyśmy wszystkie na platformie i z początku panowało głucho milczenie, ale w końcu Alicja zaczęła tłumaczyć Ninie, że wcale nie chciałyśmy jej zrobić przykrości, tylko nie rozumiemy, po co to wszystko było potrzebne. Jeżeli będziemy rozumieć, to zawsze zrobimy tak, jak sobie będzie życzyła, ale nie chcemy robić rzeczy nielogicznych. Wszystkie byłyśmy pomęczone i nie chciało nam się kłócić, więc już całkiem spokojnie wyjaśniałyśmy jej, że ćwiczenia z zegarkiem i na azymut można było przeprowadzić w Warszawie. Dęby i sosny i tak nie mają pojęcia, gdzie jest północ, a biegać ze wzgórką na wzgórek oczywiście możemy, ale wtedy, gdy nie pada. Biedna Nina bąknęła, że przebywanie na świeżym powietrzu na pewno nam się przydało i że się zahartowałyśmy. Myśmy się z tym zgodziły i do Warszawy dojechałyśmy już w zgodzie.

Byłam spóźniona i bałam się, co będzie w domu, ale na szczęście mama zorganizowała wczesnego brydża i akurat rozgrywała, więc miałam czas na zmienienie przemoczonych pończoch.

Wieczorem

Marek nie wrócił na noc. Zaczęłam się niepokoić już wcześniej, ale milczałam, nie chcąc straszyć pani Wysockiej. Dopiero kiedy minęła godzina policyjna, a pani Wysocka zaczęła nakrywać do stołu na cztery osoby zamiast na pięć, spytałam, gdzie on jest.

– U kolegi, mają się uczyć całą noc – odpowiedziała. Ale zaraz objęła mnie ramieniem, przytuliła. – Zresztą... Żyjemy jak w rodzinie, powiem ci. Marek jest w lesie, na ćwiczeniach.

Głos jej zadrżał i oczy zwilgotniały, chociaż się uśmiechała. Ja stałam jak kolek. Ale coś w tym momencie jakby we mnie pękło. Albo rozbito.

15 X 1943

Marek wrócił rano, a ja o nic nie spytałam. Nie chcę bajeczek o wspólnej nauce z kolegą.

16 X 1943

W Alejach Niepodległości, w biały dzień, Niemcy rozstrzelali na oczach ludzi kilkudziesięciu mężczyzn. Dziś szczekaczki bez przerwy podają nazwiska dalszych zakładników (jest jedna kobieta), którzy mają zginąć, jeśli jakiemuś Niemcowi stanie się coś złego.

Ostatnio ciągle są łapani. Wszyscy mówią, że wpaść teraz – znaczy zginąć. To jest potworne. Podobno tam, w Alejach Niepodległości, krew płynęła rynsztokami. Mama żąda, abym jak najmniej wychodziła z domu, ciocia Zosia (tak do niej teraz mówię, a Marek mówi „ciociu” do mojej mamy) błaga Marka, żeby nie pętał się po mieście bez koniecznej potrzeby, a ja wiem, że będę po całych dniach umierać ze strachu o mamę i o wszystkich.

18 X 1943

Wczoraj po południu, może w tym samym czasie, kiedy pisałam o egzekucji w Alejach Niepodległości, rozstrzelano na Piusa następną grupę osób. Wołali: „Niech żyje Polska!”

19 X 1943

Na dzisiejszej zbiórce Nina nawiązała do tego, co zaszło na wycieczce. Twierdziła, że rozumie naszą niecierpliwość i pragnienie czynu. Zapowiedziała, że w najbliższych dniach odbędzie się ognisko, na którym nasza drużynowa, ta sama Irka, której przekazywałyśmy forszę z przedstawień, będzie prowadziła gawędę specjalnie dla nas i wtedy wszystkiego się dowiemy.

Wygląda na to, że Nina przekazała wyżej nasze zastrzeżenia i władze postanowiły jednak stworzyć nam jakieś pole działania. Czekamy (przynajmniej część z nas) na to z niecierpliwością, już nam się przejażdło śpiewanie piosenek i dyskusje o kształceniu charakteru.

Z tym ogniskiem może być kłopot. Pewnie odbędzie się w niedzielę gdzieś pod Warszawą, a mowy nie ma, żeby mama zgodziła się na mój wyjazd. Odkąd zaczęły się egzekucje, nawet tu, po Warszawie, nie wolno mi chodzić samej i wszędzie, z wyjątkiem szkoły, prowadzi mnie Jadzia. Wszystkie moje koleżanki chodzą same, a ja muszę znosić taki wstyd! Ciocia Zofia tłumaczy, że to wiadomość o śmierci Tatusia w połączeniu z tym, co się dzieje na mieście, tak na mamę podziałały i że nie wolno mi z tego robić problemu. Kiedy to jest problem! To wszystko staje się nie do zniesienia!

Znowu się rozzłościłam na mamę, a tak sobie obiecywałam, że się poprawię. Ale czy w tych warunkach można?

21 X 1943

Wczoraj znów egzekucja koło Dworca Gdańskiego, nie wiem, ile osób. I rozstrzelali w niej chłopca o dwa lata młodszego ode mnie!

23 X 1943

Już nie jesteśmy w harcerstwie.

Wszystko skończyło się dzisiaj, w czasie owego „ogniska”. Odbyło się ono wcale nie w lesie, tylko w mieszkaniu przybocznej, jednej z tych starych dziewczuch z klasy maturalnej. W piecu paliła się świeca, a otwór był zatkany czerwonym celofanem. Okna zasłonięto i zgaszono światło, więc był „nastrój”. Siedziałyśmy wszystkie po turecku na dywanie, twarzami do tego pieca. Gawęda była, owszem. Irka powiedziała masę bzdur, znowu naturalnie o kształtowaniu charakteru, o gotowości na wypadek, o obowiązkach kobiety – Polki. Zwróciła się także specjalnie do nas:

„Mamy tu, w naszym gronie, kilka bardzo młodych i bardzo gorących duszyczek, które rwą się do czynu (one bardzo lubią to słowo i chyba mówią je z dużej litery). Nie wiedzą, że działanie nie w porę i w złą stronę skierowane jest gorsze, niż powstrzymanie się od działania. Cieszymy się, że są one wśród nas, że możemy je osłonić od niebezpiecznych, szkodliwych wpływów. Co nie znaczy, że pragniemy was odsuwać od rozsądnej pracy. Chcemy tylko nadać waszej szlachetnej pasji właściwy kierunek. Na Radzie Drużyny postanowiłyśmy,

że jeszcze w tym roku zdobędziecie sprawność sanitariuszki. Odtąd, raz na miesiąc, drużna Zytka będzie prowadziła dla was szkolenie z zakresu pierwszej pomocy”.

I to było wszystko. Siedzieliśmy osłupiałe, żadna nie powiedziała ani słowa, zresztą nikt nas o nic nie pytał. Zapalono małą lampkę i Irka odczytała podsumowanie działalności drużyny w poprzednim roku szkolnym.

Boże, co to była za nędza! Gawędy, ogniska, wycieczki i – na odwrotną – wycieczki, ogniska, gawędy; te ich ukochane sprawności: ta zdobyła taką, a tamta inną; dobre uczynki: ta ma sześćdziesiąt, a tamta sześćdziesiąt sześć. Jeszcze tam coś i jeszcze, zawsze w tym samym stylu, i wreszcie Patronat – to jedno zabrzmiało poważnie. Tylko że kiedy Irka odczytała łączną wysokość sumy, jaką drużyna wpłaciła na Patronat, i dodała słodko, iż „niemały w tym udział naszych najmłodszych druhenek z zastępu «Las»”, nie wytrzymałam i powiedziałam na cały głos:

– A niemały: przeszło trzy czwarte tego, coście w ogóle łączyły – i cały „Las” podskoczył jak ukłuty szpilką, Irka zgubiła wątek, a atmosfera ogólnie zrobiła się nie najlepsza. Szybko doczytano sprawozdanie do końca, zgaszono lampkę i któraś rzuciła rażno: „Śpiewamy!” Wtedy te wszystkie pannice zaczęły jęczeć błagalnie:

– Irka, Polesia czar! Koniecznie. Prosimy Polesie!

Byłyśmy bardzo ciekawe, co to będzie, bo nie znałyśmy żadnego „Polesia”. Nasza Nina nachyliła się ku nam i szepnęła:

– To melodeklamacja. Zobaczycie, jakie to piękne.

Irka trochę się certowała, ale uległa. Zrobiła się cisza, stare zaczęły nucić jakąś melodię, nawet ładną i smutną, świeca migotała sobie czerwono przez ten papier, zdaje się, że nas wszystkie trochę rozmarzyło. I nagle, niesamowitym basem, jakiego nigdy u niej nie słyszałyśmy, włączyła się Irka i bez żadnej melodii zadudniła:

– Pole-e-e-e-sia czar! To dzikie knieje, moczary...

Wtedy w naszym kącie zapiszczała Wiśka, dla odmiany niemożliwie cienko. Co prawda Wiśce niewiele potrzeba do śmiechu, za to śmieje się tak, że zaraża wszystkich. No i po sekundzie „Las” turlał się już po podłodze, Lilka darła się jak wariatka „O Jezu, trzymajcie mnie, bo trzasnę!” i „Ratunku, ratunku, oszaleję!”, a większość tych starszych też już zaczynała chichotać i parskać. Trwało to okropnie długo i urwało się zupełnie nagle, kiedy przyboczna wielkim głosem wrzasnęła:

– Cisza!

Zrobiło się cicho jak w grobie. Ja leżałam jeszcze na Grażynie i byłam zupełnie bez sił, kiedy Alicja wstała, otrzepała spódniczkę i powiedziała:

– To my już sobie pójdziemy.

Dygnęła bardzo ładnie i my wszystkie wstawaliśmy i też, nie wiadomo dlaczego, dygałyśmy jedna po drugiej. W ten sposób wyszłyśmy z „ogniska” i z harcerstwa.

1 XI 1943

Dzisiaj wydarzyła się bardzo przykra historia z Wiską.

Ponieważ już nie jesteśmy w harcerstwie, więc postanowiłyśmy wrócić do tego, co było, czyli do naszego dawnego „Lasu”. Na każde Zadzuszki robiłyśmy dotąd wieńce i teraz też pomyślałyśmy o tym samym. Miałyśmy mnóstwo kłopotów, bo czasu było niewiele, a w dodatku już prawie wszystkie wille tu, na Mokotowie, zostały zajęte przez Niemców i nie było skąd wziąć surowca. Z wielkim trudem znalazłam ogród nie pilnowany przez uzbrojoną wartę. Włazłyśmy do niego we dwie z Alicją, nacięłyśmy całą górę gałęzi i wieńce wyszły wyjątkowo ładnie, bo to były tak zwane srebrne świerki. Złożyłyśmy się jeszcze na światełka i Wiśka wszystko to wczoraj zabrała. Ona co roku i tak jeździ na cmentarz na grób swojej mamy, a stamtąd ma już niedaleko do kwater, gdzie leżą żołnierze. Nasze wianki i lampki były przeznaczone na te groby, którymi się nikt nie opiekuje, które są smutne i zaniedbane.

Nie miałyśmy dotąd czasu na zastanowienie się, co będziemy teraz robić w „Lesie”. Ponieważ dziś jest Wszystkich Świętych, więc zwołałyśmy zebranie na jedenastą rano, jak zwykle u mnie, żeby się nad wszystkim naradzić. Ale jak dziewczęta się zeszły, to przede wszystkim musiałam im powiedzieć, że już nie ma dawnych papierów „Lasu” ani naszej pieczętki, bo to wszystko musiało zostać zniszczone. Zaczęła się rozmowa na ten temat i Kryśka koniecznie chciała wiedzieć, co to się takiego stało, ale inne ją usadziły, że nos w sos, nogi w pierogi, zęby w otręby, szyję w pomyje, pupę w zupę, czyli całą tą litanią, którą się mówi wtedy, kiedy nie czyjś interes. Później doszłyśmy zresztą do wniosku, że takie protokołowanie czy pieczętowanie to głupia i niebezpieczna dziecinada, a w dodatku niepotrzebna, bo i tak pamiętamy, co zostało zrobione, a co nie. Zaczęło się normalne zebranie i w ja-

kimś tam momencie zapytałyśmy Wiśkę, jak jej poszło na cmentarzu. Wiśka chwilę milczała i robiła się coraz czerwiejsza, a później sięgnęła do kieszeni, położyła przed nami pieniądze i powiedziała:

– W ogóle mi nie poszło, bo wcale nie zawiozłam tych głupich wianków ani tych idiotycznych świecetek.

Nas zupełnie zatkało. Zaczęłyśmy pytać, co to znaczy, dlaczego tak zrobiła, ale niczego się nie dowiedziałyśmy. Wiśka powtarzała w kółko, że to wszystko jest głupie i bez sensu, ale nie umiała wytłumaczyć, czemu tak sądzi. Później Anka powiedziała coś o nielojalności i wtedy wszystkie zaczęły mówić jedna przez drugą, że tak nie wolno, że jeżeli cała grupa postanowiła, jak ma być, a ona, Wiśka, zgodziła się z nami i nie wysuwała żadnych zastrzeżeń, to potem, nawet jeżeli uważała, że to coś nie ma sensu, to i tak miała obowiązek zrobić do końca wszystko, czego się podjęła. Gadałyśmy i gadałyśmy, Wiśka się w ogóle nie odzywała i nagle wszystkie naraz umilkłyśmy. Wreszcie Alicja powie działa coś takiego:

– Wiśka, sama wiesz, że to było świństwo i że teraz to już...

A Wiśka wstała i wyszła, tylko jeszcze od drzwi rzuciła:

– Bawcie się dobrze!

Reszta posiedziała jeszcze jakiś czas, ale już nie robiłyśmy żadnych planów. W kółko na okrągło mówiło się, jak ta Wiśka mogła postąpić w ten sposób i co ją ugryzło. Teraz znowu trzeba będzie się umawiać na kolejne zebranie, żeby wreszcie postanowić coś na przyszłość.

A mnie, prawdę mówiąc, mało to wszystko obchodzi. I ta cała sprawa z Wiśką też mnie niewiele obeszła. Siedzę tu i piszę i robię to chyba tylko z przyzwyczajenia, bo najchętniej leżałabym zwinięta w supeł na tapczanie i myślała zupełnie o czymś innym.

3 XI 1943

Sprawa tego pamiętnika nie dawała mi spokoju, bałam się, że w razie czego mógłby się stać dla gestapo kopalnią wiadomości. Na szczęście znalazłam wreszcie idealną kryjówkę. Na klatce schodowej pod naszymi drzwiami znajduje się sprzęt przeciwpożarowy, między innymi skrzynia z piaskiem. Nikt do niej nie zagląda, bo i po co? Owijam brulion w ścierkę i wsuwam pod warstwę piachu, na wierzchu rysuję palcem jakiś es-flores, wrzucam te same dwa śmiecie, które już tam zastałam i koniec! Po otwarciu skrzyni zawsze sprawdzam, czy mój bazgroł

pozostał nie naruszony. Mam nadzieję, że żadnego pożaru nie będzie i nikomu też nie przyjdzie na myśl grzebać w piachu.

Nic ciekawego się nie dzieje. W budzie jakoś leci, z matmy już dostałam dwie kolejne tróje, gdyby nie łacina i fizyka, byłoby całkiem niezłe. Zajęcia krawieckie są zupełnie do zniesienia: szykujemy niemowlęce wyprawki, koszulki, kaftaniczki i czepeczki. Z batystów, flanel i cieniotkich wełenek, obszywane walansjenką, haftowane, zupełnie śliczne! Odbiorcą będzie, jak zwykle, Patronat. Jakby na przekór temu, co się dzieje w Warszawie, dzieci rodzą się na potęgę, także w więzieniach.

Kręciłam się dziś po mieszkaniu podśpiewując pod nosem „Szturmówkę”, kiedy mama nagle głośno się roześmiała. Ostatnio nigdy jej się to nie zdarzało, więc ze zdumienia zamilkłam, ale mama poprosiła, żeby powtórzyć jedną ze zwrotek. Chodziło jej o tę:

*Na placówkach pod Tobrukiem tam nie taki wietrzyk wiał.
Pod kul gradem i bomb hukiem przecież Polak murem stał.*

Rozbawiona opowiedziała mi, jak to parę tygodni temu, kiedy w czasie zbiórki z Niną śpiewałyśmy te same słowa, będąca u niej z wizytą ciocia Mania (ze strony Tatusia) powiedziała kiwając głową:

– Tak, tak, gdzie to Polacy teraz nie walczą... Tobruk w Afryce, Kulgrad w Rosji, a Bomhuk to chyba w Indiach, czy gdzie?

Mama mówi, że to jest lepszy dowcip od niejednego z tych, które krążą po Warszawie.

Piszę tu o drobnych i nieważnych sprawach, bo tak naprawdę to liczy się już tylko jedna. Wszystkie inne straciły znaczenie. I o niej nie potrafię napisać ani słowa. Ten pamiętnik nie jest już prawdziwym pamiętnikiem: nie ma w nim nic z tego, czym żyję. Wszystko inne stało się nieważne. Wiem, że to źle. Nie uczę się, rosną mi zaległości, coraz częściej obrywam dwóje. I myślę sobie: to dobrze, to znaczy, że Marek będzie mi musiał pomóc w nadrabianiu braków.

Marek bardzo się przyjaźni z Adzikiem, bratem Bliźniaków. Młodszy Bliźniak powiedział mi w tajemnicy, że oni są kolegami nie tylko od Rejtana, ale i z konspiracji. Adzik często przychodzi do Marka. Kiedyś podstuchiwałam pod drzwiami, bo chciałam wiedzieć, o czym gadają. Chociaż stałam z kwadrans, nie usłyszałam niczego, była zupełna cisza. Później spytałam Marka, czy się uczyli.

– Trochę – powiedział – ale głównie milczeliśmy. Z Adzikiem wspaniale się milczy.

Nie rozumiem tego. Wiem tylko, że ponieważ ja stale gadam, Markowi nigdy ze mną nie będzie wspaniale.

Są jeszcze i inne, pozaszkolne sprawy, które powinny być dla mnie istotne. Alicja przyniosła wiadomość, że starsza siostra Wiśki, Barbara, chce cały były „Las” poznać z kimś, kto zorganizuje dla nas jakąś robotę na serio. Tylko tutaj mogę się przyznać, jak mało mnie to ucieszyło. Wszystko, co przeszkadza mi w myśleniu stale o tym samym, co zmusza do codziennego życia, traktuję jak wstrętny przymus, a ludzi, którzy zwracają mi czymkolwiek głowę, nie cierpię. Do tego znowu zrobiłam się nieznośna. Ostatnio już było lepiej, czasem tylko kłóciłyśmy się z Jadzią, z mamą była zgoda. Teraz jestem arogancka i nastliwa, przede wszystkim wtedy, kiedy jesteśmy z mamą same. Bo wtedy, kiedy mi zależy, zachowuję się jak baranek. Skąd mi się wzięła taka przewrotność? Dawniej byłam po prostu stale jednakowo obrzydliwa.

Jest smutno, smutno, smutno.

Te świnię ciągle rozstrzeliwują ludzi.

Odejścia i powroty

Jak to właściwie było z tymi wieńcami, z nagłym wyłamaniem się Wiśki z podjętego wspólnie postanowienia, a potem z jej rolą w ponownym odnalezieniu się części „Lasu” pod skrzydłami kolejnej organizacji. Co przeżywała ta dziewczynka, która tak raptownie odeszła po to, aby niemal zaraz wrócić w dawne środowisko?

Wiśka pamięta dokładnie kulisy swego odszczepieństwa:

– Wszystkie byłyśmy już znużone jałowością zarówno tego, co same robiłyśmy, i tego, co nam oferowano w harcerstwie szkolnym. A ponieważ wchodziłyśmy w wiek buntowania się przeciwko dorosłym, do których zaliczałyśmy też starsze od nas o kilka lat „druhenki”, więc wszelkie ich wysiłki kwitowałyśmy szyderstwem. Na własny użytek nie potrafiłyśmy jednak wynaleźć już niczego, co nadałoby naszej działalności jakiś sens. Myślę, że po cichu każda z nas odczuwała to w mniejszym lub większym stopniu, ale tylko ja jedna miałam w domu złego (a może raczej dobrego?) ducha, który to samo mówił na głos. Była nim moja siostra Barbara, starsza ode mnie o cztery lata. Dla niej tworzyłyśmy zabawne widowisko: grupa dziewczynek ogromnie tajemniczych, a bezustannie podnieconych. My same uważałyśmy się oczywiście za szalenie powściągliwe. Mimo dziewiętnastu lat Baśka była już całkowicie dorosła. Nie istniało dla niej nic, co byłoby ją w stanie do takiego stopnia podekscytować, toteż patrzyła na nas, jak na młode, ale zdeklarowane wariatki. Naturalnie typowe byłyśmy wtedy my właśnie, a nie ona. Wtedy, w Zaduszki, kiedy zjawiłam się w domu z naręczem wianków, Barbara zmrużyła oczy i zapytała słodko, czy znowu moje najdroższe koleżanki, którym nie chce się wytykać nosa z domu i nabawić kataru, zrobiły ze mnie kozła ofiarnego? Następnie zaś podsumowała nasz „Las” słowami, w których „nonsens” i „bzdura” przewijały się nader często. Miała duży dar przekonywania, ale chyba nie

dałabym się tak prymitywnie podpuścić, gdyby to nie trafiło na moment impasu... W każdym razie nagle uwierzyłam jej bez zastrzeżeń i wyrzuciłam wieńce do śmietnika. „Lasowi” nie umiałam powtórzyć żadnego z bogatych argumentów mojej siostry i kiedy miałam zreferować punkt trzeci porządku dziennego – „sprawozdanie z akcji zaduszkowej”...

– Widzę, że pani rzeczywiście bardzo dokładnie zapamiętała ten dzień – roześmiałam się.

– A jak mogło być inaczej? Dla dziewczynki w moim wieku było to ciężkie przeżycie. Zrobiłam wszystko za cudzym podszeptem, a jednocześnie na fali przekonania, że jestem mądrzejsza i dojrzała od reszty. Nagle: krach, okazało się, że zostaję sama i nie mam już nic.

– Ale to pani, wychodząc, przekreśliła szansę jakiegoś dogadania się.

– I tak by mnie wylały. Zawsze gdy jakaś organizacja traci tak ważne treści ideowe, zaczyna się w niej celebrować formę jako to ostatnie, co jeszcze zostało do uratowania. Musiały mnie wylać. Mogłam tylko próbować wyjść z tego wszystkiego „z twarzą”.

– A dalej? Jak to się stało, że spotkałyście się znowu?

– W tym także była ręka Barbary. Prawdopodobnie dla niej to był jednak ciężki widok ta moja samotność i smutek. Zorientowała się, że zabawiła się mną trochę ponad dopuszczalne granice, i sama przyszła z propozycją, że jedna z jej znajomych mogłaby nas przyczepić do harcerstwa o trochę odmiennym profilu. Żadna z nas wtedy oczywiście nie wiedziała, że będzie to jeszcze coś zupełnie innego.

Okazuje się więc, że odczucia Wiśki i Ewy były w pewnym momencie podobne... Przecież już w Popielewku Ewa miała świadomość wyrośnięcia z „Lasu”, pisała o nim z odcieniem zniechęcenia i robiło wrażenie, iż wcale nie pragnie, aby ta działalność trwała nadal. Dlaczego więc zaakceptowała ją teraz ponownie, a nawet uczestniczyła w nagonce na Wiśkę? Wydawałoby się, że powinna raczej stanąć po jej stronie, a w każdym razie podzielać te pobudki, których tamta nie umiała wyrazić słowami. Tymczasem treść zapisu w pamiętniku nie wskazuje na najłżejszy nawet cień zrozumienia. Ewa opisała po prostu jedno więcej wydarzenie, a na zakończenie stwierdziła, że mało ją to wszystko obchodzi.

Gdyby w dziennikach Ewy chciało się wyodrębnić jakieś dwie części, to właśnie gdzieś tutaj, około połowy listopada 1943 roku, należa-

łoby wyznaczyć początek części drugiej. Pierwszą – z całym jej bagażem retrospekcji, z tym ciągłym przyglądaniem się dziadkom, ciotkom, wujkom i sobie na ich tle – należałoby nazwać „Pożegnaniem dzieciństwa”. Druga część, w której liczyć się będzie już tylko „dzisiaj”, mogłaby nosić tytuł „Powitanie młodości”.

W listopadzie zamyka się etap, w którym Ewa znajdowała jeszcze dość odporności, aby prostować się wewnętrznie po wszystkich kolejnych ciężkich przeżyciach; zarówno letnia ucieczka do Popielewka, opłacona przecież wieloma dniami lęku o matkę, jak i rozpacz po śmierci Tatusia-ojczyrna nie wytrąciły jej jednak z wydeptanych, codziennych ścieżek. Teraz wszystko zacznie się gmatwać. Na zewnątrz, a przede wszystkim wewnątrz Ewy zrodziły się sprawy, z którymi coraz trudniej będzie się uporać, a ciepłe i bezpieczne przystanie, jakimi mimo wszystko były dotąd dom, szkoła i krąg przyjaciółek, zmienia się w miejsca pełne wirów i raf. Podkreślam to z całym naciskiem, gdyż postawy Ewy wobec obowiązków, jakie niebawem na siebie weźmie, nie można z pewnością uważać za postawę pokolenia. Szereg moich rozmówczyń, zaangażowanych podówczas w podobną działalność co Ewa i równie jak ona niedorosłych, przekazywało mi jednak inny obraz swych odczuć: entuzjazm dla podejmowanych zadań i poczucie celowości spełnianych prac. A ta nuta rozbrzmiewa w pamiętniku słabo, bardzo słabo, przytłumiona przez trudności dnia codziennego, a przede wszystkim – przez borykanie się z chaosem wewnętrznym. Stosunek do sprawy Wiśki i „Lasu” jest zaledwie pierwszym tego sygnałem.

Pamiętnik Ewy

O SAMYCH TRUDNYCH SPRAWACH

10 XI 1943

Ciągle teraz kaszlę i mam stany podgorączkowe. Ciocia Zosia twierdzi, że jedyne na to lekarstwo – wyrzucić termometr. Postanowiłyśmy, że od dziś przestaję mierzyć temperaturę, a jutro wyjdę na trochę z domu.

Wczoraj coś mnie napadło i do późnej nocy wkuwałam gramatykę łacińską. Okazuje się, że nie jest to takie trudne, jak myślałam. Wynajduję sobie różne zajęcia, a z racji tego, co się ze mną dzieje, wkuwanie ma największy sens, bo przynajmniej przynosi jakieś korzyści.

Taką mam ochotę na coś słodkiego, a nic w domu nie ma. Bardzo często teraz wyjadam cukier i boli mnie brzuch. Mama grozi, że zacznie zamykać kredens na klucz. Nie zrobiła jeszcze tego, więc pójdę i sobie podjem.

11 XI 1943

Z Markiem nawet matematyka jest szczęściem.

18 XI 1943

Długo nie pisałam.

Pod poprzednią datą znajduje się zdanie, które mogłabym tu powtórzyć codziennie. A poza tym nie pisać ani słowa. Nie myślałam, że to tak jest. Że to przesłania wszystko. Jestem senna i zobojętniała. Nic a nic mnie nie obchodzi, o czym mówią moje koleżanki, co dzieje się w szkole i co dzieje się ze mną. Nie mam najmniejszej ochoty na pisanie, ale tłumaczę sobie, że sama nałożyłam na siebie ten obowiązek i jeżeli nie będę go wypełniać, to rozkleję się zupełnie. Dlatego zanotuję jednak wydarzenie, które zaszło ostatnio.

Parę dni temu weszła do naszego mieszkania młoda i bardzo piękna kobieta w lekkim, fokowym futrze. Oznajmiła od progu, że chce obejrzeć mieszkanie. Mama zdziwiła się:

– Pani musiała się pomylić. Moje mieszkanie nie jest do wynajęcia.

– Toteż ja nie zamierzam niczego wynajmować. Jestem niemką i szukam odpowiedniego lokalu dla siebie i rodziny – odpowiedziało bóstwo najczystszą polszczyzną. Przedefilowało przez wszystkie pomieszczenia i wyszło bez słowa. Jeszcze tego samego dnia zapłakana pani Rowińska i jej syn znieśli do rikszy kilka walizek i odjechali gdzieś w świat. W ten sposób piętro niżej mamy pierwszych w naszej kamienicy „niemców” – osobę o dziwnym nazwisku Beredke i jej dwoje małych dzieci. Bachory nazywają się Erwin i Luiza. Mówią wyłącznie po polsku. Myśmy ocaleli, bo nasze mieszkanie jest większe i trudniej je opaścić. Ta Beredke powiedziała do dozorczyń:

– Nie mam ochoty męczyć się z więcej niż trzema piecami.

Mam nadzieję, że i tak będzie marzła! W naszym pionie wszystkie mieszkania są zimne. Ja już musiałam wynieść się ze swojego pokoju, który ma dwie ściany szczytowe i jest nie do ogrzania. Jak każdej zimy mieszkam teraz w małym gabineczku przylegającym do jadalni i mającym z nią wspólny piec. W pokoju państwa Wysockich jest znośnie, bo oprócz pieca grzeje w nim jeszcze ściana z przewodami kominowymi. Ale mama marznie i mówi, że chyba będzie musiała przenieść się ze spaniem do stołowego. Mamy mało opału, trochę brykietek i kupkę miału węglowego. Na szczęście Jadzia nauczyła się palić miałem. Trzeba go zmoczyć, szczelnie zawinąć w gazetę i dopiero kłaść na rozżarzone brykiety, bo jeśli się go wyspuje bezpośrednio na ogień, to albo tłamsi płomień, albo wybucha na pół pokoju. Jedno i drugie zdarzało się u nas dawniej wielokrotnie, ale podobno przed wojną nie paliło się miałem, więc Jadzia nie wiedziała, jak się z tym obchodzić. Podobno paliło się wyłącznie węglem, który dawał dużo więcej ciepła. Rzeczywiście, nie pamiętam, abym w dzieciństwie w tym samym mieszkaniu kiedykolwiek marzła i musiała się wyprowadzać z mojego pokoju.

21 XI 1943

Siostra Wiśki dotrzymała słowa. W czwartek miałyśmy spotkanie z dwiema kobietami. Starsza, w poważnym stanie, wyjaśniała nam, czego się będzie od nas wymagało i jakie będą nasze zadania. Mamy być

przeszkolone w łączności. Powiedziała, że odtąd nie będzie się liczyć, czy ktoś ma czas, czy też jest zajęty, czy jest dzień, czy noc, niedziela czy dzień powszedni. Jeżeli wyniknie konieczność wyjazdu z Warszawy, nikt nas nie będzie pytał, czy rodzice się na to godzą, nikogo też nie będzie obchodziło, jak sobie radzimy z obowiązkami w szkole. Że za wszystko, co będziemy robiły, czeka nas śmierć, jeśli pozwolimy się złapać. Dlatego dają nam trzy dni do namysłu. Te z nas, które się zdecydują, nie będą już później miały żadnego usprawiedliwienia i żadnej drogi odwrotu.

Jutro mamy się spotkać ponownie, a ja nadal nie wiem, co zrobić. Wiem natomiast parę rzeczy: 1) Robienie tego wszystkiego bez wiedzy mamy jest chyba niewykonalne, a z jej wiedzą – tym bardziej. Jestem bez przerwy pilnowana. Jeżeli mama się dowie, to oczywiście zabroni mi kategorycznie, ja nie będę mogła się wycofać i zacznie się piekło dla nas obu. 2) Nie mogę się urywać ze szkoły, bo grożą mi lufy z dwóch przedmiotów. 3) Nie mam już serca do niczego i nic mi się nie chce. 4) Zupełnie nie potrafię sobie wyobrazić, co będzie, jeśli wpadnę. Nie boję się tego, że mnie zabiją. Ale nie wiem, czy wytrzymam tortury. Zresztą tego się chyba nigdy nie wie. Żaden człowiek, który musi podjąć taką decyzję jak moja, nie był przedtem torturowany. Więc przynajmniej pod tym względem moja sytuacja jest normalna. Ale poprzednie trzy punkty dowodzą, że w żaden sposób nie mogę się w to pakać.

Jak ja się strasznie zmieniłam... Niecały miesiąc temu, w okresie harcerstwa, marzyłam o prawdziwej robocie. Całe życie marzyłam. Dopiero teraz... Z Niną śpiewałyśmy: „Wszystko co nasze Polsce oddamy, w niej tylko życie, więc idziem żyć”, wtedy bardzo chciałam wszystko oddać, tylko nikt nie chciał brać. Teraz chyba przyszła ta chwila i co? Chciałabym przespać tę całą sprawę, szkołę, wojnę i ten ciągły ból i obudzić się zupełnie inna albo przynajmniej taka jak dawniej. A tu nie ma mowy o śnie i trzeba jakoś żyć, tylko jak? Mama powiedziała wczoraj:

– Zaprzyjaźniłaś się z mądrym i poważnym chłopcem, miałam nadzieję, że to wpłynie na twój charakter, ale niestety...

Mama nie wie, że wpłynęło. Wpłynęło w ten sposób, że przy nim jestem i lepsza, i rozsądniejsza, tylko że to wszystko znika, kiedy zostaje sama. Wtedy jest mi tak okropnie, że po prostu od tego staję się zła.

Klamka zapadła. Właśnie wróciłam od Alicji ze spotkania z tą brzuschatą i tą drugą – Wera. Do ostatniej chwili nie wiedziałam, co mam zrobić, i strasznie się denerwowałam. Na szczęście usiadłam tak, że „spowiadałam się” jako jedna z ostatnich. Pierwsza powiedziała Wiśka:

– Zdecydowałam się i proszę o przyjęcie.

Za nią Alicja: – Ja również.

A później po kolei kilka takich, które się wycofywały. Mówiły:

– Mamusia powiedziała, że jesteście jeszcze za młode...

– Tatuś powiedział, że jakby doszło o walki, to weźmie mnie ze sobą...

– Doszłam do wniosku, że jest wiele innych sposobów służenia Ojczyźnie...

Strach było tego słuchać. Wstydziłam się za nie i za siebie tak okropnie, że już wiedziałam, że mi żadna taka dyrdymała nie przejdzie przez gardło. Po nich Anka, jak zwykle spokojnie:

– Proszę o przyjęcie.

I następna z tych dziamgających bidulek, że ona by chętnie, tylko boi się, że w razie czego mogłaby nie wytrzymać tortur, więc może kiedyś, jak podrośnie...

Zostałyśmy na placu boju tylko we cztery, Alicja, Anka, Wiśka i ja. Wera okazała się naszą bezpośrednią zwierzchniczką. Nie powiedziano nam, co to za organizacja. Dowiedziałyśmy się tylko, że zbiórki i szkolenia będą się odbywały dwa razy w tygodniu, między godziną pierwszą a trzecią, bo o innej porze Wera nie ma czasu. Raz na tydzień kończymy lekcje dostatecznie wcześniej, aby zdążyć po szkole. W domu powiem, że nam zmienili w tym dniu program zajęć. W pozostałe dni będziemy się jakoś urywać. Dla mnie to jeszcze całkiem wygodnie, gorzej byłoby, gdyby trzeba było wychodzić z domu po południu. Chyba nie pisałam dotąd o tym, że w tym roku utworzono w szkole dwie równoległe klasy krawieckie (czyli trzecie gimnazjalne, jak kto woli) i że my z Anką wylądowałyśmy w A, a Wiśka i Alicja w B. Byłyśmy z tego powodu wściekle, zwłaszcza Alicja strasznie się piekliła, że „Las” uległ rozbiciu. Teraz okazało się, że wyjdzie nam to chyba na korzyść: równoczesne znikanie czterech dziewcząt natychmiast zwróciłoby uwagę, dwie mają większe szanse.

Mama mówi, że za jej czasów jeszcze w klasie maturalnej trzeba było przynosić od rodziców usprawiedliwienie każdej nieobecności. Od nas nikt tego nie wymaga, wiadomo, że jeżeli któraś nie przyszła, to znaczy, że nie mogła. Dopiero jeśli to trwa parę dni i dom uczennicy nie daje znaku życia, to sprawdza się, czy nie stało się coś złego. Czasem okazuje się, że rzeczywiście zaszło najgorsze.

Najwcześniej zniknęły z klasy moje koleżanki Żydówki, Anusia Blum i Magdusia Kohn-Mirska, a po śliczną, niebieskooką Krysię Sokalską gestapo przyszło do szkoły. Później przepadła Teresa Załęska; dowiedziałyśmy się, że jej rodziców i brata gestapo wygarnęło w nocy z domu, a Teresę zabrała do siebie ciotka mieszkająca na Żoliborzu. Teraz Teresa chodzi tam do szkoły, a jej rodzina nie żyje.

W zeszłym roku przestała przychodzić Maryjka Giedgud – podobno wpadła. Nie wiemy, co robiła i z czym ją nakryli. Nie sposób się też dowiedzieć, czy żyje i gdzie się znajduje. Kiedy jeszcze robiłyśmy nasze trykotaże, myślałam czasem o Maryjce: może jest na Pawiaku i jakaś czapka albo szalik trafi przez Patronat właśnie do niej?

Tak więc teoretycznie mogłybyśmy wiać z końcowych lekcji bez większych obaw, gdyby nie historia ze szkolnym harcerstwem. Nasze „ciało” jest na nas z lekka obrażone. Wprawdzie nikt nam nie powiedział złego słowa, ale zarówno „druhny”, jak i większość nauczycielek traktuje nas chłodno. Kawica nadal soli mi piątki, ale już się nie roztkliwia nad „dojrzałością” i „łatwością wypisania się”, a odwrotnie, robi coraz częściej uszczypliwe uwagi na temat mojej ortografii. Trudno, nigdy nie będę pisać poprawnie. Mama, odkąd zobaczyła „Żym” zamiast „Rzym”, mówi, że taki brak pamięci wzrokowej to zupełne kalectwo i że to musi mieć związek z moją nadmierną pamięcią słuchową. Jeśli to rzeczywiście kalectwo, to Kawica nie powinna mi dogadywać. A poza tym dawniej pisałam jeszcze gorzej, co zdanie, to byk. Innych też się czepia: Grażynę sfukała za „niechlujny język”, a Wiśca powiedziała coś kąśliwego o „poczuciu humoru w nie najlepszym stylu”, co już jest nieprawdą, bo Wiśka w ogóle jest „w dobrym stylu”. Wszystkim nam z byłego „Lasu” przygląda się podejrzanie uważnie. Jeżeli spostrzeże, że cztery z nas urywają się jednocześnie – z całą pewnością nie zatrzyma tego przy sobie i może nawet zawiadomić matki. A wtedy będzie klops z rolmopsem.

No i znowu się zdenerwowałam. Właśnie miałam napisać, że po podjęciu decyzji zrobiło mi się lżej na duszy, a tu okazało się, iż sama myśl o domu zwała się na mnie ciężarem.

Przesiadłyśmy się. Anka zajęła miejsce w pierwszej ławce po lewej stronie klasy, ja – w przedostatniej po prawej. Chodzi o to, żeby świecąca pustkami stale ta sama ławka nie wpadła belferzycom w oko. Jutro pierwsza zbiórka.

Siedzę teraz z bladą, długą i małomówną Kaliną. Z dziewcząt „pozasowych” lubię ją chyba najbardziej z całej klasy. Szkoda tylko, że uczy się nie lepiej ode mnie. Od Anki zawsze mogłam ściągać, teraz będzie prawdziwa rozpacz. Anka pociesza mnie, że niektóre lekcje będziemy odrabiały razem, ale już widzę tę współpracę: ona w lot chwytająca wszystko i ja słuchająca treści zadań jak tureckiego kazania. Nawet teraz, chociaż dzięki Markowi coś niecoś mi już świta, różnica między nami jest ciągle przeogromna.

Te lekcje z Markiem... Pewnie mogłabym z nich mieć mnóstwo korzyści, ale nie mam: Dwa razy w tygodniu jestem sadzana nad książką i edukowana. Zdawałoby się, że fizyka i matma nie powinny już mieć przede mną żadnych tajemnic. Tymczasem figa z makiem. Z łaciny, którą obkuwam sama, mam już dwie czwórki. Natomiast lekcje z Markiem upływają mi teraz w stanie całkowitego ogłupienia. Marek tłumaczy, a ja słucham. Słucham brzmienia głosu, patrzę na jego rękę, na palce trzymające ołówek, uczę się na pamięć kształtu każdego paznokcia. W myślach mówię do niego, opowiadam o sprawach, o których nigdy nie powiem na głos, próbuję zaczarować go, aby to on powiedział coś takiego, od czego będzie łatwiej żyć. Marek rozkazuje „powtórz” i okazuje się, że w ogóle nie słyszałam, co mówił. I wychodzę na tumana. Co gorsza, wiem, że nie jestem wcale takim kompletnym matolem. Byłam zawsze leniwa bałaganiara, myśląca o wszystkim, tylko nie o nauce i dlatego po ciągłych chorobach doszło w drugiej gimnazjalnej do tego, że ledwie zdałam. Więc tym bardziej się wstydzę przed Markiem, zdarza się, że po lekcji płaczę i postanawiam podziękować mu za te korepy, i więcej się nie kompromitować. Ale minie godzina, a ja znowu tęsknię do naszych spotkań.

Niedawno (ale jeszcze zanim pojawił się mój „Markowy problem”) czytałam „Przedwiośnie”. Nie lubię tej książki, w której wszyscy ludzie są źli, i nie cierpię Cezarego, którego pociąga tylko to, co brutalne i wstrętne, który nie kocha naprawdę nikogo ani niczego, a niszczy wo-

kół siebie wszystkich i wszystko. Ale dopiero teraz przypomniałam sobie, w jaki sposób Żeromski namalował obraz Wandy – trucicielki. Pannica mrukliwa, dwóch zdań sklecić nie umiejąca, niewydarzony podlot, nieszczęśliwa i nieprzytomna od tej swojej miłości. Jestem taka sama, w czasie naszych lekcji i wtedy, kiedy jesteśny wśród obcych ludzi. Tak mnie muszą widzieć inni. Tylko że nie mam talentu muzycznego.

Wczoraj wieczorem zjawiła się u nas ta Beredke. Chciała skorzystać z telefonu. Mama wyszła na czas jej rozmowy z pokoju, ale Beredke przyłapała ją, wychodząc, w korytarzu i oznajmiła:

– Nie opłaca mi się robić starań o założenie aparatu, będę dzwoniła od pani.

A ponieważ mama milczała, więc dodała:

– Niech się pani nie obawia, potrafię być wdzięczna.

Perspektywa nagłych wizyt tej osoby o każdej porze dnia i nocy oznacza, że teraz trzeba będzie okropnie na wszystko uważać, i to nie tylko w takich sprawach jak np. gazetki, ale i w takich głupstwach, jak moje gimnazjalne podręczniki czy zeszyty. Zawsze rozwalalam je bez troski po całym domu, teraz ta jędza nauczy mnie, zdaje się, porządku. A co do telefonu, to Beredke ma chyba rację twierdząc, że jej się nie opłaca go zakładać: na wschodnim froncie Niemcy regularnie biorą w kuchnię i wszyscy mówią, że wojna skończy się na wiosnę. Swoją drogą ciekawa jestem, jak to się żyje bez wojny.

Mama powtarzała nam rozmowę z Beredke przy kolacji i widać było, że jest bardzo niespokojna. Wtedy Marek mruknął:

– Zdaje się, że jest na tę babę sposób...

A widząc nasze zdziwione miny, zaprosił wszystkich do pokoju państwa Wysockich, tam wetknął każdemu do ręki cieką, porcelanową filiżankę, zwinął dywan i wyciągnął się jak długi na podłodze ze słowami:

– Proponuję, aby państwo poszli w moje ślady.

Dorośli patrzyli na niego jak na zielonego kota, ale ja rymnęłam zaraz na podłogę, tak samo ustawiłam filiżankę denkiem do góry i tak samo do tego denka przyłożyłam ucho. I nagle dobiegł mnie z dołu męski głos, zupełnie wyraźny i nie zniekształcony:

„Minionej nocy alianckie siły powietrzne dokonały nalotów na szereg miast niemieckich. Obiektem ataków stało się między innymi Zagłębie Ruhry, Kolonia i Hamburg...”

Zaczęłam wrzeszczeć z radości, a mama i państwo Wysocky już nie czekali dłużej, tylko wyciągnęli się zgodnie obok nas. Wysłuchaliśmy prawie całego komunikatu, o walkach na froncie wschodnim, o posuwaniu się aliantów we Włoszech i o ciężkich zmaganiach Niemców z jugosłowiańską partyzantką. O Polsce nic nie było, ale na pewno będzie innym razem. Kiedy rozległ się śmieszny sygnał końcowy bum-bum-bum-bum! (mama mówi, że to sygnał stacji angielskiej) i ta baba zgasiła radio, podnieśliśmy się z podłogi. Ciocia Zosia miała mokre oczy i policzki. Słuchała radia, tak jak i ja, po raz pierwszy od czterech przeszło lat. Teraz będziemy urządzać sobie takie seanse codziennie. Marek mówi, że fakt słuchania przez Beredkę angielskich komunikatów może w razie czego posłużyć do postraszania jej, gdyby chciała nam szkodzić. Nawet rodowici Niemcy dostają za to od swoich kulkę w łeb, a przynajmniej pakuje się ich do obozu.

27 XI 1943

Strasznie lubię wieczory. To jedyna pora dnia, kiedy wszyscy są w domu. Kolacja gromadzi nas przy wspólnym stole, a i później, kiedy talerze są już sprzątnięte, nikt jakoś nie spieszy się z odejściem. Najwcześniej znika zapracowany Marek, następnie, niestety, wyrzuca się mnie i tylko mama z państwem Wysockimi rozmawiają długo w noc.

Staramy się nie mówić o smutnych i strasznych rzeczach. Odwrotnie, plecie się głupstwa; dorośli wspominają różne zabawne wydarzenia sprzed wojny, a ciocia Zosia opowiada historyjki ze sklepu z aparatami radiowymi, w którym teraz pracuje. Są w nim zatrudnione dwie ekspedientki Polki, reszta personelu jest naturalnie szwabska. Ta druga pani zna język niemiecki dosyć słabo i od czasu do czasu robi przekomiczne błędy. Ostatnio kupowali radio żołnierze z jakiegoś tam oddziału pociągu pancernego, co po niemiecku brzmi Panzerzüge-Abteilung. Zażądali rachunku. Ta pani wykaligrafowała u góry „Panzerziege” (Ziege znaczy koza), na co ci żołnierze podnieśli taki wrzask, że zlecieli się wszyscy pozostali pracownicy sklepu. Teraz o tej pani nie mówi się inaczej jak Koza Pancerna, nawet Niemcy, jak są w dobrym humorze, zwracają się do niej w ten sposób.

Na wieczorne spotkania zaczęłam znosić powieści Misi Ciepielewiczówny, naszej klasowej literatki. Pierwsza z nich, pod tytułem „Iren-

ka”, to historia miłosna pomiędzy tytułową bohaterką a niejakim Romusem. Trzy czwarte zeszytu zajmują wzdychania tej pary, pozostałą część – opis „tualety” ślubnej panny młodej i ceremonii w kościele (bo to jest powieść z happy endem), ostatnie zdanie zaś brzmi:

„A po trzech miesiącach Irenka urodziła śliczną córeczkę, maleńką Irusię”.

Nie wiem, czy ta Miśka jest naprawdę taką idiotką, czy udaje! W każdym razie, kiedy oddawałam jej „Irenkę” i bezczelnie powiedziałam, że moja rodzina była zachwycona, natychmiast pożyczyła mi następną powieść, nazywającą się „Długa wędrówka”. Tym razem jest to historia z Dzikiego Zachodu. Bohaterowie Mary i John, także bardzo zakochani, z bliżej nieznanych powodów odbywają jakąś olbrzymią podróż. Najpierw jadą konno i dowiadujemy się, że „spod kopyt rumaków pierzchały na boki stada słoni, żyraf i szaraków”. Następnie wsiadają do pociągu, który unosił ich w dal aż przez trzy doby. „Gdy pociąg ruszył ze stacji początkowej, Mary rzekła:

- Smutno mi, John.
- Dlaczego, Mary? – zapytał John.
- Nie wiem – odrzekła Mary i do końca podróży panowało milczenie”.

Czytamy, zaśmiewamy się, a cytaty z Misi weszły do domowego języka. Mama, kiedy chce mnie uciszyć, mówi: „Proszę, aby do końca podróży panowało milczenie”. „Szaraków” używa się na oznaczenie bzdur. „Pleciesz szaraki” – strofuje ciocia Zosia swego męża, kiedy dowodzi, że koniec wojny musi być równocześnie końcem nas wszystkich. I tak dalej.

Radiowe seanse trwają. Jesteśmy teraz zorientowani w sprawach, o których Warszawa dowie się najwcześniej jutro albo i za kilka dni, kiedy do ludzi dotrą gazetki.

30 XI 1943

Zauważyłam, że kiedy dzieje się coś ważnego a nieprzyjemnego, robię wszystko, aby o tym nie pisać. Z tego powodu gryzmoliłam o powieściach Misi Ciepielewiczówny. Bo po pierwszych trzech zbiórkach z Werą byłam dość przygnębiona i bardzo mi się nie chciało wracać do nich myślą.

Na początku Wera egzaminowała nas ze znajomości miasta, zarzucając gradem pytań:

- Gdzie jest ulica Targowa?
- Czym dojedziesz na Solec?
- Gdzie znajduje się kościół Dominikanów?
- Jakimi ulicami dojdiesz z placu Zbawiciela na Pańską?

Alicja i ja byłyśmy jak tabaka w rogu, trochę lepiej radziły sobie Anka i Wisia, które mieszkają w Śródmieściu, ale ogólnie Wera była z nas bardzo niezadowolona. Na następne spotkanie kazała nam nauczyć się z planu ulic Śródmieścia i powtórzyć sobie jego ważniejsze obiekty: urzędy, poczty, place targowe, dworce. Wkuwałam przez dwa popołudnia. Pod pretekstem wypracowania z polskiego i nie przeczytanej lektury wykręciłam się nawet od lekcji z Markiem i w rezultacie odpowiadałam wcale nieźle. Cóż z tego, skoro ta wiedza jest czysto teoretyczna. W praktyce nadal nie będę umiała trafić ze Wspólnej na Żelazną ani z domu na plac Grzybowski.

Teraz przerabiamy kolejno Ochotę i Wolę. To są dzielnice, w których większość nazw brzmi dla mnie zupełnie obco. Wszystko wina tego idiotycznego wychowania!

Wera powiada, że w naszej przyszłej pracy musimy poruszać się po Warszawie zupełnie samodzielnie. Nie będzie nam wolno pytać przechodniów o drogę ani posługiwać się planem miasta. Plan, podobnie jak każda mapa, może natychmiast wzbudzić podejrzenia – twierdzi Wera.

Zaraz na początku wybrałyśmy sobie pseudonimy i tylko nimi się teraz posługujemy. Warunek – zwyczajne imiona, nie żadne pompatyczne określenia pachnące na kilometr konspiracją. Wera nagliła, nie pozwoliła na długie namysły. Powiedziałam:

- Może być Wanda – i dopiero znacznie później uświadomiłam sobie, skąd mi się to wzięło: akurat poprzedniego wieczora pisałam tu o Wandzie z „Przedwiośnia”. No i mam patronkę...! Nawet się trochę boję, czy to nie jest aby jakaś zła wróżba na przyszłość?

W dodatku zdenerwowała mnie jeszcze ta wstrętna Barbara, siostra Wiśki. Nasze zbiórki odbywają się u nich w mieszkaniu i kiedy przyszedłam tam po raz pierwszy, zastałam Barbarę wylegającą się na tapczanie w przechodnim pokoju. Powiedziałam „dzień dobry” i chciałam przejść dalej, ale mnie zatrzymała:

- A, witaj. Nie wiedziałam, że ty też jesteś jedną z konspiratorek. Ponieważ milczałam, bredziła dalej:
- To bardzo dobry pomysł. Osoby o takim wyglądzie mogą oddać

nieocenione usługi. Gdyby ci się coś przydarzyło, to pamiętaj, płacz. Koniecznie płacz, maleństwo. Każdy gestapowiec przyleci wytrzeć ci nos.

Uch, zmija! Usiłowałam odejść, ale mi nie pozwoliła:

– Poczekaj no, pokaż tę swoją grzywkę.

Przypatrywała się przez chwilę moim włosom, już odrośniętym, i stwierdziła:

– Z dwojga złego wołałam cię z tym dachem. Przynajmniej wyglądałaś oryginalnie. A jak ci się podobają moje piegi? – podsunęła bliżej twarz ozdobioną na nosie i policzkach kilkoma brązowymi plamkami, najwyraźniej namalowanymi. – Prawda, że mi z nimi ładnie?

I rzeczywiście było jej ładnie, tej jędzy! Wybawiło mnie przyjście Anki i Alicji. Ich obu Barbara nie czepia się prawie wcale, może dlatego, że Anka jest spokojna i poważna, a Alicja potrafi tak się odciąć, że każdemu idzie w piętę. Ja niestety jestem arogancka tylko w domu, wobec Barbary tracę język w gębie. Teraz, ile razy idę na zbiórkę, dodatkowo się denerwuję na myśl, że mogę ją spotkać. Na szczęście o tej porze rzadko bywa w domu.

Nie wiem, czy Wera jest sympatyczna. Wydaje się jakaś zimna i bebarwna; zajmuje się naszym szkoleniem bardzo energicznie, a równocześnie sprawia wrażenie, że nic a nic jej nie obchodzimy. Ale i tak czuję ulgę, że to ona jest zastępową, a nie tamta druga. Nienawidzę kobiet w ciąży. Mdło mi się robi, jak patrzę na duży brzuch, jak myślę o krwi i wszystkich paskudztwach, które towarzyszą poczęciu i urodzeniu dziecka. Nie rozumiem, jak ludzie mogą dobrowolnie robić takie rzeczy, i gdyby ktoś ode mnie zażądał czegoś takiego, to całe uczucie od razu by mi przeszło. Dawniej, kiedy jeszcze nie wiedziałyśmy, że Tatuś nie żyje, to nawet byłam chwilami zadowolona, że oni nie są razem i że nie muszę o nich myśleć w ten sposób. Teraz oczywiście chciałabym, żeby był za każdą cenę i ta sprawa wydaje mi się zupełnie bez znaczenia, ale teraz już w ogóle słabiej odczuwam to obrzydzenie i prawie nigdy nie zastanawiam się nad tymi sprawami. Chyba że coś takiego brzuchatego nawinie mi się przed oczy!

3 XII 1943

Na Puławskiej była dziś egzekucja. Ludzie mówią, że rozstrzelano dwieście osób. Byłyśmy w szkole, gdy przed samą dziewiątą coś niedo-

bręgo zaczęło się dziać w naszej dzielnicy. Najpierw został zatrzymany wszelki ruch w kierunku Puławskiej; tramwaje jadące ze Śródmieścia kończyły bieg na placu Unii, zgrzytały i jęczały pod oknami naszej budy objeżdżając skwer. Przechodnie pochowali się, zrobiło się zupełnie pusto. U nas z początku lekcja toczyła się względnie normalnie, Kawica prosiła tylko, żeby nie podchodzić do okien. W pewnym momencie rozległ się jakiś daleki głos, chyba kobiecy, mówiący coś przez megafon, ale słów nie można było zrozumieć. Później przez plac przemknęło w wielkim pędzie kilka samochodów, a po krótkiej przerwie znowu kilka. Wszystko to trwało bardzo długo. Ciągle jeszcze nie było wiadomo, co to wszystko znaczy, ale napięcie było niesamowite i cisza w szkole jak makiem zasiał. Kawica już nie wykladała i nie pytała, przyniosła tom Słowackiego i kazała czytać na głos poszczególne wiersze. Byłyśmy przy „Sowińskim w okopach Woli”, kiedy rozszalały się serie z karabinów maszynowych. Zdaje się, że w całej szkole wszystkie klasy stanęły w tej samej sekundzie na baczność. Stałam i prawie traciłam przytomność z przerażenia i strasznego żalu. Kiedy wszystko umilkło, któraś zaczęła płakać. Nikt jej nie uspokajał i nikt nic nie mówił. Pani Kawecka, szara jak popiół, patrzyła przed siebie ponad naszymi głowami, jakby przez wszystkie ściany widziała to, co tam się stało. Nagle serie posypały się od nowa i znowu stałyśmy w milczeniu, dopóki tamto się nie skończyło. Później Kawica powiedziała: „Siadźcie, dziewczynki” i sama usiadła przy katedrze chowając twarz w dłoniach.

Nie zadzwoniły żadne dzwonki, chociaż minęła już i lekcja, i pauza. W jakimś momencie Kawica otrząsnęła się jakby i wyszła z klasy. Wróciła po paru minutach z wiadomością, że odbyły się dwie egzekucje: jedna przed bramami remizy tramwajowej, druga – w podwórzu sąsiedniej kamienicy. Telefonowała matka uczennicy mieszkającej na rogu Puławskiej i Rakowieckiej. Żadnej z nas nie wolno opuścić szkoły aż do odwołania.

Po placu Unii znów zaczęły pędzić samochody, tylko już w odwrotnym kierunku. Ktoś powiedział: „To budy, odwożą ciała”, chcieliśmy wyrzeć przez okna, ale pani Kawecka krzyknęła, że nie wolno. Wtedy uklękłyśmy wszystkie i zaczęłyśmy odmawiać „Wieczne odpoczywanie”.

Dopiero po trzeciej pozwolono nam rozejść się do domów. Do dziewcząt, które mieszkają na Puławskiej albo na jej przecznicach, apelowano, aby obchodziły odcinek między placem Unii a Rakowiecką bo-

czynnymi ulicami, ale Alicja zapowiedziała, że pójdzie tak jak zwykle. Ja często chodziłam z nią, zwłaszcza dawniej, kiedy byliśmy w tej samej klasie, jedynie dla towarzystwa, bo do domu mam bliżej inną drogą. Więc uważałam, że dziś tym bardziej powinnyśmy iść razem. Szłyśmy Puławską, tylko po przeciwnej stronie ulicy niż zwykle, żeby nie deptać po tym, co zostało pod remizą. Ale tam był już tylko poszczerbiony kulami mur, brunatny kolor chodnika i jezdni i dwa kwiaty pod murem: biały i czerwony.

15 XII 1943

Od czasu tej egzekucji mama jeszcze bardziej się nade mną trzęsie i coraz trudniej mi chodzić na zbiórki i zajęcia. Ostatnio dostałyśmy już zadanie praktyczne: rozpracowanie wycinka Ochoty lub Woli. Mój kawałek mieści się najdalej, bo dochodzi aż do cmentarza Prawosławnego. Wobec sytuacji w domu nie było mowy, aby działać coś po południu. Przez dwa dni nie chodziłam więc do szkoły, tylko jeździłam na Wolę. Łaziłam całymi godzinami i chyba dobrze poznałam ten rejon. Udało mi się odkryć kilka przechodnich podwórek, znam wszystkie apteki, wiem, w których sklepach można korzystać z telefonu, i dobrze orientuję się, gdzie jest jaka fabryka lub wytwórnia. Największe kłopoty miałam na bocznej uliczce, której całą jedną stronę zajmuje wysoki, biały mur najeżony odłamkami szkła. Na bramie nie było oczywiście żadnego napisu, a przed nią stał posterunek uzbrojony po zęby. Długo nie miałam bladego pomysłu, w jaki sposób dowiedzieć się, co tam się mieści. Już dwa razy przespacerowałam się tam i z powrotem wzdłuż całej ulicy i uważałam, że nie wolno mi próbować po raz trzeci, kiedy zobaczyłam kilku chłopców grających w bramie w pikuty. Gdy zaczęłam się im przyglądać, jeden warknął:

– Co się gapisz? Wychrzaniaj!

– Chciałam z wami zagrać. O co gracie? – zapytałam.

Podnieśli głowy i popatrzyli na mnie jak na głupią. Zdają się, że mieli zamiar mnie przepędzić, ale najstarszy z nich (wszyscy byli chyba trochę młodszy ode mnie) powiedział: – O forszę. Pewnie nie masz?

Zauważyłam, że mrugnął na pozostałych, więc wiedziałam, że wcale nie grali na pieniądze, tylko na guziki albo tak, na punkty, i że teraz mają ochotę mnie obskubać. Miałam przy sobie parę złotych i postanowiłam je poświęcić, jeśli się nie da inaczej. Powiedziałam:

– Mam. Po ile punkt?

Zawahali się, wreszcie któryś odpowiedział:

– Po pięćdziesiątaku. Grasz?

– Jasne – odparłam – trzy próbne dla mnie.

Wzięłam nóż i rzuciłam trzy razy w najłatwiejszy sposób, z palca i z łokcia. Postarałam się raz skusić, więc byli zadowoleni. Później zaczęliśmy grać na serio i okazało się, że robię to lepiej niż oni. Cały czas myślałam, jak ich zapytać o ten mur, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Przez to myślenie skusiłam jednak kilka razy, zawsze z kolana, ono jest dla mnie najtrudniejsze, może dlatego, że jest nisko nad ziemią i nóż nie ma czasu porządnie się przekreślić. Ale i tak wygrywałam i te chłopaki robiły się coraz bardziej wściekłe. W pewnej chwili na ulicy rozległ się tupot podkutych butów, to była zmiana warty pod tamtą bramą. Zapytałam:

– Czego oni tak pilnują?

Któryś odpowiedział: – Przecież to wytwórnia pistoletów maszynowych.

Zagrałam jeszcze jedną partię i powiedziałam, że muszę już iść. Wtedy ten największy wrzasnął:

– Coś ty, wygrałaś, to musisz grać dalej!

Najwyraźniej nie mieli pieniędzy. Uważali, że szczęście się odmieni i będą mogli się odkuć. Wzruszyłam ramionami:

– Ee, tam, te nędzne grosze. Nie zależy mi. Cześć, przyjdę innym razem. – I poszłam.

Mój raport z odcinka został oceniony na „dobrze”. Podobno opuściłam tylko jakiś drobiazg. Tak więc radzę sobie, ale nie idzie mi to łatwo. Ukrywać zajęcia przed domownikami mogę tylko kosztem szkoły. Staram się nadrabiać braki kując do późnej nocy, a to znowu jest bardzo trudne, bo mama sypia teraz obok, w stołowym, i gniewa się, gdy widzi światło. Gaszę więc i próbuję odczekać, aż zaśnie, ale już zdarzyło się, że sama także zasnęłam, a kiedy w środku nocy obudziłam się zupełnie ubrana i zupełnie zamarznięta, to już nie miałam najmniejszej ochoty na naukę i poszłam do łóżka. Wera mówi, że do końca tego roku musimy zakończyć ten etap szkolenia i zacząć inny. Nie bardzo rozumiem, jak można to zrobić w dwa tygodnie. Tymczasem mamy w szalonym tempie poznawać dalej Wolę i Ochotę; każda z nas będzie kolejno „obrabiać” każdy z odcinków, a na zakończenie ze

wszystkich raportów będzie można skleić encyklopedię wiedzy o tych dzielnicach. Wygląda na to, że w szkole nieczęsto będę się teraz pojawiać.

Skarżę się, że jestem tak okropnie zajęta, że brak mi czasu i na naukę, i na sen, a ciągle jeszcze pisuję w tym zeszytcie, i to pisuję coraz więcej. Bardzo się przyzwyczaiłam i nawet jakoś odpoczywam przy pisaniu, a poza tym zauważyłam, że często różne sprawy, z którymi nie mogłam sobie dać rady, porządkują mi się i w końcu znajduję na nie sposób.

W domu bez zmian, tylko Beredke przychodzi już teraz do telefonu codziennie, a nawet po parę razy dziennie. Mamę strasznie to denerwuje. Ta Beredke musi być okropnie skąpa: nie tylko za darmo wydzwania, ale jeszcze do jednego pokoju wzięła sobie sublokatorki, matkę z dorosłą córką. Skończyły się audycje polskiej rozgłośni w Anglii; teraz, jeśli radio jest włączone, to już zawsze ryczy po niemiecku i nadaje oficjalne komunikaty, których nawet słuchać nie warto, bo same łgarstwa i bzdury.

22 XII 1943

Nie pisałam ostatnio o Marku. Staram się tego nie robić, bo widzę, jak mnie to rozkleja. Tu już żadne porządkowanie nie pomoże. Dziś jednak jest mi tak bardzo smutno, że nic mi nie zaszkodzi. Idą Świąta. Dotąd wołałam o nich za wiele nie myśleć, ale miałam nadzieję, że to będą dwa szczęśliwe dni; bez szkoły, zbiórek i wypraw na Wolę, że będziemy wszyscy razem i może Marek znajdzie czas nie tylko na to, aby mnie uczyć. Dzisiaj dowiedziałam się, że oni już w Wigilię jadą na Salską Kępę, do kuzynów, i zostają tam przez całe Świąta! Ciocia zaproponowała nawet, abym przyjechała do nich w pierwszy albo drugi dzień Świąt, i mama poparła ten projekt. Ale ja podziękowałam. Zrobiłam to dlatego, że już kiedyś, w jakąś niedzielę, byłam tam z Markiem i czułam się dość głupio. Pełno u nich młodzieży starszej ode mnie, Marek zna wszystkich od lat, a ja jestem zupełnie obca. Zresztą niech będzie, napiszę tak jak jest: Marek zachowywał się tam inaczej niż w domu, był dużo weselszy, śmiał się, przekomarzał ze swymi dwiema kuzynkami, a ja siedziałam sama i umierałam z żalu i zazdrości. Nie mam ochoty znowu się tak męczyć.

Dzwoniła jeszcze pani Borzęcka z zaproszeniem dla mamy i dla

mnie na wspólną Wigilię. Mama podziękowała w swoim imieniu, chciała natomiast podesać mnie. Ale tu też się sprzeciwiłam. Nie chcę zostawiać mamy samej w taki dzień, w pierwszą Wigilię od czasu tamtej wiadomości o Tatusiu. Jadzia wyjeżdża do krewnych pod Warszawę i przez oba te dni będziemy tylko we dwie.

23 XII 1943

Był Marek, żeby mi powiedzieć, jak bardzo żałuje, że nie chcę przyjechać na Saską Kępę. Zapewniał mnie, że tam będzie swojsko i przyjemnie, zobowiązywał się przywieźć i odwieźć mnie z powrotem, przekonywał gorąco, żebym zmieniła decyzję. Szalałam ze szczęścia, że tak serdecznie do mnie mówi, że tak namawia. I nie zgodziłam się. A teraz rozpaczam z tego powodu. Co w tym jest? Gdyby mi powiedziano „idź za niego pod mur”, poszłabym. A na Saską Kępę nie chciałam. Czy to tylko głupi upór? To zdaje się dlatego, że ja chcę Marka samego, tu, w domu, nie z dodatkiem jego kuzynek.

Kiedy pisałam te ostatnie zdania i oczywiście beczałam, weszła jak na złość ciocia Zosia. Zobaczyła moją zapłakaną twarz i od razu, strasznie serdecznie, zaczęła namawiać na tę Saską Kępę. Jakoś tak się zrobiło, że chciałam się już zgodzić. Nie umiem być uparta, kiedy wszyscy są tacy dobrzy. Ale ciocia tuląc mnie do siebie powiedziała:

– Przecież wiem, dlaczego płaczesz, przecież ja wszystko rozumiem.

No i wtedy musiałam już powiedzieć bardzo stanowczo, że zostanę. Teraz w dodatku skręcam się ze wstydu na myśl, że może ciocia rzeczywiście domyśla się prawdy, może rozmawiała z kimś o tym, może w ogóle o tym się mówi. To byłoby straszne, najstraszniejsze na świecie. Nie mogłoby być dla mnie gorszej rzeczy niż to, że Marek wie, co ja czuję, i cała ta jego mowa była z litości dla kogoś bez żadnej nadziei.

Są słowa, których nie chcę widzieć nawet na papierze.

I znowu okazuje się, że nie powinnam na te tematy pisać. Bez tego dostatecznie wszystko mnie boli. Serce, dusza, czy jak się nazywa to coś, co siedzi w środku i sprawia tyle cierpienia. Więc już dosyć. Jutro, mimo że Wigilia, mamy jeszcze ostatnią zbiórkę. Zajęć w szkole już naturalnie nie ma, ale na całe szczęście mama będzie zajęta przy słodkości, państwo Wysoccy idą do pracy, a Jadzia wyjeżdża wcześniej rano. Zostaje Marek, ale może będzie dłużej spał.

To żaden interes mieć imieniny w Wigilię. Naturalnie bardziej to odczuwałam w dzieciństwie niż teraz, chociaż wtedy wszyscy ogromnie się starali, abym wiedziała, że to moje święto. Cała pierwsza połowa dnia należała tylko do mnie: rano były życzenia i prezenty, w południe – uroczyste, choć postne, jak to w Wigilię – śniadanie z udziałem bliższej i dalszej rodziny. Ale pod wieczór zaczynało się panowanie Bożego Narodzenia, wszyscy myśleli już o innym Dzieciątku, i chociaż znowu dostawałam furę prezentów, schodziłam jednak na drugi plan. Mogłam być znowu ważna dopiero w dzień Trzech Króli, kiedy odbywał się imieninowy kinderbal. Tylko że to już było dość daleko od rzeczywistych imienin. Wszystkie te powinszowania i upominki od zaproszonych dzieci wydawały mi się niezastużone, a kinderbali nie cierpiałam. Nie znosiłam gier, konkursów i loterii fantowych. W konkursach zawsze przegrywałam, a przy loterii wylosowywałam coś, na co wcale nie miałam ochoty. Jestem prawie pewna, że mama, która wydawała fanty, szachrowała i dawała mi zawsze coś najgorszego, bo tego, jej zdaniem, wymagały zasady gościnności. A mamy moich koleżanek robiły właśnie na odwrót: ich córki – solenizantki wyciągały zawsze najlepszy numerek.

Poza tym pamiętam, że się bałam tego stada obcych dzieciaków i zupełnie nie umiałam się z nimi bawić. Były takie imieniny, na których zażądałam zabawy w zwierzęta, wszyscy czekali na wyjaśnienia, a ja niczego nie umiałam wytłumaczyć. Zaczęłam wrzeszczeć, że są głupi i żadnej zabawy nie będzie, więc mnie wyprowadzono i zamknięto w gabinecie Tatusia. I były takie, na które zaproszono magika, aby nam pokazywał sztuki, ale kiedy zasłonięto okna i zrobiło się ciemno, zaczęłam wycić, że się boję, większość dzieci przyłączyła się do mnie i trzeba było magika odprawić. To wszystko razem nie było przyjemne.

Właściwie, jako ewangeliczka, powinnam obchodzić tylko urodziny. U protestantów imieniny są nieważne. Ale mama, chociaż kiedyś najwidoczniej zgodziła się, aby mnie ochrzczono w tym wyznaniu, później robiła wszystko, żebym jak najmniej przypominała ewangeliczkę. Stryj Ludomir od paru już lat nastaje, że powinno się mnie przygotować do konfirmacji, i rzeczywiście byłby już najwyższy czas. Mama

jednak twierdzi, że od nas jest daleko do zboru, a w tych niespokojnych czasach nie należy się pętać po mieście. Tak więc nie chodzę do szkółki niedzielnej, ani na nabożeństwa i rosnę taka nijaka, czyli ni pies, ni wydra. Był taki okres, że okropnie chciałam przejść na katolicyzm, to było wtedy, kiedy Alicja miała zostać zakonnicą, a może nawet świętą. Miałam wtedy chyba jedenaście lat. Teraz jest mi zupełnie obojętne, jakiego jestem wyznania, a myślę, że i Panu Bogu też.

W każdym razie jedno jest pewne: mama nie przywiązuje żadnej wagi do tego, czego by sobie życzył mój ojciec, który był ewangelikiem tak jak i jego brat, ojciec, dziad i pradziad. Byli bardzo do swej religii przywiązani. Stryj Ludomir nie opuszcza nigdy niedzielnych nabożeństw, a w Wielki Piątek nie bierze do ust niczego prócz wody. Mówił mi, że tak samo postępował mój ojciec. A mama nigdy o tym nie wspominała. Zaraz, zaraz, co ja wiem od niej o moim ojcu? Chyba tylko tyle, że był mądrym człowiekiem. Ale pamiętam, że powiedziała to zdanie tonem tak obojętnym...

O Tatusiu mówi zupełnie, ale to zupełnie inaczej. I stara się, abym wiedziała o wszystkim, co Tatuś lubił i cenił.

Teraz, kiedy o tym piszę, zrobiło mi się nagle bardzo żal tego starszego pana z fotografii. Przykro mi, że umarł, zanim zdążyłam go pokochać.

Myślę, że gdybym była córką mamy i Tatusia, byłoby lepiej dla nas wszystkich. Tylko że wtedy nie byłoby mnie, byłaby jakaś inna dziewczynka. To wszystko jest dziwne i trochę smutne.

26 XII 1943

Rozpisałam się wczoraj na jakieś zwariowane tematy, a miało być po prostu o imieninach. Nie sądziłam, że w tym roku ktokolwiek o nich pomyśli. A tymczasem pamiętali wszyscy, mama, państwo Wysoccy, stryj i mnóstwo innych ludzi. Dostałam dużo prezentów imieninowo-gwiazdkowych, praktycznych i niepraktycznych. Na przykład od mamy ciepłe rękawiczki i ładną, kutą w brązie, ramkę do fotografii Tatusia. Od państwa Wysockich szalik (taki sam jak rękawiczki, więc mam komplet!), a od Marka tomik wierszy Wierzyńskiego. Od stryja Ludomira półbuty, od dalszej rodziny sporo książek i różne drobiazgi.

Od dwóch dni czytam w kółko wiersze Wierzyńskiego. Z początku

nie bardzo mi się podobały. Takie jakieś o niczym, nie dopasowane do tego, czym teraz żyjemy. Aż nagle złapałam się na tym, że powtarzam w myśli strofkę:

*Kapelusz biorę pod pachę i drogą
Śliską od deszczu, gdzie mnie nic nie czeka
I gdzie nie spotkam na szczęście nikogo,
Idę i kłaniam się lasom z daleka.*

Powtarzam i myślę jakoś tak: „jak to dobrze, że nie spotkam nikogo”. I cieszę się, że gdzieś idę, chociaż nie idę nigdzie, tylko stoję pod piecem z zamkniętymi oczami. Kiedy je otworzyłam i zobaczyłam pokój, choinkę i nie uprzątnięty stół, zrobiło mi się smutno i zimno. Wzięłam ten tomik (nazywa się „Wiosna i wino”), przeczytałam do końca cały wiersz i przy ostatniej jego strofeczce:

*O drogo moja deszczami umyta
I wysuszona parującą spieką!
Nieś mnie, gdzie zechcesz, jeno niech zakwita
Przedemną zawsze twe modre: daleko.*

– zaczęłam bardzo tęsknić. Później czytałam też inne wiersze i tęskniłam coraz bardziej. To dziwne. Nie znam prawdziwej wsi, wędrownki, samotności. Przed wojną byłam mała, spędzałam wakacje w Świdrze albo Rybieniu, bawiłam się w ogrodzie, chodziłam nad rzekę. Teraz, jeśli się już mnie gdzieś wyprawia na lato, to do podwarszawskich miejscowości, gdzie granice wędrowek wyznacza płot otaczający parcelę. Na spacerów nie chodzę, bo wszędzie łapią i każda z moich opiekunek woli, abym była blisko domu. Więc skąd się bierze coś takiego, że cudze i zupełnie „nie przeżyte przeżycia” są nagle własne? Mama przez telefon mówi do kogoś „święta, święta i po świętach” już chyba czwarty raz w ciągu dzisiejszego dnia, z kąta płynie zapach jodły i pogaszonych świeczek, a ja jestem wśród jakichś pól, widzę, jak moje stopy grzęzną w piasku, rozglądam się. Po bokach ciągną się ścierniska szare i złote, na wprost daleka linia lasu, niebo jest wysokie, wypłowiałe. To chyba jesień, nie wiem, nie mam pojęcia, kiedy bywają żniwa, w sierpniu czy we wrześniu, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Idę, idę coraz dalej.

*I wiecie, idąc tak po łanie
Umierającym w pustej ciszy,*

Dobrze jest dostrzec niespodzianie
W jamce radosny pyszczek myszy.

Myszka jest maleńka i przestraszona, wcale nie wiem, czy jest rado-
sna, to ja cieszę się, że...

Telefon. Mama odbiera, uśmiecha się do mnie odkładając słuchaw-
kę:

– Państwo Wysoccy już wyjeżdżają z Saskiej Kępy. Musimy niedłu-
go postawić wodę na herbatę, bo mróz.

Od razu uciekły gdzieś te wszystkie pola, lasy i myszki. Czekam. Już
całe dwa dni.

27 XII 1943

Stryj Ludomir kupił mi półbuty, a ja załatwiłam je po swojemu. Nie
wiem, co będzie, jak się wyda. Po pierwsze, teraz już sama widzę, że
rzeczywiście je zniszczyłam; po drugie – mama będzie dodatkowo zła,
bo to prezent od stryja. Po tej historii na jego urodzinach coś się po-
między nimi zmieniło. Widują się częściej i rozmawiają ze sobą zupeł-
nie normalnie. Dopiero teraz zauważyłam, że mama mówiła dotąd do
stryja tonem jakimś... no... zdawkowym, to będzie chyba najwłaści-
wsze słowo, a znowu stryj zadawał pytania o moje zdrowie, potrzeby
i postępy w nauce w taki sposób, jakby się tych pytań nauczył przedtem
na pamięć. A w dodatku – jakby z góry był przygotowany na to, że i tak
nie dowie się niczego konkretnego. I rzeczywiście niczego się nie do-
wiadywał, mama opowiadała mu o mnie znacznie mniej, niż powie-
dzałaby komuś ze znajomych. A po każdej jego wizycie była chyba
trochę rozdrażniona. W każdym razie natychmiast zaczynała ze mną
mówić o czymś innym, jakby stryjka w ogóle u nas nie było. Teraz od-
bywa się to zupełnie inaczej. Siedzą i zwyczajnie rozmawiają, wcale
niekoniecznie o mnie. I ton mają zwyczajny, jak dwoje znajomych.
Mama radziła się nawet stryja w niektórych sprawach, a on jej ostatnio
coś załatwiał, jakieś lekarstwa chyba. Tak jest dużo przyjemniej, bar-
dzo się z tego cieszyłam i już sama nie wiem, co za diabeł mnie podku-
sił, żeby tak zrobić z tymi butami.

Buty były z początku zupełnie imponujące, z ciemnobrązowej, bar-
dzo lśniącej skórki, wykończone wokół dziurkowania zamszem. Za-
miast sznurowadeł miały rzemyki z dzyndzelkami w kształcie żółędzi.
Od razu wiedziałam, że do mnie nie pasują, i miałam rację. Ciocia Zo-
sia na ich widok wykrzyknęła z uznaniem:

– Śliczne! Każda elegancka kobieta mogłaby się w nich pokazać.

Nie jestem „elegancką kobietą” i nie potrzebuję rzeczy, które zwracają uwagę! Nikt tego nie rozumie, że po prostu nie mogłabym w takich półbutach wyjść na ulicę. Spaliłabym się ze wstydu! Dlatego obciąłam „żołędzie”, a z nosków i pięt zdarłam glaspapierem cały połysk. Teraz już wiem, że to głupota. Trzeba je było zostawić w spokoju i po prostu nie nosić. Mama jest tak zabiegana, a przy tym krótkowzroczna, że nigdy nie wie, co mam na sobie, najwyżej pyta, czy włożyłam ciepłe majtki. Jeśli jednak zauważy, co się stało, będzie dzikie piekło. Na jesieni, kiedy dostałam nowe zimowe palto i beret z tego samego materiału, ostrzygłam beretowi sztywny brzeg i wstążkę. Musiałam to zrobić, bo z tymi głupimi dodatkami przypominał kapelusz i mnóstwo osób mówiło: „O, jakie to eleganckie” albo: „Ach, jakie to oryginalne”. Mama niczego nie zauważyła, ale wkopała mnie Jadźka pytając przy mamie, co to się stało z beretem, że przypomina teraz stary kalosz. Była potężna awantura, mama nie chciała niczego zrozumieć, nazwała mnie dziwadłem i zapowiedziała, że coś podobnego nie może się nigdy więcej powtórzyć.

Trudno. Nie mam zamiaru nosić tych wszystkich idiotycznych ubranek, które wpychają na mnie różne osoby! No i znowu się złoszczę. To dlatego, że ciągle jest coś nie w porządku, ze mną i wszystkimi dookoła.

Tak, o to właśnie chodzi. Wczoraj, kiedy państwo Wysoccy wrócili już do domu, też wszystko było nie tak jak trzeba i też przeze mnie. Weszli zmarznięci i pachnący mrozem, świąteczni i uśmiechnięci. Marek na powitanie schwycił mnie za rękę i zakręcił w „drobną kaszkę” z okrzykiem:

– Jak to dobrze, że nareszcie w domu!

A ja, zamiast odpowiedzieć tą samą radością, zeszywniałam. Obracałam się niezdarnie, objąłam o sprzęty w przedpokoju, aż zląkł się, czy sobie czego nie zrobiłam. Ale nie o to chodziło, tylko o tę jego radość. Bo on się cieszył, naprawdę się cieszył i nie tak jakoś „w ogóle”, tylko cieszył się „do mnie”. A ja się już widocznie przyzwyczaiłam do mojego ciągłego bólu i do wrażenia, że wołam, a nikt nie słyszy. Więc kiedy po raz pierwszy przyszła jakby jakaś odpowiedź, zrobiło się ze mną tak jak z człowiekiem, koło którego wybuchła bomba: byłam niema, głucha i bez czucia. Zepsułam cały wieczór. Siedziałam głupawa

i milcząca, chociaż przedtem ciągle sobie układałam, jak to mi będę opowiadać o tych wierszach i nawet trochę po to pisałam o nich w pamiętniku. A kiedy oni już poszli do siebie, włożyłam do łóżka i od razu zasnęłam, pierwszy raz od niepamiętnych czasów bez żadnych myśli i marzeń. No, a dziś rano z tej złości na siebie, na wszystkich, na cały świat zniszczyłam półbuty.

Nasze Święta nie były wesołe, ale zdarzył się jeden ładny moment, który zrobił na mnie wrażenie. Wietrzyłyśmy mieszkanie i przez otwarte okna nadpłynęła od koszar żandarmerii melodia „Stille Nacht, heilige Nacht”, której już piąty rok trzeba nienawidzić, chociaż jest śliczna. Nagle zagłuszyły ją bliskie dźwięki fortepianu. Mama przytrzymała mnie za ramię, szepnęła:

– Scherzo h-moll Chopina...

Było cudowne, jakieś perełkowate i wywinęło się z niego potem „Lulajże, Jezuniu”. Obie miałyśmy mokre policzki. To grała przy uchylonym oknie pani Jarowa, nauczycielka muzyki z trzeciego piętra. Ona gra Chopina we wszystkich ważnych chwilach, jakby nam chciała przypomnieć, że jeszcze wszystko będzie dobrze.

30 XII 1943

Na sylwestrową noc oni zostają z nami, na Saską Kępę pojedą dopiero w Nowy Rok. Ja też jestem zaproszona, ale jeszcze nie wiem, co zrobię, nie mam nawet czasu, żeby o tym spokojnie pomyśleć.

O nasze niemyślenie o sprawach prywatnych stara się usilnie kochana Werunia. Korzysta z ferii i urządza nam teraz zajęcia codziennie! Trzeba przyznać, że dzięki tym jej metodom topografię (tak się to podobno nazywa) Woli i Ochoty zaczynam mieć w małym palcu. Nie wiem, jak idzie moim koleżankom, nie mówimy ze sobą na te tematy. Z Werą też każda z nas rozmawia już teraz zawsze indywidualnie. Nasze szkolenie ma się ku końcowi; z tego wniosok, że później też będziemy miały coś wspólnego z tymi właśnie dzielnicami. Tylko ciągle jeszcze nie mamy pojęcia, na czym właściwie będą polegać nasze przyszłe zajęcia. Z początku próbowałyśmy pytać, ale po paru lodowatych „to się okaże” – dałyśmy spokój. W życiu nie spotkałam dziewczyny tak sztywnej i pozbawionej ludzkich odruchów!

Moje obecne obowiązki to:

a) Dalsze poznawanie wiadomych dzielnic. Ślęczę więc w domu nad

planem miasta, wybieram te skrawki czy tylko pojedyncze uliczki, których jeszcze nie znam lub znam słabo, opracowuję „warianty komunikacyjne”, no i jeżdżę tam, żeby znów się pętać wśród śmierzdzących zaułków i podwórek. Tak zabawiam się co drugi dzień.

b) W pozostałe dni, punktualnie o godzinie jedenastej, będę teraz startować spod kościoła Zbawiciela w dowolnym kierunku i chodzić dowolnymi ulicami co najmniej godzinę. W ciągu tego czasu muszę ustalić, czy nie jestem śledzona i jeśli tak, urwać się mojej opiekunce czy opiekunowi. Wczoraj wędrowałam tak po raz pierwszy. W momencie startu byłam mokra z emocji, ale dość szybko nabrałam przekonania, że nikt za mną nie łązi, więc resztę czasu zużyłam na poznanie kilku przechodnich podwórek i jednego całkiem fajnego szaleciku, do którego jest wejście z dwóch różnych stron. Ponieważ dzisiaj był „dzień wolski”, więc jutro znowu czeka mnie ta zabawa. Całe szczęście, że w tych godzinach mama jest na Politechnice. Jadzia chyba się kocha, bo podejrzanie często znika teraz z domu, a ponieważ ma nieczyste sumienie, więc woli mnie nie zaczepiać. Najgorszy kłopot z Markiem, który też ma ferie. Wczoraj, kiedy wróciłam do domu, zjawił się u mnie i srogo zapytał:

– Gdzie ty tak ciągle latasz? Przecież wiesz, że mama na to nie pozwala.

Mogłam tylko wybąkać: „Kiedy muszę, naprawdę muszę”. Na szczęście nie zadawał dalszych pytań. Powiedział tylko:

– Uważaj na siebie, bardzo cię proszę, uważaj.

Jasne, że uważam. Mam nadzieję, że Marek nic mamie nie powie. To do niego mało podobne.

W każdym razie radzę sobie lepiej, niż myślałam i bardzo się z tego cieszę. Nauczyłam się nie marnować czasu, moja jedyna odsapka to pokolacyjne rozmowy i ten pamiętnik. Nie czytam książek, z nikim się nie spotykam, chyba że zatrzyma mnie ktoś z naszego domu, to chwilkę pogadam. Ale i tak Rysiek mówi, że ostatnio drę nosa. Gdzie tam, po prostu nie mam wolnej chwili. Albo latam, albo się uczę.

Na spotkaniach z Werą toczą się między nami takie oto rozmówki:

Wera: Wyobraź sobie następującą sytuację. Jedziesz tramwajem, masz przy sobie legitymację szkolną i torbę lub teczkę. W teczce jest coś, co właśnie przewozisz na punkt. Tramwaj zostaje zatrzymany, niemcy blokują wejścia i zaczyna się rewizja. Jak się zachowasz?

Ja: Postaram się postawić torbę na ławce albo na ziemi, a sama prze-

sunąć się w inne miejsce. Ale nie za bardzo, żeby to nie zwróciło niczyjej uwagi. Ponieważ legitymację mam w kieszeni, a w teczce są poza tym czymś zupełnie obojętne rzeczy...

Wera: Dziękuję, wystarczy. A więc przesuwasz tę teczkę i wobec tego znajduje się ona koło kogoś innego, kogo uznają za jej właściciela i rozstrzelają. Czyli chcesz ratować siebie kosztem cudzego życia, tak?

Ja: Skąd, nie chcę! Wera, błagam cię, powiedz, co się robi w takich wypadkach?

Wera: Sama musisz sobie odpowiedzieć na to pytanie. Teraz inna sytuacja. Wchodzisz do mieszkania, podajesz hasło. W tym mieszkaniu już jest gestapo. Znajdują to, co przyniosłaś. Pytają, skąd to masz. Co powiesz?

Ja: Powiem, że ktoś obcy zatrzymał mnie na ulicy, ktoś, kto źle się poczuł, i bardzo prosił, abym to odniosła pod ten adres.

Wera: Czy nie uważasz, że to naiwne?

Ja: Owszem, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Wera: Pomyśl. Może jednak przyjdzie.

Myślałam, myślałam, ale niczego nie wymyśliłam. Zapytałam Ankę – powiedziała mi dokładnie to samo, co ja Werze. Nie ma się kogo poradzić.

31 XII 1943

Ależ mi się udała dzisiejsza „zabawa w chowanego”! Tym razem było nas już dwoje do tej gry.

Z początku, kiedy ruszałam spod kościoła, zawiązawszy na jego stopniach, zgodnie z instrukcją, sznurowadło lewego buta, zdawało mi się, że nikt mnie nie śledzi. Maszerowałam ulicą Szóstego Sierpnia i tylko dla spokoju sumienia przystanęłam przed witryną jakiegoś szewca i popatrzyłam ostrożnie do tyłu. Szli i mijali mnie różni ludzie, nikt nie wyglądał na takiego, kto by się mną interesował. Już miałam iść dalej, kiedy spostrzegłam, że jakiś blondynek w moim wieku albo trochę starszy, którego odbicie mignęło mi dopiero co w lustrze witryny, stoi teraz o jakieś dwadzieścia metrów ode mnie i studiuje szyldy na bramie. Zaczęłam więc poprawiać przed moim lustrem włosy, czapkę, szalik i wszystko, co można było poprawić, a potem zadumałam się nadzwyczaj głęboko. Blondas skończył czytanie wywieszek, spojrzął z obojętną miną w moim kierunku i przelazł na drugą stronę ulicy.

Odwrociłam się akurat w chwili, gdy zniknął w bramie naprzeciwko. Musiałam się jakoś upewnić, więc też przeszłam przez jezdnię, zerknęłam – brama wydawała się pusta – i zawrociłam w stronę placu Zbawiciela. Szłam nie oglądając się i dopiero zza rogu wystawiłam jedno oko: był! Leciał żwawo, bał się, że mu się urwę. Ale ja już wiedziałam, jak go zgubić. Wczoraj wymyślałam sobie różne sposoby, nawet dość skomplikowane, bo jakoś byłam pewna, że to będzie dziewczyna. Z chłopakiem wszystko stało się o wiele prostsze. Poszłam wprost w Marszałkowską i byłam już bardzo blisko celu, kiedy zorientowałam się, że wszyscy ludzie idą, a raczej biegną w przeciwnym niż ja kierunku. Ktoś, mijając mnie, powiedział: „łapanka”. A kiedy stanęłam, nie wiedząc w pierwszej chwili, co robić, ktoś inny mruknął: „Wracaj, przy Hożej łapią”. Do Hożej było jeszcze dość daleko – mój cel był o dwa domy ode mnie. Zaczęłam przepychać się naprzód, pod prąd uciekających ludzi, po paru sekundach ulica opustoszała tak bardzo, że widać było budy i zielone mundury na rogu Hożej i słyszałam ochryple wrzaski Niemców. Zrobiło mi się dosyć niewyraźnie i pomyślałam, że jednak trzeba będzie zawrócić. Aż tu nagle ktoś cap! mnie za ramię. Mój blondas! Trzyma i wrzeszczy:

- Zwariowałaś! Gdzie się pchasz, prędko do bramy!
- Z tobą? Wykluczone.

Wyszarpnęłam się i biegiem przeleciałam te kilkanaście metrów, do drzwi „00”. On zresztą solidarnie pędził wraz ze mną i razem też wpadliśmy do środka, wołając do zdumionej babci klozetowej: „łapanka!” Tu już musieliśmy się rozstać: ja dałam nura do części z napisem PANIE i po paru sekundach wyzeglowałam na podwórze. Co zrobił mój anioł stróż, nie mam pojęcia.

Z podwórza przeszłam na następne, a stamtąd już na Lwowską, gdzie panował zwykły, przedświąteczny ruch. Przechodnie jeszcze nie wiedzieli, co się dzieje na sąsiedniej ulicy. Więc teraz ja szłam ważnie i mówiłam w powietrze:

– Na Marszałkowskiej łapią... – i widziałam, jak ludzie zatrzymują się, zawracają i zaczynają ostrzegać jedni drugich.

Pierwszy raz zdarzyło mi się być tak blisko łapanki. Wróciłam do domu dumna jak paw i tylko żałowałam, że nie mogę nikomu o tym opowiedzieć, boby się wydało, gdzie latałam. Zresztą była tylko Jadzia i zaraz zaczęłam się bać, czy ktoś z najbliższych nie wsiąkł w tę łapanecę, ale teraz już wrócili wszyscy, więc jestem w świetnym humorze.

Dziś sylwester. Będziemy wszyscy razem oczekiwać nadejścia Nowego Roku, ciocia upiekła struclę z migdałowym, czyli fasolowym nadzie-
niem, którą ubóstwiam. Jutro jadę z Markiem na Saską Kępe i cieszę
się okropnie, że będę z nim razem dużo, dużo godzin. Państwo Wysoc-
cy zostają z mamą i poobiedzie wszyscy idą do pani Borzęckiej.

Wieczorem

Przed chwilą zadzwoniła Wiśka, że jutro o dziesiątej mam być u niej
z formą bluzki. To oznacza wezwanie od Wery. Co ja teraz zrobię?

1 I 1944

Dobrze, że już minął ten okropny dzień. Jestem nieprzytomna ze
zmęczenia i równocześnie tak w środku roztrzęsiona, że nie ma mowy
o śnie, wołę pisać.

Wczoraj po telefonie Wiśki wpadłam w rozpacz. Już wiedziałam, że
ten wspólny sylwester, na który się tak cieszyłam, będzie trudny do wy-
trzymania, ale nie myślałam, że jeszcze i z innego powodu stanie się
katastrofą. Prawie nie pamiętam, co się działo w czasie tych wszystkich
godzin czekania na nadejście Nowego Roku, chciałam tylko, żeby nikt
się do mnie nie odzywał i żebym ja nie musiała odzywać się do mamy
i Marka. To jest okropne, kiedy się jakichś ludzi tak strasznie kocha,
że chciałoby się dla nich skoczyć w ogień, a zamiast tego wie się, że
trzeba ich będzie okłamać i oszukać w najobrzydliwszy sposób!

Przypominam sobie, że pan Wysocki cytował:

Z matki obcej, krew jego dawne bohaterzy,

A imię jego będzie CZTERDZIEŚCI I CZTERY

i bardzo długo dowodził, że jeśli ta wróżba dotyczy nadchodzącego
roku, to musi oznaczać coś bardzo złego. Nic z tego nie rozumiałam.

Po północy, kiedy już złożyliśmy sobie życzenia, mama zaczęła sta-
wiać kabałę. Ma taką swoją, hiszpańską, której nie chciała mnie nau-
czyć w czasach, kiedy jeszcze trudniłam się wróżbiarstwem, więc nie
mogłam sprawdzać, co tam wychodziło. Najpierw stawiała państwu
Wysockim, później Markowi. Kiedy rozłożyła tę kupę kart, która na-
zywa się „dla serca”, i na pikowym walecie leżała pikowa dama, powie-
działa śmiejąc się:

– Spójrz, Marku, na twoim sercu jest ciemnowłosa dziewczyna.

Wtedy Marek odpowiedział zupełnie spokojnie:

– Bo to prawda.

Mama zaczęła rozkładać następną kupkę, a mnie się zrobiło jakos duszno i wydało mi się, że światło przygasa, że robi się ciemno. Byłam głupia, beznadziejnie głupia. Marek ma dziewiętnaście lat, byłoby dziwne, gdyby... Ja nie wiem, kto to jest ta ciemnowłosa dziewczyna, dotąd w ogóle nie przyszło mi do głowy, że ona istnieje. Ale ja przecież, tak mało o nim wiem, to tylko on wie o mnie wszystko, prawie wszystko. Dlaczego to tak okropnie boli, przecież od początku wiedziałam, że to jest beznadziejne, więc nic się nie zmieniło. Chciałabym uciec, schować się gdzieś, przestać być.

Nie, nie umiem o tym pisać! Nie mogę! Nie spałam całą noc, w kółko myślałam o jednym i tym samym, chciałam płakać i nie mogłam.

Dziś rano wstaliśmy dość wcześnie, wszyscy niewyspani i ziewający. Wyszliśmy z Markiem przed wpół do dziesiątej i po drodze do tramwaju Marek opowiadał mi o grze, którą mają te jego kuzynki i która nazywa się mah-jong. Powiedział też, że po przyjeździe na Saską Kępę pójdziemy sobie najpierw na mały spacer nad Wisłę. Nasze mamy doszły do wniosku, że świeże powietrze dobrze nam robi, niemcy zawsze bardzo świętują w Nowy Rok, więc powinno być spokojnie. A przy okazji on chce ze mną porozmawiać o jednej sprawie. Od razu się domyślałam, co to za sprawa. Parę dni temu Marek widział przez okno, jak lałam Stasia Dąbka, który wrzeszczał jakby go obdzierano ze skóry, a potem przyleciał do mojej mamy na skargę. Ja wtedy nakłamałam, że to Staś pierwszy mnie uderzył. Marek słyszał to. Powiedział, że tylko tchórze kłamią, i uprzedził, że jeszcze o tym pogadamy.

Nic mu na to wszystko nie odpowiedziałam, bo właśnie nadjeżdżał tramwaj, a zresztą o czym tu było mówić? Przecież i tak wiedziałam, że nie pojedę z nim na Saską Kępę, że nie będzie żadnego spaceru i że niedługo muszę wysiadać. Powiedziałam mu o tym w ostatniej chwili, kiedy byliśmy niecały przystanek od domu Wiśki. Marek zeszywniał i zapytał niesamowicie spokojnie:

– Co to znaczy? Może będziesz łaskawa mi wytłumaczyć?

– Nic, zupełnie nic. Przyjadę tam później, sama. A gdyby mama zadzwoniła, to koniecznie coś wymyśl, koniecznie – błagałam. Musiałam się już na gwałt przepychać do wyjścia, zresztą wcale nie chciałam przedłużać tej rozmowy. Ale kiedy się wreszcie wydostałam na wysepkę, to okazało się, że on wysiadł także. Przytrzymał mnie za rękę i powiedział z gniewem:

– Czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, co chcesz zrobić? Jesteś pod moją opieką, odpowiadam za ciebie przed twoją mamą i przed sobą, a ty nie tylko masz zamiar mi uciec, ale jeszcze żądasz, żebym brał w tym udział i wymyślał jakieś bajeczki! Chyba nie wyobrażasz sobie, że dam się do tego użyć!

Zrobiło mi się wstyd, bo rzeczywiście wyszło bardzo paskudnie. Milczałam i milczałam i wreszcie Marek zapytał:

– Ile czasu to wszystko będzie trwało?

– Nie mam pojęcia – jęknęłam.

– No więc idź, jeżeli musisz, i wracaj, jak tylko będziesz mogła, tu, na ten przystanek. Czekam na ciebie.

Przeraziłam się. Zaczęłam go błagać, żeby tego nie robił, żeby jechał, bo tu, prędzej czy później, wpadnie komuś w oko. Ale nie dał się przekonać i tylko popchnął mnie lekko:

– Idź już. Przecież musisz być dzielna, prawda? – zakpił. Dodał jeszcze, że gdybym go nie zastała na wysepce, to mam nie wpadać w popłoch, tylko zaczekać.

U Wiśki była cała nasza grupa, Wera i jeszcze jakaś sporo starsza od niej nieznajoma osoba. Wera wygłosiła krótką mowę, że właśnie będziemy przyjmowane do harcerstwa i że przyszedł czas złożenia przez nas przyrzeczenia harcerskiego. Później stałyśmy na baczność, Wera zameldowała tej drugiej o gotowości zastępu do przyrzeczenia, tamta mówiła tekst ślubowania, a myśmy powtarzały chórem. Było tam o służeniu Bogu i Polsce, o posłuszeństwie prawu harcerskiemu i obowiązku milczenia. Odśpiewałyśmy półgłosem „Jeszcze Polska” i „Wszystko co nasze” i było po całej uroczystości. Niestety Wera zaczęła rozmawiać z tą starszą na boku, po chwili weszła jeszcze Barbara, śmiały się i szeptały o czymś w kącie, a z nami nic się nie działo. Nie wytrzymałam i podeszłam do Wery.

– Czy już można wychodzić?

– A cóż to w ogóle za pytanie? Ładnie rozpoczynasz swoją służbę!
– Rozgniewała się i odwróciła do mnie plecami. Dopiero po paru minutach, kiedy tamte obie już wyszły, zaczęła kolejno wzywać nas po rozkazy. Mnie zostawiła na koniec, pewnie za karę. Byłam półprzytomna z niepokoju o Marka, z trudem zrozumiałam, dokąd mam jutro iść i po co, jakie podać hasło i jakiego oczekiwać odzewu.

Na przystanek leciałam jak na skrzydłach. Marek był. Stał siny z zimna i zły, nic nie powiedział. Wsiedliśmy w tramwaj, stałam przyciśnięta w tłoku do niego i dopiero, kiedy wsadził mi w rękę swoją chu-

steczkę i spytał szeptem: – „Czy stało się coś złego?” – zorientowałam się, że beczę. Powiedziałam, że nie, nic się nie stało, tylko bardzo się o niego bałam. Wtedy pogłaskał mnie po mokrym policzku, przyciągnął moją głowę tak, że aż utknęłam twarzą w jego szaliku, i oznajmił, że mogę sobie płakać, ile chcę, byle w taki sposób, żeby nie robić sensacji. A mnie płacz od razu przeszedł. Jeszcze nigdy nie byłam tak blisko Marka, nie wiedziałam, że z człowiekiem może się dziać coś takiego, jeszcze nigdy nie zemdlałam, a zdawało mi się, że chyba zemdleję. Więc chociaż już się uspokoiłam, to dalej udawałam, że płaczę i staliśmy tak w milczeniu, i było mi strasznie dobrze.

Kiedy znaleźliśmy się wreszcie na rondzie Waszyngtona, było już oczywiście za późno, aby iść na spacer. Spytałam, czy to, o czym mieliśmy rozmawiać, to coś ważnego. Marek powiedział:

- A ty się nie domyślasz?
- Trochę się domyślałam.
- No i jak sądzisz, czy to jest ważne?
- Nie wiem. A ty jak uważasz?

Marek nie odpowiadał, więc po chwili spojrzałam na niego. Szedł nie patrząc na mnie, zagryzał dolną wargę i marszczył brwi. Milczał i dopiero przed samym domem powiedział:

– Może się zachowałem niewłaściwie tam, w tramwaju. Jeśli tak, to cię przeproszam. Chyba możesz mnie traktować jak starszego brata i nie mieć do mnie żalu, prawda?

Nie zdołałam wykrztusić ani słowa. Marek był na mnie zły, zły do samego wieczora. Prawie się do mnie nie odzywał. Wiem, że ma powody i wszelkie prawa. Ale w tramwaju jeszcze tego nie było, coś stało się dopiero później. Czytam te ostatnie strony, tak, chyba zapisałam wszystko dokładnie. I dalej nie rozumiem niczego. Był taki dobry, taki serdeczny i nagle... Już później cały dzień był nieudany. Graliśmy w tego mah-jonga, zupełnie nie mogłam się skupić, nic mnie nie obchodziły te wszystkie bambusy i wiatry. Przegrałam strasznie. Jedna z kuzynek Marka, Bożena, starsza ode mnie o trzy lata, jest bardzo ładna i ma ciemne włosy, prawie tak czarne jak moje.

8 I 1944

No i już po feriach. Bardzo chętnie szłam wczoraj do szkoły. Wreszcie jakieś normalne miejsce, w którym robi się zwyczajne rzeczy.

Postanowiłam, że będę się dużo uczyć. Postanowiłam także, że będę

się trzymała w garści. Okazuje się, że dotąd miałam jednak jakąś nadzieję, chociaż nic o tym nie wiedziałam. Teraz mogę już tylko mieć ambicję, żeby niczego po sobie nie okazać.

Muszę jakoś dobrze zorganizować czas, tak, żeby go mieć jeszcze mniej niż dotąd.

W porównaniu z poprzednim okresem moje obecne zajęcia nie wymagają wielkiego wysiłku i trwają stosunkowo krótko. Czasem jeżdżę w jedno miejsce, stamtąd w inne i już jestem wolna. Raz na tydzień jest zbiórka, na której albo się śpiewa, albo Wera prowadzi gawędę na określony temat. Czasem jest to nawet ciekawe. Niestety zdarza się, że muszę się urywać z ostatniej lekcji. Ale Kalina, chociaż nie zamieniliśmy na ten temat ani słowa, zrobiła wczoraj notatki przez kalkę i dziś mogłam bez kłopotu uzupełnić zeszyt. Powiedziała, że będzie to robić zawsze, ile razy mnie nie będzie. I dopiero teraz dotarło do mnie, że te ciągle spóźnienia Kaliny też nie są przypadkowe i wypadają w określone dni. Więc zaopatrzyłam się w kalkę i odwdzięczę się jej na pierwszych lekcjach.

W klasie nazywają nas Pat i Pataszon, bo ona jest olbrzymia, a ja ciągle jedna z najmniejszych, chociaż przez wakacje urosłam i przegoniłam już trzy dziewczynki. Nareszcie, po raz pierwszy w życiu, nie jestem w pierwszej parze, tylko w drugiej. Kalina tkwi naturalnie w ostatniej, a i tam wygląda raczej dziwnie.

Kalina jest dziwna nie tylko pod względem wzrostu. Kiedyś, już dość dawno temu, zauważyłam, że nie ma drugiego śniadania, i chciałam się z nią podzielić. Te z nas, które nie jadają obiadów w RGO, przynoszą do szkoły wielkie wałówki, bo przez siedem czy osiem godzin bardzo się człowiek robi głodny. Ale Kalina nie przyjęła ode mnie ani kromeczki. Powiedziała, że ona już drugi dzień urządza głodówkę i nie może jej przerwać, a znów ta głodówka jest po to, żeby jej mama zgodziła się na coś, na co się zgodzić nie chce. W parę tygodni później znowu widziałam, że nie je.

– Głodówka? – zapytałam. Kiwnęła głową.

– A tamta pòskutkowała?

– O tak, na moją mamę to murowany sposób.

Wcale się nie dziwię. Kalina jest nie tylko niemożliwie wysoka, ale chuda i blada jak szparag. Więc wydaje mi się, znając matki, że to sposób dość okrutny i ja bym go jednak nie stosowała. A swoją drogą to ona musi mieć bardzo silną wolę, żeby tak przez parę dni nie jeść.

Postanowiłam, że nie będę pisała o Marku. Tylko jeszcze dziś muszę zrobić wyjątek, ale to już będzie ostatni raz. Odbyliśmy tak ważną rozmowę, że muszę ją zanotować. Niestety po ostatniej klasówce z polaka obawiam się, że teraz nie będę już umiała odtworzyć żadnej rozmowy. To było wypracowanie pod tytułem „Nasza klasa” i ja potraktowałam ten temat satyrycznie. Pani Kawecka oddawała dziś zeszyty i omawiała niektóre prace. Mnie powiedziała, że powinnam ćwiczyć pisanie dialogów. Przytaczała przykłady: zamiast pisać: „Marychna z ustami pełnymi bułki zapowiedziała, że zaraz da Grażynie w ucho” albo: „Oznajmiłam z rozpaczą, że zupełnie nie wiem, gdzie ta spódnica ma górę, a gdzie dół”, należało wprowadzić formę rozmowy i umieszczać zdania w myślach. Dzięki temu uniknęłoby się ciągłego powtarzania słówka „że”, całość nabrałaby przejrzystości i czytałoby się ją lżej. Przejrzałam ten pamiętnik: niewiele w nim dialogów, a „że” trafia się czasem i po dziesięć razy na jednej stronie. Więc zaczęłam sobie wymyślać różne dialogi i w końcu doszłam do wniosku, że nikt nie potrafi pisać tak, jak się naprawdę rozmawia, i nikt też chyba nie mówi w taki sposób, w jaki rozmowy są zapisane w książkach. W prawdziwej rozmowie używa się skrótów, człowiek pomaga sobie rękami i wyrazem twarzy, często dwoje, a nawet więcej ludzi mówi jakiś czas równocześnie, a mimo to doskonale się słyszą i wcale im to nie przeszkadza. W książce wszystkie zdania idą posłusznie jedno po drugim, są grzeczne i wykończone od kropki do kropki. Zupełnie nieprawdziwe. Poza tym wszystkie dialogi na papierze są sfalszowane, ponieważ wymagają dodawania takich zwrotów, jak „uśmiechnęła się” albo „zmarszczył czoło”. Ja już nie pamiętam, kiedy Marek zmarszczył czoło, a kiedy wzruszył ramionami, chociaż wiem, że robił jedno i drugie, a najczęściej to przygryzał dolną wargę, bo taki ma zwyczaj.

No i po tych wszystkich rozważaniach już zupełnie nie wiem, jak się zabrać do opisu naszej rozmowy. Chyba jednak odłożę to na kiedy indziej, bo w dodatku została mi jeszcze do odrobienia chemia. Wprawdzie z chemii mam pionę (nie wypadaloby inaczej: córka chemików i wychowanka Tatusia – chemika), ale szkoda byłoby ją stracić.

9 I 1944

Zaczynam od razu od naszej rozmowy, żeby się nie rozpisać o dziesięciu innych rzeczach.

Było mi strasznie przykro i głupio za tę noworoczną historię. Uwa-

żałam, że muszę Marka przeprosić za stanie na mrozie, za stratę czasu, za nieudany dzień. Powiedziałam to wszystko i jeszcze dodałam, że on chyba się domyśla, jakie to były sprawy, i że naprawdę nigdy bym się tak nie zachowała, gdyby to nie było zupełnie konieczne. Marek burczał, żebym mu nie zawracała głowy przeprosinami, bo wcale się na mnie nie gniewa, ale skoro już sama poruszyłam ten temat, to on chce mi zadać jedno pytanie: czy uważam, że postępuję słusznie.

Powiedziałam, że tak. Wtedy zapytał, czy zastanawiałam się kiedyś nad rachunkiem zysków i strat, to znaczy nad tym, ile z mojej pracy jest korzyści, a ile szkód?

Odpowiedziałam, że korzyści chyba jakieś są, przynajmniej mam nadzieję, że to, co robię, na coś się przydaje. A co do strat, to owszem, wiem, że są w nauce, ale staram się, żeby nie były zbyt duże. I że jednego z drugim w ogóle nie można porównywać. Nauka to nauka, a tamto to są inne sprawy, ważniejsze. Wtedy znów spytał, jak rozumiem te inne sprawy, o co mi chodzi. Zaczęłam się płątać, ale tak długo mnie przyduszał, aż wreszcie wykrztusiłam, że chodzi o Ojczyznę.

– A co to takiego, twoim zdaniem, ta Ojczyzna?

Moja odpowiedź była beznadziejna, wyjąkałam coś, z czego wynikało, że to to samo co kraj. On się do tego od razu przyczepił:

– Aha, kraj... Od Bałtyku do Karpat i od Polesia po Wielkopolskę, rozumiem. Taki bezludny kawałek ziemi...

– Nie, dlaczego bezludny, z ludźmi!

– A więc z ludźmi. Ale nie z tobą, mamą, mną i nauczycielkami w szkole, co?

Zaczynało mi coś świtać, ale nie potrafiłam nic powiedzieć. Wtedy zaczął mi tłumaczyć, że dobro Ojczyzny to dobro żyjących w niej ludzi. Innego nie ma. Do tych ludzi należy też każde z nas. Więc jeżeli dziewczyna w moim wieku zawala szkołę, okłamuje matkę i bezustannie się naraża, to to jest źle. Owszem, są sytuacje tak poważne, że usprawiedliwiają także i takie postępowanie, ale on ma właśnie wątpliwości, czy mój przypadek do nich należy. Dlatego prosi, żebym nad tym wszystkim trochę pomyślała.

Spytałam go, czy uważa, że powinnam się wycofać, i chyba miałam trochę nadziei, że powie „tak”. Ale on się zdziwił:

– Teraz, kiedy już liczą na ciebie? Wykluczone. Źle się stało, że nie porozmawiałem z tobą wcześniej. Bo teraz to już możesz się tylko starać, aby robić jak najlepiej to, co zaczęłaś.

Później, tak jak się tego spodziewałam, doszliśmy jednak do sprawy kłamstwa. Ale Marek nie wspomniał wcale o historii ze Stasiem Dąbkiem, mówił ogólnie, o nas wszystkich.

– Ciągłe kłamiemy i oszukujemy, bo musimy. I często uważamy, że to jest nie tylko konieczne, ale i zupełnie normalne. A mnie się wydaje, że to jest naszą największą stratą i że dzieje nam się przez to duża krzywda. Bo kiedy przyjdą normalne czasy, a do nich przecież coraz bliżej, to może nam być wcale niełatwo odzwyczaić się od tego. Boję się, żebyśmy nie zostali pokoleniem, które więcej przyniesie szkody niż pożytku.

Rozmawialiśmy jeszcze o różnych innych sprawach, ale ja miałam ochotę posprzeczać się z nim porządnie, bo uważałam, że z tym kłamstwem to przesada. Jak się żyje na świecie, w którym jest pełno najgorszych zbrodni, to śmieszne jest martwić się takimi głupstwami. Myślałam nawet, że między tym, co mówi Marek, i tym, co trajlowała nam Nina – zastępowa, nie ma wielkiej różnicy. I wtedy właśnie przypomniałam sobie Alicję oznajmającą: „Ja to kłamię nawet wtedy, kiedy mogłabym powiedzieć prawdę”. A zaraz potem uświadomiłam sobie, że jeszcze niedawno byłam prawie chora, kiedy musiałam kręcić przed mamą, a ostatnio jakoś przestałam się tym przejmować i przychodzi mi to zupełnie łatwo. Więc się złękłam, że już się ze mną zrobiło to coś niedobrego i jeśli nie będę ciągle o tym pamiętać, to chyba już taka zostanę na zawsze. Powiedziałam nagle, zupełnie nie w porę, bo mówiliśmy o czymś innym:

– Marek, ja po wojnie nie będę kłamać.

Teraz chcę to napisać jeszcze raz, żeby to było takie poważne oświadczenie, którego nie można się wyprzeć:

PO WOJNIE NIE BĘDĘ KŁAMAĆ

Tak się tym wszystkim przejęłam i taka się zrobiłam miękka od środka, że obiecałam za jednym zamachem mnóstwo rzeczy: nie kręcić, nie zwać niczego na innych, przyznawać się do winy. Powiedziałam, że wiem, o czym mieliśmy rozmawiać w Nowy Rok na tym spacerze, na który nie poszliśmy: o pobiciu Stasia i moich łgarstwach. Że teraz już rozumiem i nigdy więcej tak się nie zachowam. Marek bardzo się ucieszył, naprawdę-bardzo. W tej chwili to nawet trochę się martwię, że tak dużo naobiecowałam. Nie wiem, czy potrafię dotrzymać, a nawet jeśli mi się uda, to co to będzie teraz za życie? Jedna męka.

A te inne sprawy, o których mówiliśmy, dotyczyły tego, że już nie będzie naszych wspólnych lekcji z matmy i fizy. Najlepszy dowód, jak bardzo jestem zapatrzona w siebie i jak mało się przejmuję cudzymi sprawami: dotąd nie wspomniałam ani słowa o tym, że od pierwszego stycznia ciocia Zosia jest bez pracy! Wyrzucono ze sklepu obie polskie ekspedientki, cała obsługa jest już teraz niemiecka. Rodzina Wysoczkich uradziła, że ciocia nie będzie szukała nowej posady, bo i tak mogłaby zarobić tylko jakieś nędzne grosze, zacznie za to pracować Marek. No i właśnie został robotnikiem w zakładach sprzętu elektrycznego. Nie tylko dostaje więcej forsy niż ciocia, ale jeszcze ma legitymację, która go chroni przed wywiezieniem na roboty.

Nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób on godzi dwie szkoły i pracę. A to jest tak: do zakładów przyjęto go na cztery godziny dziennie, jako robotnika wykwalifikowanego, ponieważ kończy elektrotechniczną szkołę zawodową. A znowu w szkole zwolniono go z części zajęć praktycznych, bo w fabryce i tak ma dobrą praktykę zawodową. Marek mówi, że nie jest nawet dużo bardziej zmęczony niż przedtem, w zakładach obowiązuje „zasada żółwia” – pracuj powoli. Ale to wszystko zajmuje mu tyle godzin, że ledwo może zmieścić jeszcze naukę na kompletach i odrabianie lekcji.

Zauważyłam nagle okropną rzecz: że od dwóch miesięcy nie napisałam ani słowa o egzekucjach. Tak jakby ich nie było! A one są, są bezustannie. Czy to znaczy, że do czegoś takiego też można się przyzwyczaić?!!!

10 I 1944

Miałam w nocy dziwny sen. Nagle, bez żadnego wstępu, zobaczyłam przed sobą długi korytarz, pośrodku którego stała moja Fräulein Gertrud i kiwała na mnie ręką. Ruszyłam w jej stronę i w tej samej chwili korytarz między nami zaczął się wydłużać tak raptownie, jakby któraś z nas stała na ruchomej, jadącej do tyłu platformie. Biegłam coraz szybciej, a byłam od niej coraz dalej. Fräulein ciągle przyzywała mnie ruchem ręki, ale widziałam ją coraz słabiej. Oddalała się, a wkoło stopniowo zapadała ciemność. Obudziłam się bardzo przestraszona i później już nie mogłam usnąć.

To dziwne, że ze wszystkich moich wychowawczyń najbardziej przywiązana byłam właśnie do panny Gertrudy, chociaż była u nas przez te

dwa ostatnie lata, kiedy wszyscy już bardzo nie lubiliśmy Niemców, i chociaż biła mnie po twarzy. Jeśli babcia dała mi czasem po łapach, to zaraz leciałam do mamy na skargę, bo mama uważała, że dzieci się nie bije. Ale nigdy nikomu nie powiedziałam o tych „Ohrpfeigach” od Fräulein Gertrud. Chyba wiedziałam, że mama by ją zwolniła, i już wolałam te policzki niż rozstanie. Fräulein nie była dla mnie ani serdeczna, ani czuła, a mimo to wydaje mi się, że mnie kochała. Bardzo płakała, kiedy jej kazali odejść od nas. Ja nie płakałam. To było w trzydziestym dziewiątym, po śmierci dziadka, po wyjeździe Tatusia, po obłężeniu. Teraz wydaje mi się, że w tamtym okresie w ogóle niczego nie czułam, ale może tylko już nie pamiętam? W każdym razie teraz na pewno płaczę o wiele częściej i z głębszych powodów niż wtedy.

Panna Gertruda nauczyła mnie niemieckiego tak dobrze, że pod koniec jej pobytu łatwiej mi się już myślało po niemiecku niż po polsku. Ale uważam, że jeszcze większy pożytek miałam z czegoś innego: Fräulein nauczyła mnie jeść. Przez całe dzieciństwo nienawidziłam jedzenia, oczywiście z wyjątkiem słodczy i lodów. Szczególnie obiady były okropne przez to, że trzeba było zjeść i zupę, i mięso, i obrzydłe kartofle, i jeszcze jakiś idiotyczny kompot czy kisiel. Drugie danie odgrzewano mi najczęściej po parę razy, bo labiedziłam, że zimne i dlatego niby nie mogę jeść. A znów później narzekałam, że odgrzewane jest niesmaczne. W końcu doprowadziłam do tego, że mama z jakiejś wakacyjnej wycieczki, chyba zagranicznej, przywozła elektryczny talerz. I wtedy zaczęło się piekło! Talerz grzał, jedzenie było ciągle ciepłe, a ja siedziałam nad nim całymi godzinami i żałośnie wylałam. Po nocach marzyło mi się, że rąbnę tym talerzem o ziemię, ale nigdy się na to nie zdobyłam. Wszyscy dorośli, którzy asystowali przy moich obiadach, byli już bliscy choroby nerwowej, kiedy w naszym domu zjawiała się Fräulein Gertrud.

Na jednym z pierwszych naszych spacerów panna Gertrud zaprosiła mnie na podwieczorek do cukierni w Łazienkach i ja wtedy zapytałam, czy mogę wypłuć kotlecik. Pamiętam wzrok, jakim Fräulein na mnie spojrzała! Ale pozwoliła wypłuć przeżuwane od trzech godzin mięso i nic nie powiedziała, tylko po powrocie do domu poprosiła mamę o chwilę rozmowy. Od tego dnia wszystko nagle się zmieniło. Kiedy mówiłam: „Ja już dziękuję za zupę”, ot tak, aby coś powiedzieć, zupa zjeżdżała natychmiast ze stołu. Gdy nie chciałam jeść mięsa, panna Gertruda odpowiadała:

– To nie jedz.

A kiedy oznajmiałam, że już w ogóle nie jestem głodna, słyszałam:

– Możesz wstać od stołu.

Z początku nie wierzyłam własnemu szczęściu i nawet robiłam takie próby, że na przykład odmawiałam zjedzenia kolacji. I nic. „Nie chcesz – nie jedz” mówiła spokojnie moja opiekunka. Po pewnym czasie przestało mnie to bawić, a za to zaczęła mi się ogromnie podobać zupa, mięso i nawet niektóre jarzyny. Tylko kartofli dalej nie cierpię.

17 I 1944

Nic ciekawego się nie dzieje. Co parę dni odbywam te przejażdżki, ale teraz zajmują mi one najwyżej godzinę, do półtorej. To dlatego, że dawniej czekałam na tramwaj na tyle tylko zatłoczony, żeby można się było uwiesić na stopniach albo z tyłu na zderzakach i często musiałam przepuścić kilka wozów. Teraz zmyślałam i już zawsze jeżdżę po przeciwnej, zewnętrznej stronie platformy, a na to jest mało chętnych. Często pasażerowie z pomostu krzyczą i gniewają się na mnie, bo przy mijaniu się tramwajów można zostać zepchniętym przez tych, co wiszą w ten sam sposób na tamtym wozie. Najczęściej ludzi złości to, że jestem dziewczyną. Jakby nie było wszystko jedno, czy pod koła wleci w razie czego dziewczyna czy chłopak. Ale czasem zdarza się też, że ktoś przełoży rękę ponad barierkę i trzyma mnie za ramiona. Jestem za to zawsze bardzo wdzięczna i grzecznie dziękuję temu, kto mi pomógł, bo teraz są duże mrozy i metalowe listwy, na których się stoi, są oblodzone i nietrudno zlecieć.

Marek i jego koledzy zrobili okropny kawał jednej znajomej panie. Powypisywali na maszynie kilkadziesiąt ogłoszeń różnej treści, na przykład: „Części do rowerów skupuje Magdalena W.” albo: „Zamienię metr ziemniaków na wózek dziecinny, może być w kiepskim stanie”, albo: „Dam kilogram wełny owczej za dużą ilość butelek i słoików”. I tak dalej. Na każdym ogłoszeniu podali oczywiście jej nazwisko i adres. Rozlepili te papierki po całym Mokotowie i jeszcze w części Śródmieścia. Podobno następnego dnia w domu Magdusi ustawiła się na schodach długa kolejka ludzi, dźwigających popsute rowery i worki butelek, wózki dziecinne, trawę morską do wypychania materacy, dusze od żelazek, piecyki-kozy i wszystko, co było wymienione w ogłoszeniach. W dodatku o mało nie pobito jej ojca, kiedy próbował tu-

maczyć, że to kawał. Cała rodzina W. biegła później po mieście i zdierała te świstki. To dopiero świntuchy! Nie państwo W. oczywiście, tylko te chłopaczyska.

W niedzielę Marek zabrał mnie na spacer, który nazwał „Śladami męki pięknej Magdaleny”, bo chodziliśmy różnymi ulicami szukając ocalałych ogłoszeń. Znależliśmy jeszcze trzy, w tym jedno zawiadamiające, że Magdusia zakupi psa czarnego w białe łaty lub da w zamian wyżymaczkę. Podobno było też ogłoszenie o kocie, białym w czarne łaty, za którego można było dostać emaliowaną wanienkę! Co tam się musiało dziać na tych schodach!

Spytałam, czym się im ta biedna Magda naraziła, i dowiedziałam się, że była to kara za brak serca.

– Cała nasza komp... klasa się w niej kocha, a ona ma nas w nosie. Więc moi koledzy zdecydowali, że trzeba zrobić coś takiego, żeby raczyła zauważyć, że istniejemy.

– Ty też się w niejkochasz? – zapytałam z wielkim strachem.

– Nie, oczywiście, że ja nie i jestem, zdaje się, jedynym wyjątkiem. Najbardziej wsiąkł biedny Adzik i on też najgoręcej protestował przeciwko tym ogłoszeniom. Ale uchwała zapadła większością głosów.

– A ty jak głosowałeś?

– Głosowałem „nie”. Ale kiedy chłopcy zaczęli wymyślać te teksty, to zrobiła się taka zabawa, że naturalnie wziąłem w niej udział. Później rozlepialiśmy to wszyscy po trochu, bo wiesz, każde rozlepianie, nawet takich głupstw, może być niebezpieczne. Tylko Adzik na znak protestu opuścił nasze szanowne grono.

Podpytywałam go jeszcze, jak wygląda ta „piękna Magdalena”, i dowiedziałam się, że jest blondynką. Więc chyba rzeczywiście to nie ona.

29 I 1944

Dzisiaj, kiedy wróciłam ze szkoły, zastałam zapłakaną Jadzię i okropnie zdenerwowaną mamę. W czasie naszej nieobecności, kiedy Jadzia była akurat zupełnie sama w domu, wydarzyła się tu straszna historia.

Koło południa przyszła Beredke, żeby jak zawsze skorzystać z telefonu. Mówiła przez telefon po niemiecku, więc Jadzia, która sprzątała przedpokój, nie rozumiała, o co chodzi, ale słyszała słowo „Juden”

powtórzone kilka razy. Od razu poczuła, że stanie się coś złego. Beredke skończyła telefonować i kazała się zaprowadzić do tego pokoju, z którego jest widok wprost na naszą ulicę. Stała przy oknie i powiedziała, że musi tu poczekać tak długo, aż przyjadą „młodzi ludzie z gestapo” (tak się wyraziła!). I nie proszona zaczęła opowiadać o swoich podejrzeniach, że jej lokatorki, matka i córka, to Żydówki. Ona naturalnie nie jest tego zupełnie pewna, tylko tak przypuszcza, bo one mają za dużo świętych obrazków na ścianach i za często jedzą cebulę. Ale jeśli się myli, to w gestapo wszystko się przecież wyjaśni, a ona chętnie je przyjmie z powrotem. Dzisiaj jest wyjątkowa okazja, bo do młodszej z tych pań przyszedł narzeczony, który też podejrzenie wygląda. Więc zamknęła ich wszystkich na klucz i teraz musi tu cierpliwie poczekać.

Jadzia mówi, że w czasie tej przemowy była bliska zemdlenia. Chciała coś zrobić, ostrzec jakoś tych ludzi, ale przecież nie mogła nic. I ciągle jej też chodziło po głowie, że w naszym mieszkaniu okropnie pachnie cebulą, którą właśnie smażyła do obiadu. A gestapo przyjechało błyskawicznie, cóż, mają tak niedaleko... I potem to już Jadzia wiedziała tylko, jak ich wyprowadzali, mężczyznę i dwie kobiety, do metalowej budy. Kiedy mama, tak jak co dzień, zadzwoniła z pracy, to Jadzia powiedziała, że jest chora i bardzo prosi, żeby mama zaraz przyszła. Miała tak zmieniony głos, że mama rzuciła zaczęłą robotę i natychmiast przybiegła.

Wszyscy chodzimy jak nieprzytomni. Pan Wysocki powtarza: „Szatan, szatan wcielony”, Marek mówi najgorsze wyrazy: „morderczyni” i „ścierka”, ciocia płacze. Biednej Jadzi w ogóle nie można uspokoić. Powiedziała do mojej mamy:

– Czy pani wie, że ten potwór, ta wiedźma odczekała, aż te panie zapłacą część pieniędzy za elektryczne ogrzewanie, które ona założyła w całym mieszkaniu? Trzy dni temu skończyli zakładać instalację i zmienili licznik. Więc już mogła je zadenuncjować!

5 II 1944

Trzeba było popsuć dzwonek do mieszkania. A mama jest chora. Po tamtym okropnym wydarzeniu Jadzia zaczęła się panicznie bać Beredke. Powiedziała, że chyba wyskoczy przez okno, jeżeli będzie znów sama w domu, a Beredke przyjdzie.

– Żeby ona chociaż była brzydka – mówiła z płaczem. – Albo stara, albo chodziła w mundurze! Ale ona jest taka piękna i tak ślicznie pachnie. Ja panią bardzo przepraszam, ale ja wiem, że nie wytrzymam i zrobię coś niedobrego.

– To umówmy się – proponowała mama – że w czasie naszej nieobecności Jadzia nie będzie w ogóle reagowała na dzwonki.

Ale Jadzia krzyczała z rozpaczą:

– A czyż ja tak mogę, proszę pani?! Przecież ona świetnie wie, kiedy ja jestem w domu, a kiedy idę na zakupy. Ciągłe tylko siedzi w oknie albo wystaje na schodach. Nic, ale to nic, co się dzieje w tym domu, przed nią się nie ukryje, ja to pani mówię!

Więc mama poprosiła Marka, aby wyłączył dzwonek, bo pukania zawsze wolno nie usłyszeć. I zapowiedziała Jadzi, że przy Beredke ma udawać troszkę przygłuchą, byle nie za bardzo.

A ja się okropnie zlekłam, kiedy usłyszałam, że Beredke potrafi wystawać na schodach. Przecież jak wyjmuję ten pamiętnik ze skrzyni z piaskiem, to nie sprawdzam, czy całe schody są puste. A wystarczy, że ona będzie stała piętro niżej i usłyszy, że ktoś podnosi i opuszcza wieko, żeby jej się to wydało podejrzanе. Każdemu by się wydało. Myślałam dwa dni i wymyśliłam inną skrytkę, bardzo zwyczajną, ale chyba jeszcze lepszą.

Wracając do naszych przeżyć z Beredke, to przez ten tydzień dwukrotnie pukano przed południem do naszych drzwi i Jadzia za każdym razem wyglądała później przez okno, ale nikt z naszej klatki nie wychodził. Więc to musiała być Beredke, bo z pozostałych sąsiadów nikt nas raczej nie odwiedza. A od dziś już wiemy na pewno, że to ona, ponieważ zaczęła mamę na schodach ze słowami:

– Zachodziłam któregoś dnia do pani, dzwoniłam, stukałam, ale służąca mnie nie wpuściła.

Mama powiedziała, że dzwonek jest nieczynny, a Jadzia trochę niedostłszy.

– Powinna pani jednak kazać naprawić ten dzwonek – stwierdził na to ten padalec.

Jadzia, gdy o tym usłyszała, zaczęła dla odmiany błagać, aby koniecznie podłączyć dzwonek z powrotem, że ona już się trochę uspokoiła i nie chce, żeby przez nią spadło na nas wszystkich nieszczęście. Ale mama powiedziała:

– O, nie. Ta osoba nie będzie mi dyktować, co mam robić w moim mieszkaniu.

Zdaje się, że wszyscy poczuliśmy się jednak jak w obozie obłączonym przez wroga, bo wieczorem panowało jakieś napięcie. I właśnie kiedy kończyliśmy kolację, rozległo się pukanie. Było już po godzinie policyjnej, więc ciocia mruknęła:

– Oj, dobrze, że dziś nie jemy cebuli... – bo bardzo często jemy ją do chleba ze względu na witaminy.

Mama sama otworzyła drzwi i usłyszeliśmy, jak mówi:

– Pani do telefonu? Proszę...

I głos Beredke: – Nie, dziękuję. Wpadłam tylko na moment, właśnie żeby się pani zrewanżować za te ciągłe telefony. Pani córeczka jest mizerna, to jej na pewno dobrze zrobi.

Mama odpowiedziała:

– Och, proszę pani, Ewa już dawno z tego wyrosła i sędzę, że będzie się wstydziła to pić. Zresztą... Ewuniu! – zawołała tak głośno, jakbym była gdzieś na końcu mieszkania, a nie za nią domkniętymi drzwiami. – Pozwól na chwilę do przedpokoju!

Zerwałam się i chciałam do niej lecieć, ale Marek przytrzymał mnie za rękę i oczami pokazał drugie wyjście ze stołowego. Przebiegłam na palcach do następnego pokoju, stamtąd wrzasnęłam: „Już idę!” i weszłam do przedpokoju z bocznego korytarza.

Beredke stała z wielką puchą Ovomaltiny w ręce. Mama spytała:

– Czy masz ochotę pijać Ovomaltinę?

– Mama, coś ty – powiedziałam niegrzecznie i pogardliwie – to dobre dla niemowląt. Mowy nie ma.

– Widzi pani – mama zdobyła się na uśmiech. – Dziewczynki w tym wieku to zupełnie specjalne zagadnienie, przekona się pani o tym, kiedy pani córka podrośnie. Więc nie chce pani telefonować?

Beredke raz jeszcze zapewniła, że nie, i wyniosła się razem z Ovomaltiną. Mama przytuliła mnie, pocałowała i razem weszliśmy do pokoju. Ale tu zrobiło się jej słabo i dostała ataku serca. Pamiętam kilka takich ataków i zdaje mi się, że ten nie był na szczęście specjalnie silny, ale okropnie się zlekłam. Siedzieliśmy przy niej wszyscy, dopóki nie zasnęła, a ja teraz też nie śpię i sprawdzam od czasu do czasu, czy wszystko jest w porządku. Jutro trzeba będzie wezwać doktora Kuleszę, który leczy naszą rodzinę, odkąd pamiętam.

Przeczytałam to, co napisałam przed chwilą, i przy zdaniu: „Pani do telefonu? Proszę.” przypomniał mi się ton, jakim zostało wygłoszone. Nikt na świecie nie umie mówić tyloma różnymi tonami, co moja

mama. Ja albo mówię zwyczajnie, albo kiedy jestem zła, to za głośno. Mama nigdy nie podnosi głosu i zawsze zwraca się do wszystkich bardzo uprzejmie, tylko za każdym razem jest to inna uprzejmość. Inna dla przyjaciół i rodziny, inna dla moich koleżanek, jeszcze inna dla Jadzi czy pani Dąbkowej. To zdanie powiedziane do Beredke też było bardzo uprzejme, ale w taki sposób, jakby oznaczało: „Proszę wyjść z mojego domu”. Chyba właśnie z powodu tej uprzejmości pani Dąbkowa powiedziała kiedyś:

– Mamusia Ewy to prawdziwa dama.

Było to zresztą w momencie, kiedy tak się tłukłam z którymś z chłopaków, że pani Dąbkowa musiała nas rozdzielać, bo już nam obojgu szła krew z nosa, więc z całą pewnością musiało oznaczać, że nie odziedziczyłam charakteru po mamie.

Dorośli ze starych fotografii

Kiedy w pamiętniku przeczytałam zdanie „z pozostałych sąsiadów nikt nas raczej nie odwiedza”, uświadomiłam sobie, że do moich rodziców także nie przychodził prawie nikt z mieszkańców domu. Ten brak sąsiedzkich zaprzyjaźnień był zapewne przyczyną, że pamiętam z tamtych czasów tak niewiele twarzy. Beredke przypominam sobie jak przez mgłę i chyba tylko dlatego, że była tą jedyną volksdeutschką. Nie miałam przy tym pojęcia o złowieszczych poczynaniach tej kobiety, a tragicznych wydarzeń, jakie rozegrały się na terenie naszego domu, nie łączyłam w najmniejszym stopniu z jej osobą. Inni dorośli, o których pisze Ewa, byli mi wówczas na ogół nie znani, a z kolei nie znalazłam w pamiętnikach wielu spośród tych, których sama zapamiętałam. Mieszkałyśmy na dwóch krańcach rozległego bloku. O najbliższych sąsiadach wiedziało się tylko coś niecoś.

Sądzę, że brak związków pomiędzy ludźmi wyplýwał ze społecznych uwarunkowań i z samej genezy naszego domu. Gdy na początku lat trzydziestych powstawała ta spółdzielnia w szczerym polu, przystępowali do niej ludzie, którzy w trudnych latach tuż po kryzysie posiadali jednak dość pieniędzy, aby zakupić własne mieszkanie. Tyle że dla jeńców te raty i spłaty były wydatkiem na pograniczu ich możliwości finansowych, dla drugich natomiast stanowiły niewielką pozycję w budżecie. Wprowadzali się mniej więcej jednocześnie, a więc nie tak, jak to bywa zazwyczaj, kiedy nowo przybyli wchodzą w zamieszkaną już dom i zawsze trochę nasiąkają z czasem jego klimatem. Tu – świeże były mury i ludzie, i wszyscy dla wszystkich jednakowo obcy.

Przewagę ilościową miały chyba „wolne zawody”: adwokaci, lekarze itp. Było trochę tak zwanej inteligencji technicznej, najczęściej na dorobku, i kilku zbiedniałych ziemian, którzy po rozstaniu z majątkami chcieli osiąść „na swoim”. Zamieszkało też paru bardzo chyba

drobnych „kapitalistów”, właściciele fabryczek czy zgoła dobrze prosperujących warsztatów. Był pisarz, dziennikarz i słynny grafik, był też ktoś ze sfer dyplomatycznych. Ludzie z różnych światów. Jeśli dziś pakuje się ich do wspólnego worka z etykietą „inteligencja pracująca”, to jest to zabieg upraszczający. Bowiem grafik z adwokatem i lekarz z inżynierem nie mieli sobie wiele do powiedzenia, była ziemianka o podwójnym nazwisku, którego pierwszy człon tworzyło rodowe zawołanie, nie czuła potrzeby kontaktów z dziennikarzem o nazwisku kończącym się na „...ak”, wszyscy oni nie dążyli do zawarcia znajomości z businessmanem-Żydem, który zajmował mieszkanie z dwoma aż tarasami, a i on się do tego nie kwapił. Jeśli istniał w nich jakiś wspólny rys, to chyba właśnie owa niechęć do nawiązywania stosunków sąsiedzkich, do pogaduszek na schodach, do pożyczania marchewki. Wymieniano uprzejme ukłony i mijano się w milczeniu.

Wojna, która zachwiała równowagę płci, zmieniła też nieco ten styl. Większość mężczyzn odeszła na zawsze lub na lata, osamotnione kobiety łączył teraz wspólny niepokój i zmagania z życiem codziennym. Ale, o ile się orientuję, były to związki raczej przelotne, zawiązywały się i rozplątywały w zależności od potrzeby chwili. Kiedy wiosną czterdziestego czwartego został aresztowany mój ojciec, u szalejącej z przeżycia matki zjawiała się sąsiadka, która dotąd nigdy nie składała nam wizyt. Starsza, nobliwa pani przyjęła filiżankę herbaty, bąknęła coś w rodzaju, że to już bliżej niż dalej, przy jakimś rozpaczliwym „ale kto tego dożyje?!“ matki chrząknęła „no, no, moja droga...” Posiedziała z pół godziny i wyszła. Pamiętam bezradnie: „Nie rozumiem, czego ona ode mnie właściwie chciała...?” mojej mamy. Sądzę, że nie chciała niczego, przyszła, ponieważ jej wizyta miała być aktem solidarności, a także pocieszenia.

Znikali jedni mieszkańcy, wprowadzali się nowi. Niektórym towarzyszyła nieprzychylna fama: „dorobili się na wojnie”.

Ewa nie pisała o żadnych dorosłych spoza kręgu najbliższych jej osób, ponieważ nic ją nie obchodzili. Tak jak i mnie. Pamiętam wszystkie dzieciaki, i te z naszego domu, i te ze slumsów pod Kolonią Grottera, które ramię przy ramieniu staczały boje na budowli. Twarze większości dorosłych rozpląnęły się w gęstej mgle. Najlepiej przypominam sobie pewnego młodego pana z sąsiedniej klatki schodowej, wysokiego blondyna o tak prostej sylwetce, jaką później zdarzało mi się widywać już tylko na filmach, ukazujących pruskich oficerów z cza-

sów Kajzara Wilhelma. Stawałam zagapiona, ilekroć dostrzegłam go idącego krokiem poważnym i trochę sztywnym, niosącego jasną głowę wysoko a dumnie. Przez krótki czas był bohaterem moich najtajniejszych marzeń. Pewnego dnia pani Dąbkowa powiedziała: „Biedaczek, takie to chore, że go wsadzili w gorset z gipsu od bioder aż po szyję” i moja miłość umarła. Byłam w wieku, kiedy uczucie musi się karmić podziwem, nie współczuciem. Dla Ewy „pan z gipsu” w ogóle nie istniał. A ja prawie nie zauważałam Marka. Mogę o nim powiedzieć tylko tyle: wysoki, ciemnowłosy chłopiec o mizernej twarzy. Z fotografii wiszącej u pani Wysockiej patrzą poważne, niewesołe oczy. To chyba wszystko. Wiadomości, jakie mam o nim obecnie i które ewentualnie mogłyby posłużyć do uzupełnienia jego wizerunku, są przefiltrowane przez czas, a dla mnie dodatkowo zafalszowane przez żenujący fakt, że ktoś, kto był o tyle ode mnie starszy i w swej dorosłości nieosiągalny, dziś stał się już młodszy o połowę przeżytych przeze mnie lat.

Pamiętnik Ewy

O ŚMIERDZIELU I SKUTKACH ZŁOŚCI

6 II 1944

Na naszych schodach był dzisiaj taki zapach, że kiedy weszłam ze dworu, zaczęłam się krztusić i kichać. Od razu też wiedziałam, że ktoś podpałił śmierdziela. Witek, mój kuzyn (ze strony ojca), z którym byłam przed wojną na jakichś wakacjach, zamknął mnie kiedyś w kurniku i kilka takich śmierdzieli wrzucił do środka przez małe okienko. Otworzył drzwi dopiero wtedy, kiedy już przestałam krzyczeć i nawet było trochę kłopotu z przywróceniem mnie do przytomności. Od tego czasu zaraz się duszę, jak łyknę trochę tego dymu. To paskudztwo położono oczywiście pod drzwiami Beredke, więc zląkłam się, czy nie pomyśli, że to moja robota i nie zemści się na naszej rodzinie. Na tej klatce, poza mną, mieszkają sami dorośli, a o coś takiego trudno dorosłych posądzać. Ta jędzka zmiatała właśnie nie dopalone resztki klisz z okolicy swojej wycieraczki i wydłubywała jedną z dziurki od klucza, kiedy przechodziłam koło niej. Strasznie wymyślała na łobuzów, którzy to zrobili, i mówiła, że im pokaże. Ale widziała, że ledwo żyję od tego zapachu, więc chyba nie będzie mnie podejrzewać.

Na naszym piętrze, za skrzynią z piachem, znalazłam Młodszego Bliźniaka. Miał zaciśnięte usta, był sinawy i robiło wrażenie, że zaraz wybuchnie. Więc zaciągnęłam go do swojego pokoju i jak się już wykastaliśmy, to mu powiedziałam, co myślę o takich wyglupach i kto, w razie czego, będzie za to odpowiadał. Trochę się stawiał, ale nie bardzo, zdaje się, że sam był przestraszony swoim wyczynem.

Mama czuje się lepiej i doktor mówi, że nie ma powodów do niepokoju, ale dla pewności nie powiedziałam jej o śmierdzielach i Bliźniaku. Kiedy pytała, skąd w mieszkaniu taki dziwny zapach, zbujałam, że na ulicy palą śmieci.

Jestem potwór, który nie zasługuje na to, aby go święta ziemia nosiła! Te moje złości, wściekłości, ataki furii – tyle złego było już z ich powodu, ale jeszcze nigdy tyle, co teraz! Ja chyba nie jestem zupełnie normalna. Człowiek normalny przecież wie w każdej chwili, co robi, a ja, jak wpadnę w taki szal, to przestaję myśleć, mózg mi się wyłącza i robi się tak, jakby to ta złość działała, nie ja. Teraz, kiedy to piszę, to już z trudem sobie przypominam, co właściwie czuję w takich momentach, i chyba nawet nie wszystko chce mi się pamiętać. Wiem, że to, co wyprawiam, jest nie do przyjęcia, a w dodatku jest najczęściej niesłuszne i dotyczy samych głupstw.

Kołużę, bo bardzo nie mam ochoty opisywać tego, co narobiłam. A muszę, bo to zmieniło całe nasze życie.

Jadzia odeszła. Przeze mnie.

To było na czwarty dzień po wizycie Bredke, mama czuła się już dobrze i wyszła na miasto, a ja po obiedzie wzięłam się do wycinania formy bluzki koszulowej. W szkole zupełnie schrzałam rękawy i Żabsko powiedziało, że mój rękaw nigdy się nie spotka z pachą. Dziewczętom na ogół nie udają się kołnierzyki, dla mnie kołnierzyk to pestka, ale dopasować rękawa do pachy nie potrafię. Wszystko musiałam wymierzać od nowa i wyglądało, że tym razem będzie nawet nieźle, więc zaczęłam wycinać formę. Wtedy weszła Jadzia i od razu rozjzgotowała się, dlaczego nie zwinęłam dywanu. Że jak się ścinki nabijają w dywan, to niech ręka boska... Że ona nie ma zamiaru sprzątać w kółko.

Powiedziałam, że sama posprzątam. Wtedy Jadzia, wychodząc:

– A bo to się kiedy zdarzyło? Księżniczce spadłaby z głowy korona, jakby się dotknęła takiej roboty!

Mnie to z początku nawet nie obeszło. Dopiero po chwili... Nie ta księżniczka, skądże! Tylko że podobno nigdy nie sprzątam. Pewnie, nie zdarza się to często, po prostu rzadko mam okazję. Ale to nieprawda, że nigdy! Nienawidzę takiego niesprawiedliwego gadania!

I już znowu próbuję się usprawiedliwiać. A ważne jest tylko to, że wtedy dostałam ataku wściekłości. Poleciałam za Jadzią do kuchni, zaczęłam krzyczeć, już nie wiem dokładnie co, pewnie to samo, co napisałam wyżej. Jadzia odwróciła się do mnie plecami i udawała, że mnie nie ma, a w pewnej chwili powiedziała:

– Zdaje się, że niewiele ci te zastrzyki pomogły. Uważaj, żebyś się nie wściekła.

Wtedy straciłam resztkę rozumu i z całej siły kopnęłam mały stołeczek stojący na podłodze. Przeleciał przez długość kuchni i trafił Jadzię w nogi. Jadzia krzyknęła i przykucnęła, łapiąc się za kostki. Naturalnie otrzeźwiałam od razu, strasznie się złęłam i chciałam ją ratować. Ale mi nie pozwoliła. Płakała i wołała, że teraz to już dość, ona tu nie zostanie ani chwili dłużej, że mam jej nie dotykać.

Jak przyszła mama, to Jadzia wymówiła. Opowiedziała o tym, co zrobiłam, pokazała siniak na nodze, spakowała rzeczy i wyniosła się. Wszyscy się przerazili, co ona ze sobą robi, bo było już późno i nie mogło być mowy, żeby zdążyła dojechać do Zielonki, do kuzynów. Teraz już wiemy, że sąsiedzi państwa Borzęckich, bardzo zamożni ludzie, namawiali ją od dawna, żeby nas zostawiła, i dawali jej dużo wyższą pensję, niż mogła dać mama. Ona długo nie chciała tak z nami postąpić, ale po tej historii od razu przeniosła się do nich.

Mama nawet na mnie nie krzyczała, tylko mówiła tak, jakby do siebie:

– Jadzia, towarzysz naszych najcięższych lat, wierny pomocnik w najgorszych chwilach... Chowała ze mną oboje dziadków, płakała nad Tatusiem, w lipcu, kiedy uciekłyśmy z domu, tak się o nas bała... Opiekowała się tobą, trwała przy nas za marne grosze, chociaż gdzie indziej dostawałaby trzy razy tyle. Ładnie jej się odwdzięczyła...

Już bym wołała, żeby mnie mama zabiła, niż żeby mówiła takie straszne słowa! Sama wiem, że jestem niedobra, najgorsza na świecie. Wszystko, co robię, jest złe, głupie, podłe, wszystkich krzywdzę, wszystkim przynoszę same szkody. W szkole źle, w domu – lepiej nie mówić, dla mamy udręka, Jadzię skrzywdziłam. Markowi jestem niepotrzebna, państwu Wysockim też potrafię dokuczyć! Nikt nie ma ze mnie pociechy. Ja naprawdę tego nie rozumiem, tylu wspaniałych ludzi teraz ginie, a ja żyję na nieszczęście dla wszystkich, taka nic niewarta jęzda!

14 II 1944

Wczoraj zaczęłam płakać i już nie mogłam dłużej pisać. Dziś nie jest mi ani trochę lżej. Tak się wstydzę, że chciałabym mieć czapkę-niewidkę albo w ogóle przestać być. Nikt nie wie, że byłam dziś u tych państwa, u których teraz jest Jadzia. Miałam jeszcze nadzieję, że jak ją bardzo poproszę i obiecuję poprawę, to może do nas wróci. Ale powie-

działa, że skoro już się umówiła, to teraz nie będzie tym ludziom robić kawałów. Byłam tylko w przedpokoju (Jadzia mówi, że u nich to się nazywa hall) i w kuchni, ale i tak widać, że to musi być bardzo bogaty dom.

17 II 1944

Życie będzie teraz zupełnie inne, dużo cięższe. Mama mówi, że tylko dlatego mogła dotąd spokojnie pracować, bo wiedziała, że nie musi myśleć o zdobywaniu jedzenia, że jak obie wrócimy z miasta do domu, to będzie na nas czekał gorący obiad, sprzątnięte mieszkanie, rozgrzane piece...

Pieklłam się na Beredke, że przez nią mama zachorowała. A ja? A przeze mnie?! Będzie się teraz stale martwić, roboty jej przybyło... W ogóle nie wiem, jak byśmy sobie poradziły, gdyby nie ciocia Zosia, która oznajmiła:

– Gotuję dla moich, będę gotować i dla was. Tylko wypraszam sobie grymasy!

Kochana! A co do reszty, to mama chciała, żebym wzięła na siebie sprzątanie, a ona palenie w piecach. Ale uprosiłam, żeby było na odwrót. Mamie z jej sercem nie wolno dźwigać, a nawet jeśli Marek naniosi węgla z piwnicy, to i tak trzeba pełne wiadra wlec do kolejnych pokoi, a one są ciężkie jak cholera. Powiedziałam też, że będę zmywać gary.

Słyszałam poza tym (zupełnie przypadkiem, bo teraz staram się nie podsłuchiwać) dłuższą rozmowę pomiędzy ciocią a mamą o mojej awanturze z Jadzią i wiem, że ciocia trochę mnie broniła. Po pierwsze, mówiła ciocia, nie wiadomo, co spowodowało, że Ewa tak się wobec Jadzi zachowała, bo żadna z nich nic na ten temat nie powiedziała. A po drugie, nawet dorośli ludzie czasem nie wytrzymują tego napięcia, w jakim obecnie żyjemy, i wykańczają się nerwowo. Tak, odpowiadała mama, tak, to prawda, tylko ta jej porywczosć... Znowu usłyszałam: „Będzie jej z tym bardzo ciężko w życiu”.

Strach pomyśleć, że dopiero „będzie ciężko”. Mówi się zawsze, że dzieciństwo i młodość to są najpiękniejsze okresy w życiu. Ja jestem teraz pomiędzy dzieciństwem a młodością, może raczej na początku młodości. I co? Ma być jeszcze gorzej? Winszuję...

Teraz już palę w tych piecach. Na szczęście węglem, którego trochę

udało się kupić od kolejarzy, nie miałem. Dotąd zawsze byłam strasznie zła, kiedy rano budziło mnie głośnie, uporczywe kucie pogrzebaczem w żelazne wnętrzości pieca. Nie wiedziałam, jak mi było dobrze! Muszę teraz wstawać o godzinę wcześniej i też zaczynam od tego, że walę w ruszty zalane na głucho skrzeptym kamieniem. Podobno przed wojną nigdy nie było kamienia w węglu. Teraz jest i trzeba go usunąć, bo zatyka cały ciąg, czyli cug. Później wygarniam popiół, który pachnie zgniłymi jajkami, a wiatr wydmuchuje przez ten czas szarą chmurę na mnie i na pokój. Wreszcie rozpalam, zużywając dwa razy tyle drzewa i lofixu co Jadzia i jeszcze modłę się, żeby mi nie zgaśło.

Przeklinania i wyzywanki

Z rozmowy z panią Wysocką:

– O tak, Ewa i jej matka były zupełnie różne. Paulina bardziej spokojna, bardziej powściągliwa. A nawet chłodna, przynajmniej takie wrażenie odnosiło się przy pierwszym zetknięciu. U Ewy każda emocja natychmiast była na wierzchu i przejawiała się śmiechem, krzykiem, łzami. Paulina nie złościła się nigdy, jeśli podnosiła głos, to jakby wbrew sobie i swoim umiejętnościom, nawet zakląć porządnie nie umiała. Oni mieli takie rodzinne powiedzonko: Cholera Iwanowa – podobno jeszcze babka Pauliny klęła w ten sposób. Paula, jeśli skaleczyła się w palec albo coś jej się stłukło, mówiła: „O, Cholera Iwanowa”. były to jej szczyty wulgarności. Ewa klęła jak szewc. Cholery, psiekrwie i wszystkie możliwe diabły fruwały w powietrzu przy każdej okazji, używała też jakiegoś niemożliwego slangu, różnych tych – fajno, klawo, byczo. Powiedziała kiedyś do mnie: „Czy ciocia z byka spadła?” i powiedziała to nie w złości, a tonem zwykłej, codziennej konwersacji. Paulina nie mogła tego ścierpieć, uważała, że to jej wina, że nie potrafiła Ewy wychować.

Nie wiem, czy pani się orientuje, że po wojnie mieszkałam z Pauliną przez wiele lat, aż do jej śmierci. Znałam ją lepiej niż osoby z bliskiej rodziny. Na wszystkie ciosy reagowała tak samo jak wtedy, w czterdziestym trzecim, kiedy dowiedziała się o śmierci męża: przestawała mówić, jeść, żyć. Łzy przychodziły u niej dopiero później, dużo później.

Ewa ciągle płakała albo krzyczała. A najczęściej najpierw krzyczała i dopiero, kiedy to nie odnosiło skutku, zaczynała beczeć z bezsilnej złości. Czasem zupełnie nie można było zrozumieć, co ją tak rozżaliło czy uraziło. Paulina twierdziła, że ja mam z nią lepszy kontakt niż ona sama i chyba tak było w tym czasie naprawdę, ale mnie też często opa-

dały ręce. Dopiero co była taka ciepła, taka kochana, ścisaliśmy się i całowaliśmy, a za chwilę rzucała się na człowieka z pazurami. To wszystko było dla niej na pewno bardzo trudne, proszę pomyśleć: okres dojrzewania przypadający na te właśnie lata i właśnie w Warszawie, ale przecież nie była wyjątkiem i większość dziewczynek w jej wieku na pewno zachowywała się inaczej. Sama miałam dwie siostrzenice niewiele od niej starsze, poważne, spokojne dziewczęta, zajęte szkołą i tajnym harcerstwem. A tu takie jakieś szalone i równocześnie biedne stworzenie, że litość brała patrzeć. Mój syn powiedział kiedyś, że wszyscy nie znamy Ewy i że moje oceny są powierzchowne. I jeszcze coś takiego: że ona niesie większy ciężar, niż może udźwignąć. Proszę pani, wszyscy nieśliśmy ciężary ponad siły, inne dzieci też! Dziś by się o niej powiedziało „nie przystosowana”. Wtedy nie znaliśmy tego określenia. Więc chociaż bardzo ją pokochałam przez ten rok wspólnego mieszkania, byłoby nieprawdą, gdybym twierdziła, że to było łatwe i zrównoważone dziecko.

Zastanawiam się, czy i ja niosłam wtedy ciężar ponad siły? Chyba nie. Miałam swoje sposoby, aby brać na plecy zawsze troszkę mniej, niż mogłam udźwignąć. Bierność jest na ogół znakomitą osłoną przed nadmiernymi ciężarami, a przy tym pozwala najczęściej zachować zimną krew. Jedyną emocją, przed którą ta właściwość mojej natury nie mogła mnie uchronić, był lęk. Ale nie był to ten strach, który tłumaczyłby się okupacyjnym dzieciństwem i którego podłożem byłyby okropności wojny. Z nimi, o dziwo, dawałam sobie radę zupełnie dobrze, nie znałam niemal nagłych przerażeń z powodu nalotu, łapanki, strzelaniny. Po prostu nie dopuszczałam do siebie świadomości tego wszystkiego, co mogłoby się ze mną zdarzyć, a co zdarzało się innym wciąż, w każdej godzinie. Byłam bezbronna jedynie wobec kontaktów z ludźmi. Na samą myśl o konieczności rozmowy z kimś obcym potniałam i dostawałam skurczu gardła i jeśli tylko mogłam, wybierałam zakłętą milczenie. W tej sytuacji nieczęsto zdarzało mi się popadać w kolizję z ludźmi, a tym bardziej uczestniczyć w awanturze. Nie pamiętam też, żebym w dzieciństwie kiedykolwiek klęła, nawet najbardziej niewinnie. Bogiem a prawdą i dziś nie znoszę tego rozluźnienia, jakie cechuje język ludzi nawet skądinąd kulturalnych i dobrze wychowanych. Drażni mnie to i razi. W zasadzie mogę twierdzić, że w językowej rozwiązłości nie wychodzę poza cholereę, choć czasem niestety zdarza się... Nie tak dawno temu siedziałam w autobusie przed dwoma chło-

pakami, tak na oko czternasto-, piętnastoletnimi, którzy coś sobie z przejściem opowiadali. Słyszałam ich dobrze, ale rozumiałam niewiele, większość bowiem rzeczowników i przymiotników zastępowało w tej rozmowie słowo na „k”. W tamtych odległych czasach słowo to rezerwowane było wyłącznie dla tych, którzy wypisywali je na płotach, oraz dla furmanów, którzy zachęcali nim zmordowane stromizną ulicy konie. Dzieci klęły inaczej i jeśli dobrze pamiętam, obok „choler” i „diabłów” największą karierę robiły różne zwierzęta.

Naturalnie nieprzyzwoitości były też. Należała do nich przede wszystkim rozległa sfera wzajemnego uświadamiania się (w moim przypadku dzieło Hanki, na którą później już zupełnie nie można było pa-trzeć), a także trochę twórczości poetyckiej, ze słynnym wierszem o Stefanie Batorym na czele. W szkole, w ramach nauki niemieckiego, koniugowałyśmy chichocząc „Ich Pawłowska, du Pawłowska” oraz, w analogiczny sposób, słowo „papryka”. I to już, jako żywo, wszystko, co jestem sobie w stanie przypomnieć z tej dziedziny.

Ze szkoły także przyniosłam zawiłą kłątwę-zakłęcie, którą przez jakiś czas powtarzałam nabożnym szeptem: „Żeby pies twoją babkę motocyklem po suficie woził, ty wymieciona szczoteczką od zębów z kanalizacji”. Zakłęcie to stoi chyba gdzieś na pograniczu inwektywy i wyzywanki. Wyzywanki były podówczas ogromnie modne, w naszym domu specjalizował się w nich Staś Dąbek. Wciąż słyszało się jego przenikliwy głosik, wykrzykujący:

„Jurek, ogórek, kielbasa i sznurek!”, „Wojtek – bez portek!”, „Ewa – spadła z drzewa!” czy też

*Jedna deska, dwie deski,
Nie słuchajcie Tereski,
Bo Tereska zła baba,
Patrzy na nas jak żaba!*

Gdy nie było w obiegu odpowiedniej poezji, Staś błyskał własnymi utworami i wrzeszczał:

*Rysiek, Krysiek, dwa cymbały,
Jeden duży, drugi mały!*

– co stanowiło oczywisty plagiat z „Michałów”, w dodatku mało trafny, bo obaj chłopcy byli jednakowego, raczej niewielkiego wzrostu. Dość rzadko zdarzało się, aby ktoś nabił Stasia za te popisy tak, jak na

to zasługiwał, czy to dlatego, że był mały i miał śmieszny, rozbijający mordkę, czy też raczej z powodu jego przeraźliwego głosu, przypominającego syrenę strażacką. Staś włączał ją natychmiast w stanie zagrożenia, a to powodowało nieuchronne pojawienie się na horyzoncie samej pani Dąbkowej. Zaś z panią Dąbkową nikt nie chciał mieć na pieńku.

O ile Staś był z tych czy innych względów pod ochroną, to pozostali chłopcy bijali się często i nie tylko dla sportu, jak to poprzednio opisywała Ewa. Czasem były to walki zażarte i nawet krwawe. Wydaje mi się, że z całej naszej gromady tylko oba Bliźniaki nie gustowały w tej rozrywce. Krzysztof – ponieważ był z natury łagodny, Zbyszek – ponieważ był na to naprawdę za mądry. Nie wiem, dlaczego Ewa go nie lubiła. Przypuszczam, że miała wobec niego autentyczny kompleks niższości, zwłaszcza że był od niej nie tylko mądrzejszy, ale i młodszy. Ja natomiast, młodsza z kolei od Bliźniaków, ceniłam sobie w równym stopniu pogodną serdeczność Młodszego, jak i poważną stateczność Starszego, a jego wstrząsającą wyższość intelektualną kładłam beztrąsko na karb różnicy wieku. Wiem też, że ze wzruszeniem ramion wysłuchiwałam wszyscy Stasiowej wyzywanki „Zbyszek – opryszek!”, ponieważ epitet ten w najmniejszym stopniu nie znajdował pokrycia w charakterze chłopca tak zupełnie innego od nas wszystkich.

Pamiętnik Ewy

O PRZEDWIOŚNIU, WIOŚNIE I DORASTANIU

18 II 1944

W naszej szkole była dziś wizytacja. To miało być naturalnie zupełne zaskoczenie, ale na szczęście ktoś ostrzegł na czas Przełożoną i już poprzedniego dnia wiedziałyśmy, co i jak. Buda zmieniła się nagle w prawdziwą szkołę krawiecką: żadnych książek ani zeszytów do innych przedmiotów, wszędzie porozkładane formy i materiały, malowniczo rozrzucone metry, nici, pudełka guzików, haftek, zatrząsek. Furkot maszyn ogłuszał już na schodach. No i tylko cztery lekcje! Tyle godzin przewidywał na dziś plan zajęć klasy krawieckiej!

Do nas te typy zwały się na „wykańczanie”, czyli na wszelkie obrębiania, obrzucania i dziergania dziurek. Było czworo obcych, w tym dwóch szkopów. Chodziła też z nimi Przełożona i pani Chudy, nauczycielka niemieckiego. Łazili między stolikami, przyglądali się naszym tworom (nieszczęsnym bluzkom koszulowym), a pani Chudy objaśniała. Jeden z nich zażądał, aby któraś z uczennic opowiedziała, czego uczymy się w szkole. Pani Chudy niby to chwilę się zastanawiała i wskazała na mnie. Wstałam i trochę dukając, żeby było bardziej naturalnie, wyliczyłam obowiązujące przedmioty. Szwabsko zapytało jeszcze, co mam zamiar robić, jak już ukończę szkołę, opowiedziałam więc bajeczkę o tym, jak to będę, dzięki nabytym umiejętnościom, ubierać społeczeństwo. Wtedy jednak zainteresował się, skąd znam niemiecki. Zupełnie beczelnie oświadczyłam:

– Z nauki w szkole.

Jak to, zdziwił się, nie miałam nawet żadnych dodatkowych lekcji domowych, keinen Hausunterricht?

– Keinen – upierałam się.

Pani Chudy przyszła mi z pomocą tłumacząc, że jestem wyjątkowo uzdolniona do języków. Więc się odczepił. A już się bałam, żeby nie spytał o moje nazwisko, to okropne niemieckie nazwisko, i żeby się nie zaczęło dochodzenie, dlaczego nie jestem volksdeutschką!

Wywołał jeszcze dwie dziewczyny i jedną z nich była Anka, dla której język niemiecki jest piętą achillesową, ponieważ od lat uczy się angielskiego i po niemiecku mówi zupełnie z angielska, koszmarne! Irena, która z nią siedzi i która „włada” szwabskim zupełnie nieźle, podniosła się z krzesła i zabrała głos z takim spokojem, jakby to na nią wskazał, nie na Ankę. Później się wynieśli. A po jakimś czasie wpadła do nas na moment pani Chudy specjalnie po to, aby pogratulować nam zachowania „zgodnego z interesami szkoły i dalszej nauki”. Powiedziała też, że niestety nie wszystkie klasy rozumieją sytuację równie dobrze jak nasza. Zwłaszcza w jednej uczennice uważały za stosowne udawać, jak się wyraziła, „dziewicę-bohater, Emilię Plater”, zrobiły fatalne wrażenie i nie wiadomo, czy nie będzie jakichś kłopotów. Pani Małgosia, nasza woźna, powiedziała nam na pauzie, że to te pannice z klasy maturalnej tak się stawiały, a pani Małgosia wie wszystko, co się dzieje w szkole.

A nasza klasa jest rzeczywiście raczej dość fajna, chociaż po tym podziale odeszło moc sympatycznych dziewcząt, a przybyła masa nowych, których się jeszcze dobrze nie zna. Większość jest chyba miła. Dawniej byliśmy tak zżyte, że nie tylko nie było mowy, aby ktoś kogoś sypnął, lecz także i w czasie każdej większej chryi cała klasa stawała murem i wszystkie były jednakowo winne. Dwa lata temu trzeba nas było nawet zawiesić na tydzień w prawach uczennic i to było dla szkoły bardzo niewygodne, bo co innego, jak za karę nie przychodzi pięć dziewcząt, a co innego, jak cała trzydziestka ma tydzień wakacji. Więc zmniejszono nam wyrok i na ostatnie dwa dni musiałyśmy już iść do szkoły. To było po pomidorowej bitwie. We wrześniu wszystkie przynosimy na drugie śniadania mnóstwo pomidorów. Tamtego dnia na dużej pauzie podeszła do mnie Krysia Chrobotek i pokazała mi coś dziwnego: otwarte do połowy pudełko od zapalek, w którym tkwił małeńki pomidorek. Nachyliłam się, żeby lepiej zobaczyć, o co tu chodzi, a wtedy Krysia zasunęła raptownie pokrywkę i wszystko to, co normalnie jest wewnątrz pomidora, znalazło się na mojej twarzy. Dałam po łbie Krystynie i paru dziewczynom, które razem z nią pękały ze mnie ze śmiechu, wytarłam twarz i popędziłam do ławki spreparować moje dwa pomidory. Były dużo większe, więc mogłam im tylko zrobić nożyczkami niewielkie dziurki. Poszłam z nimi do Wiśki i Aldony, każdej z nich podetkałam pod nos po jednym ze słowami: „Zobaczcie, jakie

dziwne”, a kiedy się nachyliły, ścisnęłam pomidory w garści. Skutek był taki sam jak z pudełkiem od zapalek. Aldona narobiła krzyku, a Wiśka bez namysłu sięgnęła do teczki, wyciągnęła pomidora wielkości buraka, cisnęła we mnie i trafiła w Grażynę. Grażyna nie miała własnych pomidorów, więc wyrwała nadgrzyzonego Lilce i ten pomidor przykleił się wprawdzie tylko do ściany za Wiśką, ale przy okazji kogoś pochłapał. Od tego momentu już nie można niczego opisać po kolei, bo wszystko działo się naraz. Pomidory śmigały po klasie, my wyglądałyśmy jak po wysypce i ociekałyśmy sokiem, a po podłodze można się było ślizgać. Nagle jeden pocisk wyfrunął przez okno i wszystkie rzuciłyśmy się patrzeć, gdzie wylądował. Nawet nie wiem, czy go dojrzałyśmy, bo właśnie któraś krzyknęła:

– Dziewczynki, w słup od ogłoszeń! – i natychmiast zaczęłyśmy bombardować z drugiego piętra daszek słupa. Wcale niełatwo było trafić, więc koło słupa zrobiła się pomidorowa obwódka i na dole podniósł się podobno krzyk przechodniów, ale myśmy go nie słyszały, bo same wrzeszczałyśmy sto razy głośniej. Ciągłe biegałyśmy po klasie zbierając niezupełnie jeszcze rozgniecione pomidory, ponieważ całych dawno już zabrakło, i dalej waliłyśmy, licząc chórem trafienia. W pewnym momencie weszła pani Przełożona i wszystko się skończyło. Podobno ktoś, kto oberwał w kapelusz, przyleciał do niej z okropną awanturą. Zostałyśmy zawieszona, a Wiercińska z Malinowską ułożyły na ten temat wiersz:

*Lecą pomidory z góry,
Robią w kapeluszach dziury.
Wielka chryja w całej szkole
I na górze, i na dole...*

Coś tam było jeszcze...

20 II 1944

W domu szpital: wszyscy dorośli leżą z paskudną grypą i gorączką w okolicach trzydziestu dziewięciu stopni. Zakatarzony Marek poszedł dziś jeszcze do pracy, chociaż go ostrzegałam, że wygląda na chorego. Wrócił w południe, powiedział „wyklakałaś” i położył się do łóżka. Tylko ja się trzymam, nawet nie kicham. Swoją drogą to coś nadzwyczajnego, jaka ja jestem zdrowa w tym roku. Ciocia przypuszcza, że

już wyrastam z bronchitów. To śmieszne, że można wyrosnąć z choroby jak z sukienki!

To „wykłakałaś” wzięło się z opowieści o ciotecznym czy stryjecznym dziadku, który przez całe życie robił różne głupstwa, a przede wszystkim grał w karty i na wyścigach. Jego żona zawsze go ostrzegała, że to się źle skończy. On jej nigdy nie słuchał, miał za to zawsze wielkie pretensje, kiedy jej przewidywania się spełniały. Twierdził, że żona tak długo kracze, aż wykracze. Kiedy po raz ostatni grał w pokera i przegrał cały majątek, to padając pod stół rażony apopleksją zdołał jeszcze zawołać: „wykrakałaś”! A ponieważ nie wymawiał „r”, więc brzmiało to jak: „wykłakałaś”.

Od wczoraj nie chodzę do szkoły, bo ktoś musi się zajmować chorymi. W pierwszej chwili byłam z tego powodu zachwycona, ale zaraz okazało się, że tu jest pięć razy więcej roboty niż w szkole. W dodatku źle mi idzie gotowanie! Mleko uciekło, krupnik przypaliłam, kotlety były w środku surowe. W kuchni zimno jak w grobie, bo nie rozpałam pod blachą, tylko gotuję na maszynie. Nogi mi tak zlodowaciały, że chociaż teraz piszę w łóżku, za nic nie mogę ich rozgrzać.

24 II 1944

Dzisiaj nie miałam dużo roboty. Moi chorzy są bez apetytu, doktor Kulesza mówi, żeby ich nie zmuszać do jedzenia, tylko dużo pić. Ugotowałam wielki gar kisielu z żurawin, takiego rzadziutkiego, który jest jednocześnie jedzeniem i piciem. To im bardzo smakuje. Sama zjadłam jajecnicę, bo dziś była kobieta, która zaopatruje nas w nabiał. Na kolejce wilanowskiej była obława na handlarki, działy się tam dziwne rzeczy, ale jej udało się wyskoczyć, zanim jeszcze pociąg stanął, i uratować towar. Tylko sporo jaj się pobiło. Takie nadtluczone sprzedawała po tańszej cenie, więc w sumie kupiłam aż dwadzieścia.

Rano miałam straszne kłopoty z piecami. Dziś jest nie tylko wielki mróz, ale i wiatr, a wtedy źle się pali. Kominy w naszym domu mają podobno jakiś feler i przy każdej wichurze cały dym wali wprost do mieszkania. Zrobiła się taka wędzarnia, że w końcu musiałam wszystkich chorych zapakować do jednego pokoju, ciepło poowijać na kanapie i fotelach, a w pozostałych pokojach szeroko otworzyć okna. Dopiero wtedy te piekielne piece jako tako złapały ciąg. A w mieszkaniu przez pół dnia była psiarnia.

Najgorsze, że w skrzyni z węglem widać dno i będę musiała sama przydzwigać parę wiader. A dziś przypadkiem przekonałam się, jak to przyjemnie, bo kiedy zeszłam do piwnicy po kartofle, zastałam tam pewną starszą panią, naszą sąsiadkę z góry, która niosła dwa wiadra mialu. Więc dałam jej moje kartofle, a sama wzięłam węgiel. Zanim zatargałam je na trzecie piętro, myślałam, że mi krzyż pęknie! Ta pani zaprosiła mnie na chwilę do siebie i poczęstowała landrynkami. W jej pokoju jest tak zimno, że na ścianie, tej od okna, skrzy się mróz. Nigdy czegoś takiego nie widziałam, u nas też jest lodownia, ale szronu na ścianach nie ma. Pokoik jest maleńki, bez pieca, oddzielony od kuchni niepełną ścianą i powinien być ogrzewany ciepłem płynącym z rozgrzanego pieca kuchennego. Ale właściciele mieszkania wymagają, aby gotowanie odbywało się wyłącznie na gazie, bo węgla musi wystarczyć do opalenia ich pokoi. Co za świntuchy!

Nad łóżkiem tej pani wiszą fotografie dwóch panów, starszego i młodszego, i ja naturalnie musiałam spytać, co to za jedni. Potem mi było bardzo przykro, bo okazało się, że to jej mąż i syn, obaj zamordowani w Bydgoszczy w trzydziestym dziewiątym roku, w Krwawą Niedzielę. Mąż był notariuszem (nie wiem, co to za zawód), a syn adwokatem. Ta pani uciekła z Bydgoszczy, uciekła od wspomnień, jak powiedziała, chociaż tam została cała jej dalsza rodzina. Zamieszkała w Warszawie z przyjaciółką i jakiś czas „razem klepały biedę”. Przyjaciółka zmarła przed rokiem i wtedy ona przeniosła się tu, do tych wstrętnych ludzi. Gotuje im, sprząta, pali w piecach. Kiedy powiedziałam:

– Ale to jest za ciężka praca dla pani – bo ona jest nie tylko dość już stara, ale i bardzo chudziutka, to tylko się uśmiechnęła:

– Dziecko, nie ma dla mnie za ciężkiej pracy.

Ona nie chce myśleć o tym, co się stało w Bydgoszczy. Biedna.

27 II 1944

Był pan Borkowski! Siedział dłuższy czas u mamy, ale wpadł też na chwilę do mojego pokoju, strasznie był miły, mówił, że przez te parę miesięcy ogromnie się zmieniłam i że moje oczy mają jakiś inny wyraz. Ale nie powiedział, jaki. To śmieszne i może nieprzyzwoite, ale poczułam się tak, jakbym była więcej warta. Och, bzdury! W każdym razie okropnie lubię pana Borkowskiego.

Ciocia Zosia wstała i zajęła się gospodarstwem, więc dziś już byłam w szkole. To nie do wiary, jak ja mało przez ten tydzień zrobiłam i ile mam zaległości! A przecież, z wyjątkiem dwóch ostatnich dni, kiedy trzeba było gotować porządne, normalne obiady, miałam sporo wolnego czasu i mogłam się uczyć. Zamiast tego czytałam w kółko Tuwima i Staffa, połowę wierszy mam teraz w głowie, ale jeśli chodzi o daty, wzory i formułki, to nadal panuje w niej próżnia absolutna. Taka idiotyczna pamięć, do której przylepia się tylko to, co ma rym albo melodię... I prawie bezużyteczna. Przydaje się tylko przy różnych uroczystościach w szkole, na których deklamuję odpowiednie do okoliczności wiersze. Albo kiedy mama, tak jak teraz, jest chora, to czasem poprosi, żeby jej powiedzieć coś ładnego.

Martwię się o mamę. Gorączka, chociaż już nie taka wysoka, utrzymuje się nadal i doktor Kulesza ostrzega, że przy jej stanie serca nie wolno tego lekceważyć. Ona sama okropnie się denerwuje, że leży, że nie zarabia, że pieniądze się kończą. W dodatku ten współnik od dulcyny telefonuje ostatnio po dwa razy dziennie i ma, zdaje się, pretensję, że mama ośmiela się chorować. Biedny mój Mamulin kochany!

28 II 1944

Po prostu nie wiem, czy potrafię opisać to, co mnie dziś spotkało. Jest mi źle, wstrętnie, ohydnie! A przyczyną wszystkiego jest pan Borkowski, właśnie ten wspaniały pan Borkowski!

Przyszedł po południu, w przedpokoju pogłaskał mnie „pod włos”, zaśmiał się, że w takim uczesaniu też mi do twarzy, i poszedł do mamy. Kiedy już załatwili swoje sprawy, zajrzał jeszcze do mojego pokoju, zapytał po swojemu: „Jak życie płynie?”, a ja coś tam odpowiedziałam. Wtedy rzekł:

– Co za oczyska, zwariować można!

Objął mnie i pocałował w oko, ja odcmoknęłam, tak jakoś w okolicę jego ucha i było mi, skończonej kretynce, ogromnie wesoło! W tym momencie wyłączono w naszej dzielnicy światło, co tu, ze względu na Niemców, zdarza się bardzo rzadko, więc nawet zaczęliśmy nasłuchiwać, czy nie rozlegną się zaraz syreny ogłaszające alarm. Ale nie, była cisza. Mama zawołała, żebym poświeciła panu Borkowskiemu w przedpokoju i na schodach. Przyniosłam elektryczną latarkę, on się ubrał i wyszliśmy. Schodziliśmy po schodach jakoś bardzo wolno, pan

Borkowski trzymał mnie pod rękę, mówił, że muszę go koniecznie kiedyś odwiedzić, przecież jesteście przyjaciółmi, a przyjaciel przyjaciela odwiedza. Byliśmy już na dole, przy drzwiach, kiedy wyjął mi latarkę z ręki, oświetlił moją twarz i spytał jakimś bardzo dziwnym tonem:

– Czy już ci ktoś mówił, jaka jesteś ładna?

Powiedziałam, że nie, nikt mi tego nie mówił i wiem, że jestem brzydka. Wtedy roześmiał się:

– To popatrz w lustro. Przyjrzyj się tym jasnym oczom i czarnym włosom, przyjrzyj się ustom...

Położył latarkę na skrzynce do listów i nagle objął mnie jedną ręką w pól, a drugą przytrzymał moją głowę tak, że czułam palce na czaszce pomiędzy włosami. Jego twarz znalazła się strasznie blisko mojej i wtedy odepchnęłam go z całej siły. Poleciał do tyłu prosto na drzwi. Kiedy się o nie oparł całym ciężarem, otworzyły się cicho i wyglądało to tak, jakby połknęła go ciemność. Drzwi zamknęły się powoli, było zupełnie cicho, tylko słychać było, jak w jakimś mieszkaniu dzwoni telefon i jak mi wali serce. Nagle złękłam się, że może mu się coś stało, że może zrobiłam mu krzywdę. Otworzyłam drzwi i wyjrzałam. Było ciemno, ale od śniegu szło trochę blasku i zobaczyłam sylwetkę pana Borkowskiego o kilkanaście już kroków ode mnie, jak idzie przez trawnik w kierunku jezdni. Wtedy coś się takiego ze mną zrobiło, że chciałam go przeprosić. W każdym razie w tamtym momencie było mi strasznie wstyd, że taka dziewczyna jak ja popycha i wyrzuca za drzwi dorosłego człowieka. Teraz, kiedy to opisuję, nie czuję już żadnego wstydu. Jeżeli, to za niego! Dobrze, że on się obejrzał (albo mi się tylko zdawało w tych ciemnościach), bo wtedy złękłam się i uciekłam z powrotem. A kiedy szłam po schodach na górę, to już beczałam ze złości i upokorzenia.

Pan Borkowski jest wstrętny, a ja – głupia jak but i w dodatku egzaltowana! W czasach kiedy on u nas mieszkał, bardzo często wyobrażałam sobie przed zaśnięciem, jak to w przyszłości, kiedy już będzie normalne życie i więcej czasu, będziemy dużo rozmawiać na różne tematy i on zostanie takim moim mądrym wujaszkiem czy czymś w tym rodzaju. Ładny wujaszek! Właśnie dlatego tak długo i tak kretyńsko byłam dziś uradowana, że jest dla mnie miły i mówi mi same przyjemne rzeczy. Dostałaś po nosie, Ewelino? Dobrze ci tak, masz nauczkę na przyszłość!

A swoją drogą cholernie ciężko jest być dziewczyną. Ciągłe się trze-

ba czegoś wstydzić, ciągle wydarza się coś, o czym za żadne skarby nikomu by się nie powiedziało. Dawniej tak się męczyłam z Mańkiem i Zdziśkiem, na szczęście na jesieni wyprowadzili się z tej dzielnicy. To były wstrętne łobuzy, obaj trochę starsi ode mnie, bracia czy kuzyni. Często przychodzili na budowlę, ale nigdy nie bawili się z nami, tylko zawsze wszystko psuli. Na przykład w czasie walki na kasztany przyłączyli się do którejś partii i walili w przeciwników kamieniami lub kawałkami cegły. Albo przy zaklepywanym berku stawali z obu stron słupa, w który trzeba było uderzyć ręką, i podstawiali nam nogi. Mówili najgorsze wyrazy, a niektórzy chłopcy z naszego domu natychmiast zaczynali ich naśladować. Ze mną robili co innego. Ile razy spotkali mnie na ulicy samą albo z inną dziewczyną, szli z tyłu i powtarzali w kółko taki jeden okropny wierszyk, od którego robiło mi się zupełnie niedobrze i którego później w żaden sposób nie mogłam zapomnieć. I nie było na to żadnej rady. Dlaczego ja się tak trzęsę? Przecież nic się nie stało.

1 III 1944

Ta Beredke to jest coś tak obrzydliwego, że aż się niedobrze robi! Przed chwilą przylazła do telefonu i musieliśmy wysłuchać całej serii rozmów z różnymi kobietami, chyba Polkami, w każdym razie rozmowy odbywały się po polsku. Już z tego, co do nich mówiła, zorientowaliśmy się mniej więcej, o co chodzi, ale jej najwyraźniej zależało na tym, aby nikt z nas nie miał żadnych wątpliwości, bo wszystko nam dokładnie opowiedziała... My siedzieliśmy w tym czasie przy stole, a ona stała oparta o ścianę koło telefonu (nikt naturalnie nie zaproponował jej, by usiadła), wystawiała przed siebie te swoje nożyska długie aż do nieba, wyglądała jak wróżka z bajki i spokojniuteńko, równym głosem mówiła, co i jak. A więc dziś rano aresztowano jej męża, dezertera (podobno teraz, po tych mrozach i klęskach, coraz więcej niemiaszków nawiewa z frontu wschodniego i próbuje się ukrywać u rodzin. Marek widział parę dni temu jakiegoś faceta, który wnosił do mieszkania Beredke kubły z węglem) i ona obawia się, że będzie teraz miała nie tylko przykrości, ale i wydatki. A na wydatki jej nie stać. Dlatego musiała obdzwonić wszystkie panie, z którymi jej mąż utrzymywał bliższe stosunki, i prosić je, żeby stronę finansową wzięły na siebie.

Ona musi przede wszystkim myśleć o dzieciach. Ma zresztą nadzieję, że żadna z tych kobiet nie będzie się uchylać od płacenia.

Nam też się zdaje, że nie będzie! Beredke rozmawiała z nimi o paczkach, które trzeba wysyłać do więzienia, ale robiła to w sposób, z którego jasno wynikało, że to ona sama będzie dbała o te paczki, tamte zaś kobiety mają jej tylko dostarczać pieniądze. Do jednej z nich powiedziała: „Jeżeli pani ma jakieś zastrzeżenia, to ja chętnie porozmawiam na ten temat z pani mężem”. Do drugiej to już po prostu krzyczała: „Rzucaliście się mu na szyję, zniszczyliście mi dom, a teraz ja mam cierpieć?!” i groziła, że zawiadomi o wszystkim, „kogo należy”. Więc te kobiety na pewno będą płacić. Dobrze im tak, wstrętnym babom. Wcale mi ich nie żal, ale Beredke swoją drogą jest skończoną świnią. Po jej wyjściu pan Wysocki powiedział, że najprawdopodobniej sprawa przedstawia się tak: z chwilą aresztowania męża ona przestanie dostawać jego pensję i postanowiła to sobie odbić na mężowskich kochankach. Paczki są tu tylko pretekstem, ponieważ takiego dezertera pewnie szybko rozwalą, nim zdąży zjeść zawartość pierwszej z nich. Mówiliśmy też o tym, że nikt z nas nie dałby złamanego grosza za to, czy to nie sama Beredke zakapowała szanownego mężusia i tylko dlatego nie wylądowała w mamrze razem z nim. Jakie to wszystko jest wstrętne!

3 III 1944

Mama czuje się lepiej, ale jeszcze nie wychodzi na dwór. Pan Borkowski był i wczoraj, i dzisiaj. Wcale nie myślałam, że oni muszą się tak często widywać. W pewnej chwili chciałam mamie wszystko opowiedzieć, po prostu naskarżyć na niego. Myślałam sobie: „Dowiedz się, jaki jest naprawdę ten miły pan Borkowski, o którym mówisz zawsze z taką sympatią! Dowiedz się, jak się zachował wobec twojej córki”. Ale oczywiście nie umiałam tego zrobić i chyba dobrze się stało. Mama zdenerwowałaby się tylko zupełnie niepotrzebnie, a nic nie mogłaby poradzić. Przecież widuje się z nim nie dla przyjemności, tylko w jakichś ważnych sprawach, których nie mogę utrudniać.

Wygadałam się za to przed ciocią. Wczoraj, jak on wszedł do mieszkania, to uciekłam do kuchni i powiedziałam, że chcę być z ciocią tak długo, jak długo on będzie w domu. Ciocia zaczęła mnie wypytywać, co się stało, a ja wszystko jej opowiedziałam. Toteż kiedy mama zawo-

łała z pokoju: – Ewuniu, podaj nam herbatę! – ciocia kazała mi zostać i sama zaniósła im filiżanki. A znów dziś, ledwie on się zjawił, zapukał do mojego pokoju Marek. Stwierdził, że w ogóle nie wie, co się u mnie dzieje, i że przyszedł po ostatnie wiadomości z placu boju, czyli ze szkoły. Prawie w tym samym momencie wszedł też pan B. Porozmawiał chwilę z Markiem, a mnie traktował tak, jakbym była powietrzem. Takie to było zabawne, że po jego wyjściu wpadłam w małpi humor, zaśmiewałam się z byle czego i plotłam same bzdury. Opowiedziałam Markowi o naszym szkolnym harcerstwie, o tym, jak żeśmy się tam dostały i jak się wydostały. Śmiał się bardzo. Pytał jeszcze, jaki jest „kierunek wychowawczy” w tym harcerstwie, w którym teraz jestem. Mnie się zdaje, że nie ma żadnego, w każdym razie nie umiałam mu na to odpowiedzieć.

– Lepszy żaden niż zły – zawyrokował.

Pytał też, po co chodziłam do piwnicy, on dopiero wczoraj nosił pełną skrzynkę węgla, a dziś widział, że sunęłam do łazienki umorusana jak kominiarz. Więc mu opowiedziałam także o tej pani z góry. Zdaje się, że ja nie mogę mieć żadnych tajemnic, wszystko wygadam.

4 III 1944

Znów będzie noc bez Marka. Obrzydliwe są takie wieczory, kiedy jego nie ma, nie wiadomo, co się z nim dzieje, wiadomo tylko, że coś się dzieje na pewno. Jemy kolację w czwórkę, rozmawiamy o niczym, tylko o nim nie mówi się ani słowa. Wszyscy są bardzo spokojni, biedny Mamulinek próbuje nawet żartować, żeby rozweselić ciocię, a wiadać, że wszystkim jest okropnie. A ja niedługo pójdę spać. Zawsze tak robię, kiedy jestem taka niespokojna, że już nie mogę wytrzymać. Zaczynam sobie wtedy tłumaczyć, że muszę być wyspana, że jutro w szkole będę nieprzytomna, że nic złego się nie stanie. I kładę się wcześniej niż normalnie, zasypiam w ciepłym łóżku, podczas gdy on tam... Nawet sobie nie umiem wyobrazić, co oni robią w taką wilgotną, wstrętną noc. I jak tylko o tym myślę, zaraz się robię strasznie śpiąca.

5 III 1944

No i mało brakowało do najgorszego nieszczęścia.

Po powrocie ze szkoły najpierw zajrzałam do cioci, czy już jest Ma-

rek. Ale jeszcze go nie było i ciocia powiedziała, że to trochę za wcześnie, najprędzej powinien być za pół godziny, bo mówił „koło czwartej”. Więc zaczęłam czekać i bardzo mi się czas dłużał. Usłyszałam, że jakiś zapijaczony głos wyśpiewuje na ulicy: „Góralu, czy ci nie żal”, wyrzałam bezmyślnie przez okno i oniemiałam: zataczając się i obejmując w pół wędrowali Adzik i Marek. Adzik wydierał się na całe gardło, a Marek milczał, ale nogi płątały mu się przy każdym kroku. Właśnie dobijali do bramy i pchali się na górę, kiedy wyskoczyłam z mieszkania. Dopadłam ich trochę powyżej parteru, na mój widok Adzik wrzasnął ochoczo:

– Zarobiliśmy i popiliśmy!

Marek uśmiechnął się głupawo i zabełkotał:

– A właś-nie, zzarobi-liśmy...

Raz po raz uchylały się jakieś drzwi i błyskało czyjeś oko. W naszym domu takie rzeczy nigdy się nie zdarzają, więc sąsiedzi mieli sensację. W dodatku Adzik ryknął jeszcze po drodze ze dwa razy o „tych potokach srebrzystych”. Wszystkie te wrzaski wywabily wreszcie i ciocię przed drzwi mieszkania. Na ich widok jęknęła tylko:

– Jezus, Maria, chłopcy, co to znaczy?!

A oni wtarabanili się w zabłoconych buciorach wprost do pokoju. Adzik jeszcze raz krzyknął w stronę schodów: „Wracaj do hal!”, zamknął drzwi i powiedział zupełnie normalnym głosem:

– Mieliśmy mały wypadek, ale proszę się nie przerażać, nic groźnego. Niemniej Markowi potrzebny jest lekarz. Czy mają państwo kogoś zaufanego?

Ciocia zbladła jak ściana i bez słowa rzuciła się rozbierać Marka. Wtedy okazało się, że cały bok jego kurtki jest poszarpany i zakrwawiony, a pod spodem są szerniałe opatrunki, których nie można zdjąć, bo przyschły do rany. Więc ja zaraz poszłam dzwonić do doktora Kuleszy. Powiedziałam, że nasz pies wpadł pod samochód i proszę, żeby natychmiast przyjechał i zabrał ze sobą narzędzia chirurgiczne. Wrzasnął na mnie, że nie jest weterynarzem, ale obiecał, że zaraz będzie. Bardzo się bałam, czy coś z tego zrozumiał i czy pamięta, że wcale nie mamy psa. A on, kochany, wszystko pojął jak należy, bo bardzo szybko zjawił się u nas obcy pan z walizeczką, przedstawił się, że przychodzi z polecenia doktora Kuleszy i że jest chirurgiem. Wyrzucił nas wszystkich z pokoju, coś tam dość długo robił, a potem powiedział, że na szczęście to nie jest poważna sprawa; kula poszła po żebrach, po-

szarpała tylko mięśnie. A to, że Marek źle się czuje i że się zataczał, to dlatego, że stracił sporo krwi.

Teraz Marek śpi po zastrzyku, a ciocia popłakuje i karmi Adzika. Próbuje przy tym, zupełnie bezskutecznie, dowiedzieć się, co właściwie zaszło. Adzik daje mętne odpowiedzi, uspokaja tylko, że to się wydarzyło daleko od Warszawy i że Niemcy nie zdobyli żadnych śladów, po których mogliby tu trafić. Byłam już u rodziców Adzika i wyjaśniłam, dlaczego siedzi u nas. Ta mała Beredke na pewno widziała powrót naszych chłopców, więc Adzik, chcąc przejść na drugi koniec domu, musiałby dalej udawać zawianego i robić z siebie widowisko. Lepiej będzie, jeżeli odczeka parę godzin, aż „wytrzeźwieje”. Ciocia zapowiedziała kategorycznie, że zaraz położy go spać, a w razie wizyty Beredke jeszcze ją zaprosi do pokoju i pokaże, w jakim stanie polska młodzież wraca z pracy do domu. A Adzikowi oczy się kleją, to fakt.

O, mama otwiera drzwi. Lecę po krople.

6 III 1944

Niby wiedziałam, co dla mnie znaczy Marek. A to było nic. Dopiero jak pomyślałam, że moglibyśmy go stracić...

Z początku nic takiego nie czułam, pomagałam cioci, dzwoniłam po doktora, czekałam, co powie. Później jeszcze pisałam w tym zeszycie i z tej ulgi, że to się tylko tak skończyło, pisałam nawet trochę na wesoło. Dopiero kiedy przyszła mama, jak już jej wszystko opowiedziałam i wróciłam do mego pokoju, to nagle ogarnęła mnie taka jakaś spóźniona rozpacz, że płakałam jak nigdy dotąd i trzęsła się we mnie każda najmniejsza żyłka. Teraz już wiem: jeżeli ja mam żyć, to to jedno stać się nie może. Albo oboje będziemy, albo nie będzie żadnego z nas. Albo będzie tylko on, na to też się zgadzam. Może to głupio brzmi, ale tak właśnie jest.

13 III 1944

Jeżeli już piszę w tym zeszycie o moich najważniejszych sprawach, to piszę szczerze i staram się, żeby było dokładnie tak, jak czuję. A kiedy później przeczytam napisane słowa, okazuje się, że są jakies sztuczne, że brzmią fałszywie i w końcu zaczynam się ich wstydić.

Nie wiem, dlaczego tak jest. Znalazłam kiedyś takie zdanie w jakiejś

książce: „Nie ma rzeczy tak lekkiej i tak ciężkiej, jak słowa”. I chyba to jest prawda, która ma zastosowanie do wielu spraw, ale także i do tego, o co mi teraz chodzi. Może trzeba już być zupełnie dorosłym i dużo mądrzejszym, niż ja jestem, żeby słowa zaczęły dokładnie pasować do tego, co się w człowieku dzieje w środku? A może to się nigdy nie udaje, tylko inni, którzy czytają, wcale o tym nie wiedzą? Takie to wszystko trudne.

Rana Marka ślicznie się goi, a ja chyba już wiem, gdzie ją zarobił. W parę dni po jego powrocie zaczęło się w Warszawie mówić o wysadzeniu pociągu z amunicją czy wojskiem gdzieś koło Lublina... Wtedy w rozmowie z ciotką Adzik wspominał, że największego stracha miał na praskim dworcu, przy wysiadaniu z pociągu. Pełno tam było żandar-mów, a Marek po długim siedzeniu w zatłoczonym przedziale ledwie się trzymał na nogach i łatwo mógł na siebie zwrócić uwagę. To by się zgadzało: pociągi z Lublina przychodzą na Pragę.

Beredke musiało jednak wtedy nie być w domu. Do tej pory nie przyleciała węszyć ani mimo parokrotnych spotkań z ciotką i mamą na schodach, nie zrobiła żadnej aluzji. Oficjalnie Marek ma nawrót gry-py, co zresztą w tym roku dość często się zdarza.

19 III 1944

W naszej szkole dzika awantura! Pierwsza w tym roku. Klasa Wiśki i Alicji pobiła się z czwartą gimnazjalną, a nasza dołączyła. Wiemy tylko tyle, że te wariatki ogłosiły wspólnie konkurs na miss piękności, każda z klas wytypowała swoich pięć kandydatek, a jury było mieszane, po dwie z każdej klasy. No i to jury nie mogło się pogodzić w sprawie pierwszego miejsca i zaczęło się tłuc, więc obie klasy rzuciły się na pomoc. Podobno pierwsza chwyciła za krzesło Agnisia z IV klasy, ale i tak skrupiło się nie na nich, tylko na nas. Bo jak usłyszałyśmy, że biją trzecią B, to my wszystkie, które dawniej chodziłyśmy razem z tamtymi, i nawet kilka nowych z naszej A, złapałyśmy metry krawieckie i poleciałyśmy na ratunek. Tamte, jak nas zobaczyły, też chwyciły za swoje metry i po prostu zaczęły się odbywać regularne walki szermiercze. Walczyło może z dziesięć par, a reszta stała tylko wkoło i wrzeszczała. Jak się któryś metr złamał, to zaraz podawano następny. Wszystkim się już odechciało prawdziwego naporzania, kiedy wpadła Kalina. Ona do tej pory siedziała w „OO” i nie wiedziała, co się dzieje,

więc kiedy usłyszała, że się biją, i zobaczyła w tym wszystkim dziewczęta z naszej klasy, to od razu runęła na czwartaczki. A Kalina walczy jak Longinus Podbipięta: kręci młynka metrem i zaraz wszyscy leżą. No i zakottowało się od nowa, już na serio. Niektóre z nas bardzo oberwały, szczególnie te najmniejsze, i później pani Przełożona wyszukiwała winnych taką metodą: która była najbardziej podrapana i posiniaczona, tej matka ma przyjść jutro do szkoły. Więc moja mama też będzie musiała pójść. Kaliny, która miała tylko podarty fartuch, wcale nie wymieniła, więc Kalina wstała i powiedziała, że to przede wszystkim jej wina (bo już zdążyliśmy nawymyślać jej za ten cały bigos), ale że jej mama nie przyjdzie, bo jest chora. Pani Przełożona zażądała, żeby w takim razie przyszedł starszy brat (ojciec został rozstrzelany już dawno temu), ale okazało się, że brata nie ma w Warszawie. Kalina zaproponowała, że może ona nie będzie jakiś czas chodziła do szkoły, na przykład z tydzień. Albo napisze dodatkowe wypracowanie (ona też bardzo lubi wypracowania), ale pani Przełożona powiedziała, że dziękuje za rady i że sama wymyśli jej karę. No i wymyśliła, nie daj Boże! Zobaczyła podarty fartuch i wpadła na pomysł, że Kalina ma zebrać od dziewcząt z IV klasy wszystkie podarte ubrania i sama je wyreperować w ciągu tygodnia. Naturalnie zrobimy to wspólnie, chociaż tak naprawdę to Kalinie należy się solidne manto, choćby za to, że nigdy nie wie, co się akurat dzieje.

A co będzie z nami i z tymi z klasy III B, to jeszcze nie wiadomo, dopiero matki się dowiedzą. Czwartaczki, chociaż starsze i silniejsze, wyszły z tego obronną ręką, usłyszały tylko kazanie. Wszystkie pretensje są do nas, podobno dlatego, że było nas prawie dwa razy więcej i zachowałyśmy się nierycersko. A ja myślę, że to raczej dlatego, że te z IV klasy zdają w tym roku małą maturę, niewygodnie byłoby je zawieszać i w ogóle trochę się je oszczędza.

W domu poszło wszystko zupełnie gładko dzięki cioci, która po mojej opowieści odezwała się:

– Dzięki Bogu, że one mimo wszystko zachowują się jeszcze jak dzieci...

Więc mama tylko westchnęła, jak ona jutro znajdzie czas jeszcze i na wizytę w szkole.

Przeżyliśmy dzisiaj cholernie denerwujące pół godziny. Po południu, kiedy mama i pan Wysocki byli akurat na mieście, a ciocia Zosia siedziała przy Marku, rozległ się dzwonek do drzwi. Otworzyłam. Na progu stał nieduży pan w palcie z futrzanym kołnierzem, w kapelusiku ozdobionym szarotką i pędzelkiem. Ten pan zapytał o coś po niemiecku, a pode mną zupełnie dosłownie ugięły się nogi. Tam za ścianą Marek z postrzelonym bokiem, a tu Niemiec! Jakoś mnie nie zastanowiło, że ten Niemiec nie wrzeszczy, tylko zwyczajnie, uprzejmie pyta. Ze strachu w pierwszej chwili nie rozumiałam, o co mu chodzi i dopiero kiedy on już na migi zaczął pokazywać paluchem na nasze mieszkanie i krakać: „Bered-ke? Bered-ke?“, oprzytomniałam i wyjaśniłam, że taka to mieszka piętro niżej. Ukłonił się i poszedł. Chciałam uspokoić ciocię, która mogła usłyszeć niemiecki język w przedpokoju, że to nie było nic groźnego, ale po raz pierwszy w życiu zastałam ich drzwi zamknięte na klucz i mimo pukania, nikt mi nie otworzył. Zaraz zresztą dzwonek u wejścia odezwał się ponownie i to znowu był ten sam facet. Oświadczył, że niestety pan Beredke nie ma w domu, chociaż umówiła się z nim dokładnie na tę godzinę, więc on pozwolił sobie zostawić w drzwiach karteczkę, że czeka u nas, i czy nie będę miała nic przeciwko temu, że chwilę posiedzi. No i klops: musiałam go zaprosić do pokoju i bawić rozmową. Rozmowa polegała głównie na tym, że ten typ snuł się od ściany do ściany i mądrzył na temat obrazów, że ten jest dobry, a tamten nie. Nic się na tym nie znam, więc mogłam tylko włączać takie różne „Och, ja” albo: „Wirklich, sie haben recht”*. Najbardziej wybrzydzał przed portretem Tatusia, którego ja też bardzo nie lubię. Cienie na twarzy Tatusia mają kolor nadpsutej wątróbki, tło jest na nim dla odmiany zgniłozielone, a wszystko razem wygląda smutno i nieświeżo. O tym obrazie powiedział: „Pfuj, eine falsche moderne Kunst”** i mama mówi, że miał rację, ponieważ znajoma malarka, u której zamówiono ten portret głównie po to, aby jej podreperować kasę, starała się być nowoczesna, ale nie bardzo wiedziała, jak się to robi. Mój portret, który postanowiła wykonać w „tradycyjnym stylu”, jest dużo ładniejszy, nawet jest całkiem sympatyczny; taki mały berbec w jasnych, czystych kolorach.

* Wirklich... (niem.) Rzeczywiście, ma pan rację.

** Pfuj, eine... (niem.) Fuj, paskudna nowoczesna sztuka.

Wracając do wizyty: nie trwała ona długo, bo zaraz przygoniła zziębłą i wijącą się w przeprosinach Beredke. Przepraszała oczywiście jego, a nie mnie. Mnie tylko zapytała kłótliwym głosem, czy nie wiem, kto na naszej klatce zawsze gotuje kapustę i wypuszcza cały smród na schody, bo ona musi z tym zrobić porządek. Naturalnie, że wiem, kto to robi, tylko jedna osoba reprezentuje tu taki poziom, ale powiedziałam, że nie mam pojęcia. Rozmowa odbywała się po polsku i ten niemiec strasznie się zdziwił:

– To pani jest Polką?

Mnie, głupiej, nie przyszło przedtem do głowy, że musiał mnie wziąć za taką samą volksdeutschkę jak Beredke i tylko dlatego był taki milusi! Powiedziałam, że tak, i oczywiście doczekałam się następnego pytania: skąd tak dobrze znam język. Wyjaśniłam, a spod oka przyglądałam się Beredce. Byłam ciekawa, jaką ma minę słysząc, że mówię po niemiecku nieco lepiej niż ona. I widziałam, że była wściekła. Nawet nie powiedziała „do widzenia”, tylko trzasnęła drzwiami, aż się futryna zatrzęsała. A swoją drogą to zabawne, że pierwszy człowiek, który mówił do mnie per „pani”, był Niemcem!

Po ich wyjściu znowu chciałam się dostać do cioci i Marka i znowu ich drzwi były zamknięte. Dopiero kiedy zaczęłam wołać:

- Otwórzcie, to ja! – ciocia wpuściła mnie do środka ze słowami:
- Ewuńcia, na miłość boską, kto to był?!

Opowiedziałam, jakie to miałam odwiedziny. Ciocia słuchała z troszkę niewyraźną miną, bo okazuje się, że wyobraziła sobie to wszystko zupełnie inaczej i przeżywała prawdziwe męki. Kiedy usłyszała, że w przedpokoju ktoś mówi po niemiecku, przeraziła się potwornie o Marka. Usiłowała podsłuchać, czego chce ten niemiec czy Niemcy, ale – jak mówi – serce biło jej tak głośno, że zagłuszyło słowa. Odruchowo przekręciła klucz w zamku i rzuciła się ubierać Marka, chować pościel, lekarstwa, bandaże. Później był drugi dzwonek i szwargot w przedpokoju, więc już nabrała pewności, że w domu jest pełno Niemców. Gdy zorientowała się, że weszli do stołowego, próbowała „metodą filizanki” usłyszeć coś przez ścianę, ale z jakiegoś powodu ta metoda działa głównie z góry na dół. Bała się o mnie, a i Marek krzychał na nią szepcąc, żeby nie zostawiała mnie samej, żeby szła mi na pomoc. Na to znów ona nie mogła się zdecydować, obawiała się ściągnąć uwagę Niemców na Marka. Później, kiedy na dodatek usłyszała głos Beredke, wyobraziła sobie, że to nasza miła sąsiadka nastąpiła ich na nas i już

tylko czekała, kiedy wpadną do ich pokoju. Jednym słowem, z głupstwa bez znaczenia zrobiła się wielka i strasznie dla cioci denerwująca historia, a w dodatku Marek jej dogaduje, że straciła głowę i biegła jak kura, która próbuje osłonić kurczę przed jastrzębiem.

25 III 1944

Teraz, dla odmiany, historia trochę niesamowita.

Wczoraj po powrocie z budy zastałam mamę nad jakimś listem. Była to wiadomość, że nasza Fräulein Gertrud nie żyje. Po jakimś wielkim nalocie na Berlin odkopano ją spod gruzów ciężko ranną. Żyła jeszcze parę dni, ale zmarła. To się wydarzyło...

Wtedy przypomniałam sobie mój sen. Powiedziałam szybko:

– Chwileczkę, nie mów, zaraz wrócę – i pobiegłam zajrzeć do tego zeszytu. – Czy to się stało dziewiątego albo dziesiątego stycznia? – spytałam. Mama popatrzyła na mnie znad okularów:

– Tak, w nocy z dziewiątego na dziesiątego, nad ranem. Skąd to wiesz?

Musiałam jej opowiedzieć i moim śnie. zresztą czułam się trochę dumna. Wysłuchiwała w milczeniu i nic nie powiedziała.

Ten list był od brata Fräulein. Pisał w nim jeszcze, że panna Gertruda bardzo mnie kochała, często wspominała nas wszystkich i że na pewno by sobie życzyła, żebyśmy wiedzieli, że jej już nie ma pomiędzy żywymi. Kiedy tak tego wszystkiego słuchałam i przypominałam sobie, jak biedna Fräulein oddalała się we śnie ode mnie i jak ogarniała ją ciemność, to nie wytrzymałam i rozplakałam się z żalu nad nią. Później zapytałam mamę, czy odpisze, chociaż wiedziałam, że tego nie zrobi. Fräulein z początku przysyłała do nas listy, ale zawsze pozostawały bez odpowiedzi. Teraz mama też pokręciła tylko głową przecząco.

Dziś przyszła do nas pani Marynowiczowa i ciocia Zosia opowiedziała jej zaraz o tym śnie i śnierci Fräulein. Pani Marynowiczowa aż krzyknęła:

– I jak tu nie wierzyć w sny! Ewka, tobie się często śnią takie rzeczy? Nie? A może śnią ci się, tylko nie rozumiesz ich znaczenia? Słuchaj, musisz się starać zawsze wszystko spamiętać, może się jeszcze czegoś ważnego dowiemy!

Ja tylko spod oka zerkałam na mamę. jak ona to zniesie, i pękałam w duchu ze śmiechu. A mama była do tego stopnia niezadowolona, że

nawet próbowała przerwać tę wypowiedź słabym: „Ależ, Olu, proszę cię...” Nic to naturalnie nie pomogło, pani Marynowiczowa skoczyła tylko na mamę:

– A cóż ty chcesz, Paulo, są ludzie, którzy nawet przyszłość widzą w snach. Może twoja mała ma właśnie taki dar?

Teraz już wiem, że o moim śnie już nigdy nie padnie żadne słowo. Nie wierzę, że mogłabym mieć jakiś „dar”, gdyby tak było, to wiedziałabym o śmierci Tatusia i o tylu innych rzeczach. Ale wczoraj, kiedy się kładłam do łóżka, było mi trochę niewyraźnie i bałam się, że może mi się coś przyśnić.

A z tych ostatnich historii jest jeden pożytek: szkolna awantura zeszła całkowicie na drugi plan. Pani Przełożona zażądała od matek, aby same „wyciągnęły konsekwencje”, a moja mania jakoś niczego nie wyciąga. Powiedziała tylko, że mam się teraz solidnie uczyć. A propos uczenia: czy to nie świństwo, że Starszy Bliźniak udziela Markowi i Adzikowi korepetycji z literatury polskiej?! Ten smarkacz, młodszy przecież ode mnie, wyklada im o Wyspiańskim, a zwłaszcza o „Weselu” i „Wyzwoleniu”, bo potrzebne im to do matury. Ja nawet tych utworów nie czytałam, znam tylko „Warszawiankę” i „Noc Listopadową”. Marek mówi, że oni obaj z Adzikiem nie są w stanie przygotować porządnie całej masy lektur i że w takiej sytuacji są wszyscy chłopcy, którzy mają dwie szkoły i równocześnie pracują. Że są takim wojennym, nie douczonym pokoleniem, co to będzie miało pełno różnych luk w wykształceniu ogólnym. A Starszy Bliźniak ma podobno Wyspiańskiego w małym palcu, przeczytał nie tylko wszystkie jego dzieła, ale i dostępne opracowania. Swoich uczniów traktuje bardzo surowo.

Teraz, odkąd Marek choruje, nic z moich przysiąg, że będę się starała rzadko go widywać, wpadam do jego pokoju po parę razy na dzień. Zresztą jeżeli dłużej się nie pokazuję, to on mnie woła do siebie i wypytuje, co słychać. Jest jeszcze słaby i nie może się uczyć bez przerwy. Czasem też pyta, czy nie potrzebuję pomocy z jakiegoś przedmiotu, ale mówię, że nie. Zresztą z łaciny i matmy mam teraz mocne „trzy”, a fizę też jakbym już zaczynała umieć, tylko szanowna pani nauczycielka nic jeszcze o tym niestety nie wie i ciągle ma mnie za kompletnego tumana. Łada dzień powinna być klasówka, wtedy się przekonamy, kto ma rację. Całe szczęście, że już się w ogóle nie boję klasówek. Dawniej przed każdą albo nie spałam całą noc, albo dostawałam bólów żołądka. Teraz niezbyt mnie to wzrusza; tyle jest innych, bardziej denerwujących spraw.

Mam kłopot z Anką, która koniecznie chce się ze mną umówić na dłuższe porozmawianie. Na początku roku szkolnego, po przejściu Alicji i Wisi do innej klasy, wyglądało na to, że będziemy się przyjaźnić i parę razy bardzo dobrze nam się gadało. Ale teraz nie mam o czym mówić ani z nią, ani z nikim. O tym wszystkim, co jest naprawdę ważne, nie wolno mi puścić pary z ust albo sama nie chcę. A wyrosłam już z rozważań, czy Scarlet O'Hara z „Przeminęło z wiatrem” była jednostką pozbawioną wartości moralnych (to dawniej zdanie moje i Anki), czy też miała moc zalet życiowych, praktycznych (zdanie Alicji). Nie bawią mnie rozmowy o sensie życia, takie teoretyczne bredzenia potrzebne są teraz jak zeszłoroczny śnieg! Ance się zdaje, że czas stoi w miejscu, ona sądzi, że nie ma nic ważniejszego niż przyjaźń, a ja wiem, że to nieprawda. Niech sobie myśli, że jestem niestała i podła, trudno!

31 III 1944

Teraz już i ja wiem, że jestem podła. Anka chciała ze mną rozmawiać nie o żadnych dyrdymałach, tylko o swoim wielkim zmartwieniu. Spławiłam ją, więc zwierzyła się Wiśce i Wiśka mi powtórzyła, bo to zresztą żadna tajemnica. Anki mama ma gruźlicę, a teraz spodziewa się dziecka. W dodatku jest stara, ma trzydzieści dziewięć lat i Anka boi się, że albo nie przetrzyma porodu, albo jej zdrowie tak się pogorszy, że w rezultacie zabije ją choroba. Wiśka twierdzi, że Anka poza tym wstydzi się za rodziców. Nic na ten temat nie mówiła, ale podobno to się wyczuwa. Nie dziwię się, ja też bym się wstydziła. Tylko że tymczasem muszę się wstydzić za siebie. Taka byłam wściekła, kiedy pisałam tu o Ance, po prostu nie cierpiałam jej w pewnym momencie! Byłam pewna, że chce gadać o bzdurach, a ona, biedactwo, chciała się wyżalić!

Teraz nie mogę się zdradzić, że wiem, o co chodziło. Dobrze się stało, że Anka poszła do Wiśki, bo Wiśka naradziła się już z Barbarą, Barbara zna jakiegoś świetnego lekarza (ona zna wszystkich ważnych ludzi w Warszawie) i ten lekarz zajmie się mamą Anki prawie za darmo. Ja bym tu nic nie umiała zrobić, nic poradzić. Ale nie o to chodzi. Anka wie przecież, że ją odepchnęłam, musiała to wyczuć, i teraz, kiedy ją straciłam, okazuje się, że już mi jej brak.

Tak mi jest przykro i głupio, że aż nie chce mi się pisać o czymkolwiek innym. A dziś miało także miejsce jeszcze jedno ważne wydarzenie.

nie. Mama spotkała przed domem Beredke i ta naskoczyła na nią jak rozwścieczona żmija:

– No, teraz będzie już pani miała ze mną spokój – syczała. – Właśnie założono mi telefon, nie będę musiała zakłócać państwu rodzinnych wieczorów. A że na skutek denuncjacji pani córki miałam grube nieprzyjemności, to już drobiazg!

Mama powiedziała, że nie rozumie, o co chodzi i co ja mam z tym wspólnego.

– Jak to co?! – zapieniła się ta żmija. – Przecież to właśnie Ewa napowiadała memu znajomemu, że telefony załatwiałam dotąd z pani mieszkania!

Faktycznie! Kiedy ten Niemiec czekał u nas na Beredke, to w jakimś momencie zapytał, czy utrzymujemy z naszą sąsiadką bliższe stosunki, i ja powiedziałam, że nie, że jedynie odbywa ona od nas rozmowy telefoniczne, ponieważ nie ma własnego aparatu. Na nim nie zrobiło to żadnego wrażenia, ale wtedy był jeszcze przekonany, że trafił do niemieckiego mieszkania. Dopiero później przekonał się, że jesteśmy Polakami, a Niemcom nie wolno kontaktować się prywatnie z Polakami, więc najwyraźniej zrobił jej z tego powodu piekło. Mamulin znalazł się oczywiście na rzymską piątkę, bo odpowiedział gadowi krótko:

– Nie sędzę, aby określenie „denuncjacja” było tu na miejscu. Nikt z nas nie przypuszczał, że dzwoniąc od nas, łamie pani jakieś przepisy. A już Ewa z pewnością nie mogła sobie z tego zdawać sprawy.

Mimo wszystko niedobrze się stało. Mamy teraz pod podłogą śmiertelnego wroga. Wprawdzie trochę trzymamy ją w rękę, ponieważ wiemy, na jakie stacje nastawia swoje radio (ostatnio Beredke znów słucha komunikatów z Anglii, niestety nastawia aparat tak cicho, że odróżniamy tylko charakterystyczne „bum-bum-bum-bum”, a już słów nie można zrozumieć), ale co to w razie czego pomoże? Mama gryzie się, czy ona przez zemstę nie będzie chciała się nas pozbyć? Zrobiliśmy przed godziną naradę wojenną na temat oczyszczenia mieszkania, ale jak zaczęliśmy wyliczać wszystko to, co należałoby usunąć, aby nikt się nie mógł do niczego przyczepić, wszystkie te książki „zakazane” z pawlacza, Marka i moje podręczniki, papiery i odznaczenia pana Wysokiego i jeszcze parę innych rzeczy, to okazało się, że aby się tego wszystkiego pozbyć, należałoby chyba wynająć wóz meblowy! Więc postanowiliśmy machnąć na Beredke ręką i zdać się na los szczęścia. Może

jednak nie będzie się chciała mścić, a może dojdzie do wniosku, że telefon w domu jest rzeczą wygodną, i nawet będzie zadowolona z tego, co się stało?

3 IV 1944

Taka jestem jakaś zdechła, że nie daj Boże. Mama mówi, że wyglądam jak angielska śmierć. Mam brązowe kółka pod oczami, czerwony nos (musiałam go odmrozić tej zimy) i żółte policzki. Staram się nie patrzeć w lustro, ale czasem niestety muszę się uczesać. Czuję się ciągle taka zmęczona... Szczególnie rano, jak wstaję, to prawie codziennie z bekiem, że trzeba zaczynać od początku. Nienawidzę ranków, nienawidzę wstawania. Wieczorami zawsze jest lepiej. Lubię wieczory.

A jeszcze dwa miesiące temu, kiedy wszyscy chorowali, ja byłam taka zdrowa i silna. Ciocia Zosia pociesza, że to przedwiośnie tak mnie męczy i że jak przyjdzie prawdziwa wiosna, to odżyję. „rozkwitnę”, jak powiada. Nie chce mi się rozkwitać, nic mi się nie chce. Bardzo lubię ciocię Zosię. Jest serdeczna, życzliwa, dzielna. I bardzo śmieszna, nawet wygląda śmiesznie, jest drobniutka, chudziutka i nie chodzi, tylko biega małymi kroczkami stawiając stopy troszkę do środka. Poznałabym ją po sposobie chodzenia w stutysięcznym tłumie. A do tego ma przedziwnie gruby i lekko zachrypnięty głos. „To od tych papierosisków”, mówi. Pali ich rzeczywiście mnóstwo, jeszcze więcej niż mama. Lubię robić papierosy. Wieczorami często zasiadam, biorę gilzy „dwuwatki”, aparacik do nabijania i mieszankę, którą mama gdzieś zdobywa. Produkuję papierosy całymi setkami, ale i tak nie starcza to na długo. Czasem pomaga mi Marek. Wtedy jedno z nas nabija, a drugie toczy każdy papieros dłonią po stole, żeby go zmiękczyć i żeby wylazł z niego taki kłak tytoniu, który się ucina nożyczkami.

18 IV 1944

Robiliśmy z ciocią makaron metodą taśmową, bo udało się dostać większą ilość jajek w proszku, i postanowiłyśmy ususzyć go mnóstwo na zapas. Ja wałkowałam ciasto i zwijałam w rulonik, a ciocia krajała. Mama przyszła z miasta z pełną torbą, która nazywa się u nas „Kornacka”, bo została nam w spadku po babcinej przedwojennej gosposi o tym nazwisku. Właśnie zaczęła rozładowywać „Kornacką”, kiedy zapytałam:

– Co się właściwie dzieje z panną Ireną, że tak jej dawno u nas nie było?

Mama dosłownie zastygła z torebką kaszy w ręce, a potem siadła z rozmachem na taborecie i powoli spytała:

– Powiedz mi, czemu ci się nagle przypomniała panna Irena? Czy możesz mi to wytłumaczyć?

Zabrzmiało to tak, jakbym zrobiła coś bardzo niewłaściwego, chociaż zupełnie nic wiedziałam co. Naturalnie nie umiałam niczego wytłumaczyć i tylko czułam, że się robię czerwona jak burak. Ciocia przestała kroić makaron i patrzyła zaniepokojona to na jedną, to na drugą z nas. I w ogóle było bardzo dziwnie. Mama nagle przyciągnęła mnie do siebie, pocałowała i powiedziała:

– Przepraszam cię, kochanie, zachowuję się bez sensu, ale twoje pytanie zabrzmiało zupełnie niesamowicie. Biedna panna Irena nie żyje, a ja dowiedziałam się o tym właśnie dzisiaj. A nie mówiłam, Zosiu – zwróciła się do cioci – że ta moja mała to czarownica?

Bardzo trudno uwierzyć, że panny Irene już nie ma. Zeszłej zimy często przychodziła do nas, a właściwie do mamy. Byłam pewna, że widują się z powodu tej dulcyny, którą mama wyrabia, bo panna Irena też była chemiczką i przy mnie rozmawiały o swoich zawodowych sprawach. Dopiero teraz ze słów mamy wynikło, że łączyły je także inne stosunki i że panna Irena padła ofiarą tej samej wsypy, po której w sierpniu uciekałyśmy z domu. Z początku siedziała na Pawiaku i badała ją gestapo. Była tak drobna i wątła, że mogło się wydawać, iż nie wytrzyma pierwszego bicia. A nie wydała nikogo. Później wywieziono ją do Oświęcimia i teraz do jej matki przyszło zawiadomienie o jej śmierci.

Piszę o tym i równocześnie myślę, że nasze obecne normalne życie dostałyśmy jakby od panny Irene. Dotąd, gdy słyszałam zdanie „uratował komuś życie”, to od razu widziałam kogoś, kto skacze do rzeki po tonącego albo wynosi dziecko z płomieni, albo na froncie wyciąga rannego spod kul. A to znaczy także coś zupełnie innego: wytrzymywanie tortur i milczenie. Wtedy ratuje się nie jednego człowieka, a wielu. A siebie się skazuje. Na powolne umieranie. Panna Irena umierała od lipca do kwietnia, tyle miesięcy. A my żyjemy. Czy to nie jest straszna odpowiedzialność tak żyć dzięki komuś? Pierwszy raz czuję, że się boję życia, nie poszczególnych zdarzeń, ale całości. Coś, co mi

się dotąd wydawało własne i otrzymane znikąd, teraz jest też własnością panny Ireny. Przecież ja będę musiała zupełnie inaczej, jakoś lepiej i mądrzej robić to wszystko, a wcale nie wiem jak. Przedtem nie rozumiałam. Dopiero teraz, kiedy się okazało, że zginął ktoś znajomy, kogo lubiłam... Taka była łagodna, taka cichutka. Zdaje mi się, że ona jest teraz obok mnie, czuję, że stoi za mną, nie mogę się obejrzeć, bo ją spłoszę, a chcę, żeby była. Panno Ireno, piszę teraz dla Pani, niech Pani czyta. Ja się będę starała, żeby to nie poszło na marne. Nie wiem, czy mi się uda. Pani teraz już wie, jaka ja jestem słaba i niewydarzona. Nie mam silnej woli ani charakteru. Ale zrobię, co będę mogła, i zawsze będę o Pani pamiętać.

23 IV 1944

Tamtego wieczora, kiedy pisałam ostatni raz, znowu było tak jak z moim wypracowaniem o zamieci: następnego dnia nie mogłam sobie ani rusz przypomnieć, co ja właściwie nabazgrałam w tym zeszytcie. W szkole przez wszystkie lekcje mordowało mnie jakieś nieprzyjemne uczucie, a już kiedy po powrocie do domu przeczytałam te ostatnie stronicie, to najzwyczajniej się złąkłam. Tak zupełnie nie pamiętam niczego poza tym, że siedzę przy swoim biurku, a później chowam brulion do skrytki, kładę się do wyra i zasypiam jak zabita. Dobrze, że nie żyjemy w średniowieczu, takie jak ja palono wtedy na stosie. Brrr!

Zdaje się, że jeszcze trochę, a uwierzę w to, co się wymknęło mamie na mój temat i czego najwyraźniej bardzo żałuje. Nazwała mnie czarownicą, bo podobno już wiele razy pytałam nagle o sprawy, które dotąd mnie nie obchodziły, a które wydarzyły się właśnie tego samego dnia. Wczoraj próbowałam trochę podpytać i ją, i ciocię o te moje „czarodziejskie” zdolności, ale obie mnie zburczały, a ciocia powiedziała, że takie odbieranie cudzych myśli nazywa się telepatią i że czytała przed wojną naukowy artykuł na ten temat, w którym było napisane, że całe mnóstwo ludzi jest obdarzonych tą właściwością, a przede wszystkim dzieci reagują bardzo silnie na nastroje rodziców. Ciocia uważa, że ja z tego niedługo wyrosnę. Właściwie to chciałabym, żeby tak było, bo to nic przyjemnego straszyć innych i samej się później bać.

A dzisiaj jest właśnie taki dzień, że nie chce mi się myśleć o niczym przykrym. Jeszcze prawie wcale nie widać wiosny, a czuje się, że już jest wszędzie. Wiatr zrobił się jakiś pachnący, powietrze jest gładkie i

miękkie. Po szkole poszliśmy z Młodszy Bliźniakiem nad Morskie Oko wybierać żabi skrzek do hodowli, a ja nabrałam jeszcze wody z drugiej, mniejszej glinianki, gdzie było pełno larw komarów. Będę je trzymać w słoiku, a jak się powylęgają owady, to wypuszczę je na wolność. Marek się ze mnie wyśmiewa, że pewno liczę na szczególnie względy u komarów, i prosi, żebym też i resztę rodziny zaprotegowała u moich podopiecznych. Na ogół nikt nie wie, że hodowanie komarów jest bardzo przyjemne. Przede wszystkim nie wymagają żadnego karmienia, żywią się same tym, co mają w wodzie. Tylko naturalnie nie wolno im tej wody zmieniać, musi być do końca ta sama, z glinianki. Po drugie, są bardzo ładne. W stadium larwy przypominają maleńkie młoteczki, które wiszą na powierzchni wody i dopiero spłoszone śmigają w dół. Później się przepoczwarzają, przybierają kształt kulek czy ślimaczków. Wtedy już trzeba obwiązać otwór słoika gazą, bo wiadomo, że niedługo zaczną się wykluwać dorosłe owady, a zawsze lepiej, jak się to po mieszkaniu nie rozlezie.

Cezar i Kleopatra zbudziły się już z tydzień temu, ale łażą senne i bez humoru. Nie ma jeszcze mlecza ani sałaty, więc dostają tylko trochę mleka i skrobanego mięsa, które jedzą bez najmniejszego entuzjazmu.

Swoją drogą to przedziwne, że pisząc pamiętnik blisko od roku, ani razu nie wspomniałam o moich zwierzętach. Ani o żółwiach, ani o Tomciu, kanarku. Zebrało mi się dopiero teraz, widocznie z powodu wiosny. Tomciem się martwię, ponieważ na łapkach pojawiły mu się jakieś brązowe strupki i chyba go to boli, bo coraz częściej stara się stać na jednej nóżce, a drugą chowa w piórka na brzuchu. Jutro pojedę na Nowy Świat do sklepu zoologicznego i pogadam z właścicielem, co to może być za choroba i jak ją leczyć. Szkoda, że jeszcze za zimno, żeby zabrać Tomcia i pokazać.

Bardzo mego Tomcia lubię, najbardziej za to, że nie śpiewa. Jest absolutnie niemuzyczny i wszyscy się oburzają: „A cóż to za taki nieudany kanarek!” Mnie jest go żal i wcale nie potrzebuję, żeby mi się ptaki darły w domu od rana do wieczora!

25 IV 1944

Dziś mam bardzo mało czasu, więc tylko zanotuję, co pan ze sklepu ze zwierzętami powiedział o Tomciu. Twierdzi niestety, że to jest bar-

dzo niedobra choroba. Przed wojną sprowadzał od hodowców kanarków z Francji specjalne lekarstwo, które pomagało, ale teraz nikt tego nie ma. Dał mi jakąś miksturę i kazał smarować Tomciowe łapki miękkim pędzelkiem. Obejrzałam mu paluszki od spodu: tam dopiero jest pełno tych strupów, nic dziwnego, że trudno mu ustać na drążku. A ten pan powiada, że nie ma wielkiej nadziei na wyleczenie. Biedny Tomcio, taki małutki, a też musi się męczyć.

26 IV 1944

Wczoraj przyszła Alicja, żeby mi pokazać coś „przyjemnego”. Ja myślę, że ona to zrobiła przez lojalność, ale nie jestem pewna. Nie wiem, czy postąpiłabym tak samo, gdyby to o nią chodziło, czy właśnie odwrotnie, postarałabym się, żeby ona tego nigdy nie zobaczyła. Bo mnie nie jest teraz wcale miło. Było tak:

Parę dni temu Alicja zadzwoniła z pytaniem, czy mogę jej pożyczyć „Wypisy z literatury polskiej”, ale że akurat dałam je Wiercińskiej i Malinowskiej, więc powiedziałam, żeby się z nimi porozumiała. Wiercińska i Malinowska to dwie przyjaciółki całkowicie nierozłączne, które zawsze robią to samo i o których nikt nigdy nie mówi oddzielnie. To są nasze klasowe poetki, piszące wiersze na wszystkie możliwe okazje, zresztą przytaczałam tu ich wiersz o „pomidorowej bitwie”.

Alicja odebrała od nich „Wypisy” i znalazła w nich kartkę z wierszykiem na mój temat. Wierszyk jest taki, że nie daj Boże:

Małą, czarna pchła, co skacze.

Jak potrzeba – to popłacze,

Jak potrzeba – to się łasi

I trójczyne wypitrasi.

Bardzo biedna to dziewczynka,

Skromna suknia, skromna minka,

Szkoła ulgę jej odtrąca,

Ale w domu jest służąca.

Poznajecie tego trutnia?

To nasza droga Ewunia!

Zupełnie zgłupiałam po przeczytaniu tego, jak go nazwała Alicja, paszkwilu. Nie miałam pojęcia, że one mnie tak nie cierpią. Tyle lat chodzimy do jednej klasy, ja ich dotąd prawie nie zauważałam, a one tymczasem jak okropnie musiały mnie zniechęcić, skoro specjalnie

włożyły ten wiersz do mojej książki i w dodatku dały wszystko razem Alicji?! Do głowy mi dotąd nie przychodziło, że można mnie widzieć jako osobę, która płacze albo łasi się o stopnie. Przecież stopnie mnie zupełnie nie obchodzą! Pewnie, walczę o te trójczyny, bo nie mogę zostać na drugi rok, ale chyba nie w ten sposób, tylko zwyczajnie, jak wszystkie inne w klasie. Kiedy nic nie umiem, to się migam, a jak coś wiem, to staram się mieć taką minę, żeby mnie spytano. Ale żebym kiedy płakała z powodu złego stopnia, to już łgarstwo! Na klasówkach ściągam, ile się da, ale rzadko daje to naprawdę dobre rezultaty. Ostatecznie ratują mi opinię zawsze te same trzy przedmioty: polski, chemia i niemiecki. Może rzeczywiście łaszę się trochę do Kawicy, ale to dlatego, że ją lubię, bo żelazną pionę mam u niej i tak. Malinowska i Wiercińska mają dużo lepsze stopnie, więc czego tu zazdrościć? Może właśnie tej piony u Kawicy, bo tego to one się u niej jakoś nie mogą dochrapać!

W sprawie owej ulgi, o której usłyszałam pierwszy raz w życiu, to aż poszłam do mamy i nawet przeczytałam jej odpowiednią strofkę. Mama się bardzo oburzyła, powiedziała, że to jakieś niedobre dziewczyny, które wiedzą, że dzwoni, ale nie wiedzą, w jakim kościele. Że owszem, był czas, kiedy płaciła za mnie tylko część kwoty, a na początku wojny Przełożona przez kilka miesięcy w ogóle nie przyjmowała od mamy opłat. I równocześnie szkoła doskonale wiedziała, że w naszym domu jest Jadzia, bez której mama w żadnym wypadku nie mogła się obejść i której zresztą też płaciła wtedy grosze albo nie płaciła wcale. A od blisko trzech lat nie mam już żadnej ulgi, bo mama uważa, że z cudzej dobroci, a właściwie łaski, można korzystać tylko wtedy, jeśli się naprawdę nie ma co jeść, jak to było z nami na początku wojny. Muszę przyznać, że ta nasza Przełożona to ma klasę. I inne belferzyce też. Nigdy mi żadna z nich nie dała odczuć, że mnie uczyły za darmo czy też za półdarmo.

Więc okazuje się, że nie mam ulgi i nie mam służącej, ale za to mam wierszyk. Trochę mnie uspokoiła myśl, że jeżeli w jednej zwrotce są same kłamstwa, to w innych też chyba nie musi być lepiej.

29 IV 1944

Ile razy przeglądam ten pamiętnik, tyle razy mam wrażenie, że pisała go albo dziewczyna okropnie nieszczęśliwa, albo zupełna histeryczka. Ciągle tylko jakieś smutki i zdenerwowania. A przecież naprawdę

jest inaczej. Wprawdzie beczę rzeczywiście często, ale znaczna część tych płaczów jest ze złości, więc się nie liczy. Większość dni też nie jest wcale taka beznadziejna, jak by wynikało z moich notatek. Te zeszyty są takie ponure dlatego, że najbardziej chce mi się pisać właśnie wtedy, kiedy jest mi smutno albo kiedy coś ze mną nie gra. I jeszcze dlatego, że bardzo dużo jest takich spraw, o których nie mogę mówić i pozostaje tylko wałkowanie ich tutaj. Na przykład to, że od stycznia, a więc już cztery miesiące, próbuję wpaść na trop tej dziewczyny Marka. Pod słuchuję rozmowy telefoniczne, kiedyś zrobiłam nawet takie świństwo, że przeszukałam jego portfel. I nic, ani śladu. Telefony są od kolegów, a jedyne zdjęcie, jakie nosi przy sobie, to fotografia zrobiona jeszcze na jesieni na Saskiej Kępie, na której są jego rodzice, wujostwo, kuzynki i my oboje. Żadnego listu, kwiatka, nic. Z nim jest chyba tak jak ze mną, ja też nie mam co nosić, chociaż bardzo bym chciała. Czasem mi go tak strasznie żal, że już bym wołała, żeby przynajmniej jemu było dobrze. A znów kiedy indziej myślę, że dla mnie toby już nie było gorszego nieszczęścia. I tak w kółko.

On jest w każdym razie znacznie dzielniejszy niż ja. Dużo pracuje, a teraz już kuje po całych prawie nocach. W szkole elektrotechnicznej egzaminy mają być dwudziestego czwartego czerwca, matura u Rejtana dopiero około połowy lipca, będzie miał cały kawał lata zmarnowany. I mimo że tak orze, jeszcze znajduje czas, żeby codziennie wpaść do mnie i chociaż chwilkę pogadać.

Gdybym tak dla odmiany zaczęła tu pisać wszystko, co plotę do Marka, te różne głupstwa o szkole, o książkach, o moich zwierzakach! Wyszłaby z tego znowu jakaś zupełnie inna dziewczyna. Zgrywam się przed nim, tylko dla odmiany na wesoło, bo widzę, że tak samo jak dorośli zaczął się niepokoić, że jestem blada i chudną.

Ciągle mnie pyta, czy aby się czuję zupełnie dobrze, wygania na powietrze, złości się, kiedy przy kolacji nie mam apetytu. A ja nawet czasem specjalnie grymaszę... I w stosunku do niego lubię być posłuszna.

Kilka dni temu mama kazała mi włożyć ciepły szalik przed wyjściem na dwór, a ja za nic w świecie nie chciałam. Klóciłam się, że jest ciepło i że nie chcę wyglądać jak idiotka. Wtedy Marek powiedział, żebym przestała się wygłupiać i natychmiast wzięła ten szalik. Posłuchałam. Wcale nie dlatego, że chciałam mamie zrobić przykrość, po prostu tak wyszło. Wtedy mama powiedziała rozżalona:

– Zdaje się, że ona słucha jako tako już tylko ciebie, Marku. Chętnie bym ci przekazała jej dalsze wychowywanie, ale wątpię, czybyś się podjął tego zadania.

Bardzo mi się zrobiło nieprzyjemnie, bo to zabrzmiało tak, jakby mama miała pretensję nie tylko do mnie, ale i do Marka. A Marek odpowiedział:

– Od jesieni, jak już skończę te moje szkoły, będę mógł więcej zajmować się Ewą. Tylko... czy ciocia nie cofnie mi później tych uprawnień?

Mama poczerwieniała nagle i wyglądała, jakby się miała za chwilę rozplakać.

– Bądź spokojny – powiedziała – nie cofnę.

Marek pocałował ją w rękę i naraz oboje wyszli szybko z pokoju, on do siebie, a ona do kuchni. Ja zostałam jak tabaka w rogu i do dziś nie wiem, czy oni się wtedy pogniwiali na siebie, czy też nie. W każdym razie wieczorem byli już w zgodzie. Marek przy kolacji zaczął mnie „wychowywać”, czyli namawiać do jedzenia, widocznie wziął na serio umowę z mamą i zaczął ją wprowadzać w czyn od zaraz, a mama przyglądała się temu z dość dziwnym, ale na ogół przyjaznym wyrazem twarzy. Mnie było miło, ale też i trochę głupio. Teraz już się przyzwyczaiłam i tylko ciocia fuknęła wczoraj na Marka:

– A cóż ty się tak rządysz?!

A Marek odpowiedział spokojnie:

– Mam prawo. Prawda, ciociu?

Moja mama znów szczerwieniła, powiedziała: „Masz, masz” i szybko zaczęła mówić o czymś innym.

Trochę mnie to wszystko jednak złości. Zmówili się za moimi plecami i chcą ze mnie zrobić doskonałość. Niewykonalne zadanie! Za dużo mam wad, za dużo we mnie złych cech charakteru. Mama twierdzi, że ja wyznaję zasadę: „Jaką mnie, Panie Boże, zrobiłeś, taką mnie masz”. Nieprawda, bardzo bym chciała zmienić się na lepsze, tylko tak między nami mówiąc, wołałabym dojść do tego sama, niż na siłę być przerabianą kolejno przez wszystkich!

3 V 1944

No proszę, już i na Marka zacznę się pieklić. Świadczy o tym wy-mownie ostatnie zdanie pod poprzednią datą, po którym tak się

„zatchnęłam” ze złości, że aż przestałam pisać. A tymczasem na świecie zrobiła się najprawdziwsza wiosna, skończyło się palenie w piecach, szaliki i ciepłe majtki. Moje kijanki już się wylęgły, śmigają w słoju jak żywe przecinki, a kiedy wpuszczam im do wody kroplę żółtka, zbiegają się wokół niego promieniście i wyglądają jak czarne, falujące słoneczka. A Tomcio umarł. Dwa dni siedział na dnie klatki z łapkami ukrytymi w piórkach i raz po raz zamykał oczy. Znów pojechałam na Nowy Świat, ale ten pan powiedział, że nic już nie można zrobić poza uspieniem go i że się tego spodziewał. A wczoraj rano zastałam klatkę pustą i karteczkę od mamy, że jak wstała, to Tomcio już nie żył.

Smutno mi, ale to jest właściwie jedyny smutek. Bo poza tym jest raczej dobrze. W budzie jakoś leci, w domu nic złego się nie dzieje, no i ta wiosna jakoś zupełnie nie pozwala się martwić. Wychodzę na dwór czy choćby na balkon i nagle robię się taka lekka, jakbym zaraz miała gdzieś odlecieć. Albo zaczyna mi być tęskno nie wiadomo za czym i chce mi się płakać, ale to też jest przyjemne. Jeszcze nigdy tego tak nie odczuwałam jak w tym roku.

Zresztą wszyscy ludzie się zmienili. Są weseli i mówią, że do lata będziemy już wolni. Że Rosjanie idą coraz szybciej i śpieszą się, śpieszą, i pchają Niemców do tyłu na całym olbrzymim froncie, że niemieckie miasta płoną dzień i noc od strasznych bombardowań. Nasi warszawscy Niemcy też jakby przycichli, rzadziej słychać ohydne „Heilheila”, mniej jest łapanek, mniej strzelanin. Żeby już prędzej, żeby zaczęło się dziać! I żeby mnie się też udało coś wtedy zrobić dla tej wolności! Teraz, kiedy nucę sobie moją najulubieńszą piosenkę „Hej, chłopcy, bagnet na broń!” i kiedy dochodzę do słów: „Bo kto wie, czy to jutro, pojutrze, czy dziś przyjdzie rozkaz, że już, że już trzeba nam iść”, to dostaję dreszczy z wrażenia. Te słowa były dotąd tylko obietnicą i nadzieją, teraz są już zapowiedzią tego, co stanie się na pewno, i to może bardzo niedługo. Gdy o tym myślę, chciałabym uklęknąć.

Dziś naturalnie nie było w szkole lekcji, przesiedziałyśmy przepisać cztery „krawieckie” godziny nad milczącymi maszynami, jak w każde święto państwowe. 11 Listopada też co roku świętujemy, czasem bardzo uroczyście, na przykład kiedy byłyśmy w pierwszej gimnazjalnej, przygotowałyśmy pod kierunkiem Kawicy cały program poetycki

poświęcony odzyskaniu niepodległości i ja deklamowałam ten wiersz Tetmajera, który się zaczyna od słów:

*Synku mój mały, obco brzmiące nazwisko będziesz nosił.
Wiedz, że twój dziad na polskiej łące krwią swoją trawę zrosił,
Że ta krwi kropla na twe czoło wieczystym padlę znakiem,
Że z nazwy Niemiec – szablą gotą zatwierdził się Polakiem.*

Z powodu tego mojego nazwiska, oczywiście, mówiłam ten wiersz. Dzisiaj czytało się głośno wiersze i różne ładne dyrdymałki albo były okolicznościowe wykłady. Przed lekcjami, zamiast codziennego: „Duchu Święty, który oświecasz...”, cała szkoła odśpiewała cichutko „Boże, coś Polskę” i przy słowach: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie: Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie” nie było chyba niktogo, kto by nie beknął, a dwie panie woźne rozsłochały się na cały głos. Za to następna pieśń: „Witaj, Majowa Jutrzenko” brzmiała już wesoło i bardziej bojowo niż co roku.

W połowie ostatniej lekcji Kalina, która dalej zachowuje się jak lunatyczka, została bohaterką dość niezwykłego wydarzenia. Kawica mówiła właśnie, zresztą całkiem rozsądnie i ciekawie, o roli Piotra Skargi jako sumienia narodu, kiedy Kalinie zebrało się na grzebanie w teczce, no i naturalnie wywalila z niej wszystko na podłogę z jakimś nieludzkim hukiem i brzękiem. Siedziałyśmy w trzeciej ławce, ale aż pod tablicę potoczyły się jakieś dziwne żelastwa. Kalina zaczęła zbierać to wszystko beznadziejnie ślamazarnie, a kiedy pani Kawicka spytała zdumiona: – Co to jest? Po co ty to nosisz do szkoły? – odpowiedziała sennie: – To jest nadajnik Morse’a – i trzymając coś tam w ręku dodała głupawo: – O, brzęczyk. Chyba się złamał...

Kawicka zakomenderowała groźnie:

– Zbierz to szybciej i siadaj wreszcie!

Ale potem dokończyła opowieści o Skardze tak, jakby nic nie zaszło, a po lekcjach nie zawezwała do siebie Kaliny na kazanie. I to też jest nowość. Bo dotąd zawsze, ilekroć któraś z nas dała się nakryć na jakiejś „politycznej” działalności, której szkoła nie pobłogosławiła, następowały długie mowy o poczuciu odpowiedzialności, o bezpieczeństwie szkoły, o niewłaściwości pewnych poczynań w pewnym wieku. Czyli typowe trele-mórele spod znaku naszego szkolnego harcerstwa.

Ostatnio nie pisałam zupełnie o tych moich innych sprawach. Jakoś

mi się nie chciało i w ogóle uważałam, że lepiej nie. A tam też się sporo zmieniło. Jeżdżę teraz regularnie, trzy razy w tygodniu, pod pewien adres, niestety dość daleko i mam stamtąd kiepski dojazd na punkt, gdzie oddaję moje przesyłki. Te przesyłki są najczęściej wielkości znaczków pocztowych, po prostu kilka małych, złożonych i zaklejonnych bibulek. Jestem zwyczajnym listonoszem, niczym więcej. Tyle że prawdziwy listonosz nosi listy w torbie, a ja swoje chowam w nadpruty obrębek sukienki. Czasem jest mi smutno. Gdzieś poza mną dzieją się jakieś sprawy, ludzie coś robią, przeżywają, narażają się. A ja noszę bibułki. I nawet nie wiem, komu i na co to jest potrzebne. Tłumaczę sobie, że jestem małym kółkiem w dużej maszynie albo cegielką w murze. Czasem nawet widzę taki wielki mur, w którym jedna cegła jest moja i tylko moja, nikt nie wie, do kogo ona należy, ale ja czasem przychodzę i patrzę sobie na nią. Ot, bzdury. Nie wiem, co będzie za kilka lat, kiedy już będę dorosła, nie potrafię sobie niczego wyobrazić, ale chciałabym, żeby to coś miało sens. Żebym była potrzebna i żebym dobrze przeżyła życie.

Inna wiosna

W maju czterdziestego czwartego, czyli w dwa miesiące po aresztowaniu mego ojca, było u nas w domu smutno, ponuro i biednie. W tym czasie od zupełnej nędzy uratowało nas to, że matka jako młoda dziewczyna słynęła w rodzinie z tak zwanych złotych rąk. Te ręce haftowały najcieńszym jedwabiem, robiły szydełkiem koronkowe serweteczki, batiłkowały bajecznie kolorowe szale. Teraz nikt nie kupował baticzków ani poduszek z haftem „richelieu”, pojawiła się za to klientela łasa na wszelkiego rodzaju przeróbki, podłużania i nawet co prostsze szycia. Zarościło się u nas od znanych i nie znanych kobiet, w maminympokoju po całych dniach klekotała maszyna, stary, jeszcze ręczny „Kempisty”. Cichła wtedy, kiedy matkę ogarniała kolejna fala rozpacz i przed jej zapłakаныmi oczyma już doszczętnie zamazywały się ścieżki szwów.

Wszystko to znam bardziej z naszych powojennych wspominków niż z własnych przeżyć. Przez całą okupację odsuwałam od siebie starannie wszelką świadomość istnienia wojny. Postawiona z nią twarzą w twarz – znalazłam ratunek w głupim optymizmie. Uznałam, że wszystko będzie dobrze, że ojca lada dzień wypuszczą lub też uwolni go kłeska Niemców. Pocieszałam mamę tymi właśnie argumentami, ale pocieszałam z wewnętrzną irytacją, że muszę powtarzać rzeczy tak bardzo oczywiste, w które ona w dodatku nie chce uwierzyć. A niestety – nie ja miałam rację. Nie zobaczyłyśmy ojca nigdy więcej, nie dowiedziałyśmy się o nim niczego, zapewne rozstrzelano go gdzieś w ruinach getta po cichu, bez plakatowej ostentacji ulicznych egzekucji.

Mój niepojęty stosunek do tego, co rozgrywało się dookoła, wypływał chyba z jakiejś dziecinnej samoobrony. Dzieci są zdolne do bezbrzeżnego egocentryzmu i skutecznego uciekania od rzeczywistości w świat fikcji. Przez całe lata żyłam przecież w takim właśnie świecie ule-

pionym z kilku ukochanych książek i znacznie liczniejszych własnych, wymyślonych opowieści, których fabułę miesiącami rozbudowywałam i wzbogacałam o nie kończące się uboczne wątki. Wspólną cechą lektur i marzeń był nieodzowny happy end oraz to, że nie miały one najczęściej żadnego związku z wojną. Równocześnie ani mi w głowie nie powstała myśl, aby tak jak Ewa włączyć się w jakieś działanie, a tym bardziej – aby mieć jakiegokolwiek ambicje na dalszą przyszłość.

Nie sądzę, aby ta moja nietypowość podlegała wówczas czyjejkolwiek poważniejszej ocenie. W klasie trzymałam się na uboczu, znano mnie jako milczka i nieśmiałka, nie niepokoiłam nikogo i mnie także nikt nie niepokoił. Przez długi czas nie miałam niemal żadnych pozaszkolnych znajomości. Pisałam już o tym, że z dziećmi z naszej kamienicy zbliżyłam się późno, że dorosłam do stadnego życia niemal dokładnie wtedy, kiedy Ewa już z niego odchodziła zaabsorbowana innymi sprawami. Przebywając w tym samym obszarze czasu, zahaczyłyśmy w tym momencie o siebie w przestrzeni zaledwie o włos: o tę jednorazową, wspólną grę w dwa ognie.

Kiedy myślę o tamtym okresie, staje mi najczęściej przed oczami taki obraz: pokój tonie w żółtym blasku, przenikającym przez zaciągnięte story, nikły powiew raz po raz wydyma brzegi zasłon i przez tę krótką chwilę światło staje się jeszcze ostrzejsze, buchający z ulicy żar jeszcze gorętszy, a krzyki pod oknem jakby bardziej wyraziste. Rozróżniam zachrypnięte z emocji: „Strzelaj!” albo: „Podaj!” i głuche kłapanięcia starej, na wpół zdechłej piłki, którą nasi chłopcy grają w futbol. Siedzę w fotelu i czytam. Futbol mnie nie interesuje, a zresztą za nic na świecie nie ruszę się z miejsca aż do chwili, gdy Mała Księżniczka powie cicho, jak gdyby w transie: „A ja byłam przez cały ten czas u panny Minchin. Po drugiej stronie muru” – zawsze czekam na ten moment i na lzy, takie miłe i takie niezawodne. A kiedy już wytarłam zapłakane oczy i odetchnęłam z błogością, okazuje się, że na ulicy panuje cisza. Oznacza to, że banda przeniosła się na „budowlę”, że koniec z piłką nożną. Więc nagle zaczynam się spieszyć, chcę jak najszybciej być tam, z nimi, bawić się „w złodziei i policjantów” i tym samym ochryplym głosem wrzeszczeć do zupełnej utraty tchu: „Padnij!”, „Strzelaj!”, „Kryj się!”.

Tyle pamiętam. I jeszcze to, że nie lubiłam wtedy specjalnie nikogo, za to lubiłam być razem z nimi wszystkimi i żałowałam każdej zabawy, która odbyła się beze mnie. Jakże inaczej aniżeli zafascynowaniem

wspólnym dzieciństwem, klimatem „budowli” i nigdy więcej nie znanym urokiem wielkich, hałaśliwych zabaw, mogłabym wytłumaczyć to, że przepisuję na maszynie bazgroły Ewy, tracę nad nimi czas, wzbogacam je (lub zubożam?) swoimi tu i ówdzie wtykanymi uwagami i przy tym wszystkim staram się nawet nie myśleć, czy to ma jakiś sens i czy ktokolwiek będzie chciał czytać te już teraz trochę wspólne wspomnienia? Wprawdzie od początku nie ukrywałam, że między mną a Ewą zawiązał się kiedyś zły supel, którego już się nie da rozplątać. i że od razu tam, w Bautzen, zlekłam się, czy zagarnięte przez Niemców zeszyty nie zaważyły na losach opisanych w nich ludzi. Obie te przyczyny mają jednak odcień negatywny i w najmniejszym stopniu nie tłumaczą żywej przyjemności, z jaką wróciłam w czasie sprzed tylu lat.

Słowo „wróciłam” przywołuje mnie do porządku: czas najwyższy skończyć z kolejnym pretekstem mówienia o sobie, czas wrócić do pamiętnika.

Pamiętnik Ewy

O PORZĄDKACH, ZWIERZĘTACH I BLISKIM KOŃCU WOJNY

7 V 1944

Poczty jest teraz tak dużo, że musiałam nadpruć obrębek w kilku miejscach. Gdy idę ulicą, sztywny, zapięty paroma agrafkami brzeg sukienki obciera mi kolana. Zdarza się też, że oprócz bibułek dostaję paczki, zawsze bardzo ciężkie. Nie mam wątpliwości, co się w nich znajduje. Chociaż raz niosłam coś takiego, z czym nie wolno mi było się przewrócić ani upuścić tego na ziemię. „Sfajczysz się jak zapalka” – ostrzegł mnie chłopak, który dawał paczkę. Nie wiem, co to było, granaty ani amunicja przecież się nie palą. Jak widać, doniosłam szczęśliwie.

Ostatnio miałam taką drobną przygodę: czasem zdarza się, że nie jadę na punkt, tylko czekam w jakimś miejscu na ulicy, zawsze tam, gdzie jest duży ruch. Wtedy stałam na schodach Poczty Głównej na placu Wareckim, w rękę trzymałam podręcznik do geografii, po którym miano mnie rozpoznać, i rozglądałam się wśród mijających mnie ludzi. I nagle zobaczyłam naraz dwie osoby: młodego faceta, który wyraźnie przepychał się w moim kierunku, i stryja Ludomira idącego wprost na mnie, na szczęście zamyślnego i jeszcze mnie nie widzącego. Zanim zdążyłam pomyśleć, już dałam nura za czyjeś plecy. Gdyby mnie stryj zauważył, nie wytłumaczyłabym się przed nim i przed mamą do końca życia, czego szukałam na Poczcie Głównej w tym czasie, kiedy odbywają się lekcje! Wstyd się przyznać, ale zrobiłam się mokra jak mysz.

Równocześnie ten chłopak uskoczył w drugą stronę, wmieszał się w tłum i straciłam go z oczu. Stryjek wszedł do środka, więc wróciłam na poprzednie miejsce, ale dalej okropnie się bałam, bo mógł przecież w każdej chwili wyjść z poczty i mnie zobaczyć. Na szczęście mój facet znalazł się po paru minutach i tylko, zamiast bez słowa przekazać mi przesyłkę, przywitał mnie głośnym: „Cześć!”, sprowadził za łokieć ze

schodów i kiedy znaleźliśmy się na chodniku, zapytał, co to takiego było.

– Rodzony stryj – powiedziałam.

Roześmiał się, oddał paczkę i klepnął mnie po plecach:

– No to fruważ!

9 V 1944

Wróciłam nareszcie do mego dawnego pokoju i ciągle mnie cieszy, że mam tu tyle miejsca dla siebie, że jest balkon i że śpię znowu na własnym tapczanie. Od dawna nudziłam, że czas na przeprowadzkę, ale mama ciągle nie była za bardzo przekonana. Wspominała, jak zwykle, taki rok trzydziesty piąty, kiedy jeszcze w maju spadły wielkie śniegi. I w ogóle wysuwała mnóstwo zastrzeżeń.

– Czy to warto? – mówiła ostatnio – lato takie krótkie, przyjdą zima i znowu się będziesz przenosić do małego pokoju...

Ale tu wtrąciła się ciocia Zosia:

– A cóż ty opowiadasz takie rzeczy, Paulino? Jakie znów zimna? Już tej zimy to my się nie musimy obawiać. Będzie normalne życie, będzie węgiel, wszystko będzie!

– Oby... – westchnęła mama. Ale już nie protestowała, zapowiedziała tylko, że porządki mam zrobić sama.

Robiłam je całe trzy dni. W pokoju leżały pokłady kurzu, trzeba było pozdejmować z półek wszystkie książki, zeszyty i stare zabawki, a kiedy już to zrobiłam i rozsiadłam się wśród nich na podłodze, to wstałam dopiero po jedenastej w nocy.

Przed wieczorem Marek wetknął na chwilę głowę do pokoju, jęknął: „O Chryste Panie!” i cichutko zamknął drzwi za sobą. Drugiego dnia odkurzyłam i poukładałam wszystkie szpargały, a dopiero trzeciego umyliśmy z Markiem okna i zapastowaliśmy podłogę. No i wreszcie mieszkam na własnych śmieciach razem z Cezarem i Kleopatrą. Mama była w rezultacie zadowolona, mówiła, że przynajmniej nie będzie się wciąż nadeptywało na żółwie.

Niestety zadowolenie zaraz jej przeszło, bo właśnie dziś pan Grzybowski namówił mnie, żebym sobie wzięła dwa małe króliczki. On hoduje w ogródku całe stado królików i ostatnio zaczęła się wśród nich jakaś epidemia, padają jeden po drugim, zwłaszcza dorosłe sztuki. Z tego powodu nie chciał nawet ode mnie pieniędzy, powiedział, że mu

zapłacić później, jeśli się te moje uchowają. Dał mi też dla nich drewnianą skrzynkę z siatką z przodu i nauczył, czym trzeba je karmić.

Wybrałam sobie parkę, białego samczyka i srebrnoszarą samiczkę. Skrzynkę wstawiłam na balkon, naniosłam piasku i zieleniny. Gdy mama wróciła z pracy, to już wszystko było gotowe, ale okazało się, że lepiej byłoby na nią zaczekać. Mama mówi tak: jeśli to jest jakaś zaraża, to one pewnie nie wyżyją i będę miała zmartwienie; a jeśli nawet przetrzymają, to co z nimi zrobimy na jesieni? Trzeba je będzie oddać z powrotem panu Grzybowskiemu, który je przecież zabije na mięso i na skórki. Zdaje się, że tym razem rzeczywiście palnęłam głupstwo.

12 V 1944

Już i mama zauważyła, że wojna się kończy. Niestety, jak zawsze obróciło się to przeciwko mnie. Przy kolacji powiedziała nagle:

– Ewa, jak ty jesz? Czy nie możesz brać do ust mniejszych kęsów?

Na to ciocia natychmiast:

– Marek, co znaczy ta ręka pod stołem?!

I znów mama, z wielkim żalem:

– Czy ty już zupełnie nie pamiętasz, czego się ciebie uczyło przed wojną? Przecież jak przyjdą normalne czasy, to wstyd się będzie z tobą pokazać między ludźmi! Jak ty siedzisz? Gdzie te łokcie?

Czy pamiętam? Dobre sobie! Kto by zapomniał o tych wszystkich torturach: „Nie wiosłuj łyżką w zupie”, „Jak trzymasz widelec”, „Siedź prosto”, „Nie mów z pełną buzią”. A te książki wsadzane pod pachy, żeby łokcie musiały przylegać ściśle do boków, żeby poruszały się tylko dłonie i przedramiona? A linijka pod sukienką, wetknięta z tyłu za gumkę od majtek, żeby się nie można było zgarbić? Takie to rzeczy wyprawiała ze mną moja babcia i mogę przysiąc, że nie zapomnę ich do końca życia!

Tymczasem obie panie mówiły tylko o tym, jak przez pięć lat wywie-trzała z nas obojga wszelka „kindersztuba” i że jest to ich własna wina, którą będą musiały odrobić. Ale cały czas miały pretensję do nas. Mia-łam wielką ochotę powiedzieć, co o tym myślę, ale powstrzymało mnie mrugnięcie i uśmiezek Marka w moją stronę. Zresztą po chwili zaczę-ły się martwić innymi sprawami. Że kraj wychodzi z tej wojny zrujno-wany, że najlepsi ludzie wyginęli. Że zostali przede wszystkim sprycia-rze lub tchórze, a przy tym zdemoralizowani, nauczeni złodziejstw i

kręta, więc nowa władza będzie musiała mieć trzeźwe oko i mocną rękę, żeby sobie poradzić z tym wszystkim. Później mama zaczęła się niepokoić, z czego będziemy żyły, kiedy ludzie przestaną już używać dółcyny.

– Gdyby żył Jurek – mówiła – to byłabym spokojniejsza, nacierze będą po wojnie potrzebni do postawienia na nogi przemysłu. Ale chemik – żywnościowiec...?

Więc znów ciocia: że chemik zawsze znajdzie pracę, gorzej z nimi, pan Wysocki był oficerem i już nie jest młody, ona nie ma żadnego fachu.

– Ale Marek jest już dorosły – powiedziała mama. – Jeszcze parę lat i zarobi na was wszystkich.

– Wtedy będzie pewnie chciał założyć własną rodzinę – rzekła ciocia, a mnie się serce ścisnęło, że rzeczywiście to może się stać już niedługo i co wtedy będzie ze mną? A Marek zezłościł się:

– Czy w ogóle jest sens mówić o tych sprawach już teraz?

Pan Wysocki, który dotąd prawie się nie odzywał, powiedział z naciskiem:

– Masz rację, synu, nie warto. Jesteś w tym wieku, że jeszcze wszystko może się zmienić.

Wtedy znów Marek, jakby mu się to poparcie wcale nie spodobało:

– Najważniejsze, żebyśmy przeżyli. Bo co do innych spraw, to nic się nie zmieni. Mogę ci to, tato, obiecać na pewno.

Tak więc wszyscy są podminowani i każdy zastanawia się, jak to będzie, gdy wojna się już skończy. A ja już teraz boję się tej wolności. Po rozmowie, którą opisałam, dotarło do mnie nagle, że wraz z końcem wojny skończy się też nasze wspólne mieszkanie. Już nie umiem być bez Marka. Teraz jakoś się trzymam, bo on jest tuż. Ale jak „założyć rodzinę”? Czy można w ogóle żyć z czymś takim?

A poza tym myślę, że po wojnie będzie chyba strasznie nudno. Próbuję sobie przypomnieć, co się robi w takim „normalnym” życiu. Co wtedy jest ważne? O czym się mówi? Nic mi jakoś nie przychodzi do głowy. Przecież nikt tak z dnia na dzień nie uwierzy, że nagle trzeba się zajmować wyłącznie nauką. Pamiętam, że przed wojną chodziło się do kina. No więc będę chodzić do tego kina. I co z tego?

Były imieniny cioci Zosi. Oczywiście miała zamiar uciec tego dnia na Saską Kępę, ale mama powiedziała:

– Jeżeli nie chcesz mi zrobić wielkiej przykrości, to urządzisz imieniny w domu.

Ciocia zrobiła przyjęcie i było bardzo miło. Pomagałam jej w wypiekach (głównie polegało to na tym, że tarłam marchew na piernik, podzierałam sobie skórkę na kostkach palców i lepiej nie mówić, ile mojej krwi naciekło do tego piernika), a jak już przyszli goście, to podawałam do stołu. I nie sama, bo z Markiem. Było strasznie przyjemnie, bo wszystko robiliśmy razem. Marek mówił: „Ewka, podawaj herbatę, a ja przyniosę ciasto”. Albo ja mówiłam: „Marek, postaw czajnik na gazie, a ja opłuczę filiżanki”. To było wspaniałe. Baśka Borzęcka patrzyła na nas wielkimi oczami i w pewnej chwili odciągnęła mnie na bok.

– Wyście się chyba zakochali w sobie, co? – zaszepotała. – Powiedz, błagam cię!

Ja wzruszyłam ramionami i popukałam się palcem w czoło.

Kuzynki z Saskiej Kępy też nagle zaczęły mnie zauważać. „Ewuniu, to...”, „Ewuniu, tamto...” Ja byłam dla nich bardzo miła, bo widziałam, że Marek zajmuje się nimi tak samo jak wszystkimi pozostałymi gośćmi. Było z piętnaście osób nie licząc domowników.

Prezent, który przyszykowałam dla cioci, ogromnie się podobał. Uszyłam jej fartuszek. Jeżeli któraś z nas ma jakąś domową uroczystość, to pani Żabińska pozwala szyć na lekcji i jeszcze chętnie doradza i pomaga. Bardzo morowe jest to Żabsko. A fartuch wyszedł ślicznie. Czerwony jak maczek, ma zielone kieszenie i obsyty jest u góry zieloną lamówką. Mama zaczęła się przymawiać o taki sam, bo jej imieniny są w przyszłym miesiącu, na Piotra i Pawła. Nie wie, że dostanie coś jeszcze lepszego: bluzkę z brązowego płótna, które od przed wojny leżało u nas i leżało, bo mama szyć nie umie, a na krawcową dla siebie nie chce wydać ani grosza. „Ja nie rosnę” – mówi, gdy tłumaczymy jej, że nie można ciągle tylko mnie obsprawać. Ta bluzka będzie sportowa, z długimi rękawami, z kołnierzykiem, który można zapiąć pod szyję albo wyłożyć. Brąz świetnie pasuje do beżowego kostiumu, na jesieni będzie jak znalazł. Wszystko już skroiliśmy, ale bluzka zostaje w szkole, w specjalnej szufladzie pani Żabińskiej.

W czasie tego całego gospodarowania zorientowałam się, że wcale

nie wiem, kiedy są imieniny Marka, bo chociaż już tyle miesięcy żyjemy pod wspólnym dachem, to takiej uroczystości jeszcze nie było. Zapytałam go i okazało się, że jednak je obchodził we wrześniu, w tym czasie, kiedy u nas była rozpacz z powodu Tatusia. Dlatego nikt na ten temat słowem nie wspomniał. To dobrze, będę miała całe lato, żeby coś dla niego wymyślić i przygotować.

18 V 1944

Moje królisie tylko przez dwa dni czuły się dobrze i były wesole. Później straciły apetyt i zrobiły się nieruchawe, a jeszcze później zobaczyłam, że spod Szarusi wypływa czerwonawy strumyczek. Następnego dnia krwawił już także Puszek. Uszy miały gorące, czerwone, z nabrzmiałymi żyłkami. Poleciałam powiedzieć o tym panu Grzybowskiemu. Mruknął:

– To to samo. Jutro albo pojutrze zdechną.

No i umarły, w takiej samej kolejności w jakiej zachorowały: najpierw Szarusia, potem Puszek. Zakopałam je na działkach, obok siebie.

Miałam też dziś wielką awanturę z całą kamienicą. Przez tego durnia Cezara. To jest żółw – idiota. Kleopatra chodzi jak Pan Bóg przykazał – po podłodze i na nic nadzwyczajnego się nie porywa, a ten kretyn bez przerwy wspina się na meble, bo uważa, że każdą przeszkodę trzeba koniecznie pokonać wprost i że ominięcie jej byłoby plamą na honorze. W pokoju kończy się to przewróceniem na grzbiet i bezradnym gmeraniem nogami w powietrzu, dopóki ktoś tego nie zauważy i nie odwróci go na nogi. Ale teraz stale są otwarte drzwi na balkon i oba żółwie głównie tam urzędują. Zestawiliśmy skrzynki do kwiatów na dół, tak, że na podłodze balkonu zrobił się szczelny płatek, ale co z tego? Ten cymbał potrafi stanąć na tylnych łapach, podeprzeć się ogonem, pazurami przednich nóg zakotwicza się o brzeg skrzynki i winduje się w górę niepowstrzymanie jak czołg. A że ma zwyczaj chodzić tylko po liniach prostych, nie skręcać pod żadnym pozorem, więc kiedy już przelezie przez szerokość skrzynki – wali na łeb z drugiego piętra. Pod moim balkonem jest skopany trawnik i rosną na nim kartofle, to wszystko jest dość miękkie, więc dotąd (a było tych skoków coś ze sześć) jakoś mu się udawało i albo znajdowałam go gdzieś niedaleko, albo mi go ktoś odnosił. Zdawałoby się, że wszyscy już przywykli do

tych jego wyczynów. Ale dziś nie miał szczęścia, trafił widocznie na kamień i pękł mu pancerz na brzuchu. I to na wylot, bo w szparze widać nawet troszkę krwi. Zrobiła się z tego nagle wielka awantura, zleciało się mnóstwo różnych ludzi i wszyscy na mnie, że trzymam stworzenie, a nie pilnuję. Nawet pani Dąbkowa dołożyła swoje:

– Przecież to nie pierwszy raz, przecież Ewa wiedziała...

No i co z tego, że wiedziałam?! Muszę chodzić do szkoły, nie mogę cały dzień siedzieć i przyglądać się, co robi ten bandyta!

Wyłuszczam się na niego, a równocześnie strasznie mi go żal. Wymościłam skrzynkę po zaskrońcu, włożyłam świeże liście dymuchawca, postawiłam wodę. Ale nie je i nie pije, leży na dnie bez ruchu. Poprosiłam Marka, żeby zbliżył rękę do jego głowy (mnie Cezar się nie boi), chciałam sprawdzić, czy wciągnie lepek pod skorupę. Nie drgnął nawet i to chyba jest bardzo niedobry znak. Najbardziej mi przykro, że on nie ma głosu i nie może się poskarżyć, jak go boli.

Zółw a sprawa polska

Historię o Cezarze możemy także przeczytać gdzie indziej. Tam brzmi ona tak:

Widzę zbiegowisko na ulicy. Z balkonu na górnym piętrze spadł żółw, pękł mu na pół jego bunkier, pokazała się krew. Zbiegły dzieci, które go nie pilnowały, za nimi matka. Głosy ludzi przeciw niej stają się coraz bardziej ostre i gwałtowne. Parzę, że krew stworzenia jest czerwona jak ludzka, ale gdyby to była krew ludzka, czyby tu znalazł się ktoś, kto by śmiał tak głośno urągać?

(Tadeusz Breza: „Nelly”).

Relacja Ewy jest na pewno bardziej ścisła: gniew ludu podniósł się przeciwko córce, nie przeciwko matce. Jakoś trudno wyobrazić sobie panią Paulinę zbiegającą po schodach do żółwia. Nie, te cięgi zebrała bez wątpienia sama Ewa, nikt więcej. Zresztą to drobiazg bez znaczenia. Uderzyło mnie natomiast ostatnie zdanie tekstu Brezy. Czy wyraża ono wspólne nam wszystkim poczucie bezsilności? Może. Ja jednak wyczuwam w nim ton dystansu, jaki przybiera obserwator wobec tłumu. Zapewne jest to odczucie subiektywne, może niesłuszne, dlatego jednak owo zdanie nie brzmi „...czyby wśród nas znalazł się ktoś, kto by śmiał tak głośno urągać?” Wolalabym taką wersję. W autentycznym brzmieniu owego zdania odczytuję ocenę nas wszystkich jako społeczności czułostkowej, a mało mądrej, awanturującej się z powodu zwierzęcia, a nabierającej wody w usta, gdy chodzi o człowieka...

Chcę być sprawiedliwa: ot, taka tam refleksja pisarza, łatwe uogólnienie. Tym łatwiejsze, że pozornie prawdziwe. Przed naszym wspólnym domem kilka razy czerwieniła się ludzka krew. I nie było urągań.

Może więc, nie swarząc się już z Brezą, warto sobie przypomnieć, co było?

Było głuche milczenie, twarze zastygłe i zaciśnięte pięści. Tak jak wszędzie. Proszę mi pokazać takie zbiorowisko, w którym by wtedy słyszało się coś więcej niż pomruk, przekleństwo, czy krótki, zdławiony zaraz okrzyk. Milczenie było zasadą elementarną. Więcej – sam instynkt samozachowawczy narzucał je jako jedyną postawę tam, gdzie człowiek przebywał stale, gdzie go widywano codziennie. Zszarzeć, zatrzeć cechy wyróżniające, roztopić się w tłumie... A przede wszystkim jak najmniej mówić.

Piszę truizmy... Wówczas to też były truizmy, które znali nawet najmłodszy. A jeśli nie znali, to uczyli się ich bardzo szybko, niekiedy w drodze bolesnej praktyki. Jedna z dawnych mieszkanki naszego domu opowiadała mi, że pewnego dnia, stojąc w gronie starszych dzieci, powiedziała:

– A mój brat chodzi na komplety...

Wówczas Ewa oświadczyła:

– Taak? Bardzo ci dziękuję za tę informację. Jestem volksdeutschką i zaraz zawiadomię o tym Niemców.

Dziewczynka, która wyrwała się tak niefortunnie, miała wówczas sześć lat. Później żyła przez wiele miesięcy w okrutnym strachu, nikt bowiem nie oświecił jej, że to była tylko niewinna lekcja okupacyjnego stylu życia. Lekcja skuteczna, bo odtąd dziewczynka zrobiła się niema jak ryba. Wszyscy w naszym domu byli niemi. Jeśli w nocy wyprawiano kogoś do „budy” – dom milczał. Jeśli nagle zniknął chłopiec, który dotąd przykładowo uczęszczał do szkoły i rodzina sączyła skąpe: „wyjechał” – dom udawał, że wierzy. Jeśli na chodniku leżał trup – patrzono na niego bez słowa.

Czy dlatego mieliśmy być obojętni dla biednego żółwia?

No i proszę... Pomimo odżegnywania się – znów powrót do żółwia! Z komentatora zamieniłam się nagle w zaperzonego obrońcę własnych wyobrażeń o moim dawnym domu. A przecież, choć niechętnie, muszę jednak dopuścić myśl, że oglądani innymi oczyma wyglądaliśmy jednak inaczej. Jako historyk powinnam wiedzieć, że dopiero suma spojrzeń subiektywnych może nas zbliżyć do obiektywnego obrazu jakiegś tam przeszłości. Niestety, tam, gdzie chodzi o przeszłość najnowszą, owa wiedza pozostaje dla mnie ciągle czczą teorią, a sądzę, że nie jestem wyjątkiem.

Pamiętnik Ewy

O ROZCZAROWANIACH

1 VI 1944

Cezar umarł. Kończą się moje zwierzaki. Tomcia nie ma, z kijanek dawno zrobiły się żaby i wróciły do Morskiego Oka, komary odfrunęły, króliki zdechły. Została tylko Kleopatra, ale niewiele z niej pociechy. Żyje własnym życiem, nie przychodzi na stukanie palcem o podłogę (Cezar przychodził, jeśli akurat miał ochotę). Jestem jej potrzebna tylko po to, aby dawać jeść. Dwa lata temu miałam pełno różnych stworzeń, bo jeszcze zaskrońca, białe myszki i morską świnkę. Wspólnie z Mładszym Bliźniakiem hodowaliśmy też rybki – żyworodki i trytony. Ale jak przyszły zimna i trzeba było się wynosić z mojego pokoju, to mama kazała większość porozdawać. Mówiła, że taką menażerię można jeszcze znieść, kiedy jest jako tako odseparowana od reszty mieszkania i kiedy okna są szeroko otwarte. Rzeczywiście, trochę to wszystko śmierdziało. Mnie ten zapach nie przeszkadzał, ale mama twierdziła, że nie mamy prawa zapowietrzać sublokatorów. Smutno, kiedy się pomyśli, że tyle rzeczy mija.

3 VI 1944

Dotąd mało myślałam o wakacjach. Najwyżej o tym, że szkoła się skończy, Marek pozdaje te swoje matury i będziemy mieć dużo wolnego czasu. A dzisiaj mama powiedziała, że na lipiec i sierpień załatwia dla nas obu pokój w Komorowie! To był grom z jasnego nieba. Błagałam, żeby tego nie robiła, żebyśmy zostały w Warszawie, mówiłam, że tak mi dobrze było w domu w zeszłym roku, że w zimie pierwszy raz prawie nie chorowałam i wcale mi ten wyjazd nie jest potrzebny. Wszystko na nic!

– Czasy są niespokojne, w ciągu tych dwóch miesięcy front musi się przesunąć przez Warszawę, a wszyscy mówią, że lepiej wtedy nie być w mieście.

Krzyknęłam:

– W trzydziestym dziewiątym też „wszyscy” mówili, że trzeba się wynosić z Mokotowa i przez to idiotyczne gadanie o mało żeśmy się nie dały ukatrupić w Śródmieściu!

Mama naturalnie rozgniewała się i powiedziała, że nie ma zamiaru ze mną dyskutować. Będzie tak, jak postanowiła.

A co będzie ze mną?! Co będzie z roznoszeniem poczyty?! Przecież ja muszę teraz prawie codziennie jeździć na punkt albo gdzie indziej, gdzie mi każą. Jak ja sobie poradzę? I dwa bite miesiące bez Marka, w czasie tego frontu być daleko od niego, nie wiedzieć, co się z nim dzieje, czy się co nie stało! Bo państwo Wysoccy zostają naturalnie w Warszawie, nie mają pieniędzy na takie luksusy jak wakacje na wsi. To mamy nie obchodzi, nie, skądże. A taka niby przyjaźń!

Marek, który był przy mojej awanturze z mamą, przyszedł tu do mnie właśnie wtedy, kiedy pisałam poprzednie zdanie. I też mnie zrugał. Za moje krzyki i za to, że znowu nie rozumiem mamy, która podobno robi to, co każda matka: ponieważ rzeczywiście na wsi powinno być bezpieczniej, więc chce mnie wywieźć z miasta. Powiedziałam, że chyba on się orientuje, że ja nie mogę, nie wolno mi być poza Warszawą. Odpowiedział:

– Wiem. Sytuację masz naprawdę fatalną i co gorsza, nie mogę ci w niczym pomóc, choćbym na głowie stanął. Ale przyznaj, że to w najmniejszym stopniu nie jest winą mamy.

Przyznaję. I co z tego?! Rozmawialiśmy długo o tej mojej sytuacji i on też nie potrafił niczego wymyślić. Bo ani jasne postawienie sprawy przed mamą nic nie da (wywiezie mnie tym bardziej i jeszcze będzie tak pilnować, że kroku sama nie zrobię), ani rozmowa z Werą, która powie, że jest zdumiona słysząc takie rzeczy, gdyż moje prywatne sprawy nic a nic jej nie obchodzą.

Przez to ja już nie przebrnę. Tyle razy gimnastykowałam się, wyczyślałam różne, czasem dość paskudne rzeczy i w końcu jakoś dawałam sobie radę. Ale teraz już koniec. Nie ma wyjścia. Muszę się zastanowić; co się robi, kiedy nie ma wyjścia.

5 VI 1944

Myślałam, myślałam i nic nie wymyśliłam. Muszę poczekać, aż się znajdziemy w tym Komorowie, może tam się coś wyjaśni. Tymczasem

ciągle latam z pocztą, praktycznie już codziennie. Co do sprawy z Markiem, to powiedziałam sobie tak: skoro w przyszłości i tak będziemy żyli osobno, to czy to nie wszystko jedno, kiedy się zacznie? Swoje i tak trzeba przecierpieć, teraz albo później.

W Warszawie szła radość: alianci wylądowali we Francji i inwazja, której wszyscy tak czekali i o którą się tak bardzo bano, udała się całkowicie. Dziś już nawet niemiaszki puściły farbę i w „Szmattawcu” (jak mówi się o szwabskiej gazecie dla Polaków) napisały kilka krótkich, ale jakże wymownych zdań! Wreszcie ruszył ten wymarzony drugi front, adolfiaki siedzą w kleszczach jak orzeszek i tylko patrzeć, jak chrupną.

14 VI 1944

Może dziś uda mi się opisać to, co przeżyłam. Wydarzenie to miało miejsce już parę dni temu, ale nie mogłam o nim myśleć, mimo że właściwie nic się takiego nie stało.

Wera spotkała się ze mną w bramie na Marszałkowskiej. Było rano, więc tylko wyskoczyłam ze szkoły na dziesięć minut. Dała mi paczkę owiniętą w gazetę i kazała ją zawieźć o czwartej po południu na ulicę Chmielną, podała adres i hasło: „Czy tutaj mieszka pani Jabłońska?” Odzew miał być: „Nie, tu nie mieszka pani Jabłońska, tu mieszka pani Jabłkowska”. Pojechałam więc po południu, chociaż to nie było łatwe, bo ostatnio miałam same regularne kursy o innych godzinach i ten wymagał nowych kłamstw w domu.

To mieszkanie było na parterze, na schody wchodziło się z podwórza. Otworzył mi jakiś dorosły chłopak, powiedziałam:

– Przepraszam, czy tu mieszka pani Jabłońska? – i przeraziłam się, bo mi się wyrwało to idiotyczne „przepraszam”, a do hasła nie wolno niczego dodawać. Ten chłopak odpowiedział:

– Tak, tak, tutaj.

Wciągnął mnie za ramię do korytarza, a z korytarza do pokoju. W pokoju, twarzą do ściany, siedział jakiś mężczyzna, a drugi stał nad nim z rewolwerem w ręku. W głębi było biurko, za biurkiem siedział gestapowiec. Przed nim leżał automat i kilka granatów, wszędzie było pełno jakichś porzucanych kartek, na któreś przeczytałam tytuł „Biuletyn Informacyjny”. W mojej paczce też był „Biuletyn”. Zaczęli

mnie pytać, kto mi to dał. Mówiłam tak jak umiałam: że starsza pani podeszła na ulicy, powiedziała, że źle się czuje, prosiła, żeby tu zawieźć. Śmieli się, że słyszą to dziś już któryś tam raz z rzędu. Właściwie mówił tylko ten cywil, który mnie wprowadził. Gestapowiec milczał. Powtarzałam na okrągło o tej pani, aż cywil zaczął na mnie wrzeszczeć. Wtedy odezwał się do gestapowca:

– Herr Offizier, das ist ein Missverständnis...* – ale cywil ryknął: „Halte Maul**”**, powiedział, że dają mi pięć minut czasu do namysłu, a później będziemy rozmawiać inaczej. Wyszli, wyprowadzili tego mężczyznę spod ściany. Wtedy strasznie się zezłościłam na mamę, że nie daje mi nosić zegarka i nie będę wiedziała, kiedy minie pięć minut. I zezłościłam się też na siebie za to, że kiedy jeszcze w domu był cyjanek potasu, nie odsypałam trochę na własny użytek. Chociaż to było dawno i skąd mogłam wiedzieć, że będzie mi kiedyś potrzebny? Wtedy mama specjalnie powiedziała mi, co to jest i jakie ma działanie, żebym broń Boże nie dotykała słoika i nie wachała go. Wszystkie te złości trwały zresztą bardzo krótko, bo pomyślałam, że muszę się dać zastrzelić, zanim zaczną „rozmawiać inaczej”. Otworzyłam okno i wyskoczyłam na podwórze. Byłam pewna, że zanim przez nie przejdę, muszą mnie zobaczyć na tle ściany przy bramie i wtedy będą strzelać. Nawet bolała mnie jakoś skóra na plecach. Ale nie strzelali. I nic się nie stało. A na ulicy też było zupełnie zwyczajnie.

W tramwaju stałam jak nieżywa, nic nie czułam, o niczym nie myślałam i dopiero kiedy konduktor kazał mi płacić, dotarło do mnie, że nie mam teczki i pieniędzy, i legitymacji szkolnej z adresem, że to wszystko zostało tam, a w domu jest Marek i wszyscy, i teraz zginą przeze mnie. Chyba musiałam coś bełkotać, bo konduktor przecisnął się do mnie i pamiętam, że mną potrząsał, a ja tłumaczyłam, że uciekłam z kotła, że gestapo ma moje dokumenty i zabiorą rodzinę. Na przystanku konduktor wyskoczył z wozu, zatrzymał pustą riksę, coś riksarzowi tłumaczył, widziałam, że dawał mu jakiś banknot, ale riksarz chyba nie przyjął.

– Siadaj – krzyknął do mnie. – Dokąd?

Podaliśmy adres. Nie pamiętam tej jazdy, chociaż pierwszy raz w życiu jechałam riksą i chyba długo, bo to przecież daleko. Wysadził

* Herr Offizier... (niem.) – Panie oficerze, to jest nieporozumienie.

** Halte Maul (niem.) – Mordę w kubel.

mnie na początku naszej ulicy, „Tylko uważaj” – powiedział. Pani Dąbkowa wyglądała przez okno, uśmiechnęła się do mnie zupełnie tak jak zawsze, na schodach też się nic nie działo. Zadzwoiłam do naszych drzwi, otworzyła mi Wiśka, chciałam wołać, żeby uciekali, ale przykryła mi usta dłonią. W stołowym Marek rozmawiał z kimś przez telefon, mama wyjrzała z kuchni:

– A, jesteś wreszcie. Dobrze, Wisiu, że się w ogóle doczekałaś tego pędziwiatra.

Wiśka wciągnęła mnie za rękę do mojego pokoju, powiedziała:

– Byłaś na Chmielnej, prawda? Przysłała mnie Wera, żeby cię uprzedzić, że to była tylko próba, że możesz się nie denerwować. No, próba, takie ćwiczenie na umiejętność wybrnięcia z sytuacji. Ja też tam byłam i Alicja. i Anka, tylko każda o innej porze. Ewka, oprzytomnij, nic się nie stało, zrozum! Ty naprawdę myślałaś, że to było na serio?! Ja tam od razu wiedziałam, że to lipa. A oni widzieli, że się nie boję, więc byli trochę obrażeni. Dziewczyno, nie przejmuj się, już wszystko jest w porządku.

Wiśka poszła, a ja nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić, gdzie się podziać. Chciałam, żeby było ciemno i żeby mnie nikt nie mógł znaleźć. Poszłam do przedpokoju, wlałam do wnęki z płaszczami, wisiąca tam kacabaja Marka. Zawinęłam się w nią i wtedy coś się ze mną zrobiło. Poczułam się tak, jakby mnie poraził prąd, ale nie ten zwyczajny, który boli, tylko jakiś inny. Strasznie silny i zupełnie cudowny. Myślałam, a właściwie to nie myślałam, tylko czułam, że umieram i to było takie nieładzko wspaniałe, jak jeszcze nigdy nic w życiu. Gryzłam tę jego kacabaję i mamrotałam „Marek, Marek” i nawet chyba krzyknęłam głośno w tym momencie, kiedy to cudowność była największa. I zaraz potem się rozplakałam. Ja już sama nie wiem, może ja zwariowałam od tego wszystkiego? Bo później, kiedy Marek usłyszał mój płacz i zaciągnął mnie do swojego pokoju, i zaczął wypytywać, co się stało, to ja nic mu nie umiałam wytłumaczyć i nawet nie wiedziałam, czy mi jest bardzo dobrze, czy bardzo źle. Dopiero trochę później już nie miałam żadnych wątpliwości, że mi jest źle. I tak samo źle jest teraz. Nigdy nie będę mogła nikomu powiedzieć, że mnie tak oszukano. Jak ja będę chodzić po Warszawie?! Przecież zawsze może się zdarzyć, że znowu spotkam tego konduktora i tego rikszarza, którzy...

15 VI 1944

Wczoraj moje pisanie skończyło się rykiem, ale trochę mi lżej. Muszę jeszcze dokończyć całą tę opowieść. Następnego dnia odzyskałam moją teczkę wraz z zawartością, odniosła ją Anka. Coś tam musiała mamie nakłamać, bo obeszło się bez wypytywań. Miałam zresztą akurat wysoką gorączkę, która zaraz minęła. Marek też musiał coś naga-dać doktorowi Kuleszy, który najpierw badał mnie, osłuchał i, nic nie znalazłszy, kazał dać aspirynę. Po jakimś czasie jednak wrócił do mego pokoju, mamę wyprosił za drzwi, a do mnie powiedział groźnie:

– Z lekarzem jak z księdzem: trzeba mu mówić prawdę. Jeśli pa-nienka miała ciężkie przeżycie, to nie ma co jej leczyć aspiryną. Dawaj pupę.

Zrobił mi zastrzyk i zaraz usnęłam, a jak się obudziłam następnego dnia, to już byłam zdrowa.

A dzisiaj Wera zwołała zbiórkę, na której ona i jakiś facet omawiali z nami tamto ćwiczenie. Mnie nawet pochwalili. Miałam ochotę ich pobić. Ich, ale też i Wiśkę, która przez cały czas tak ironicznie się uśmiechała, że czułam się przy niej jak zupełna idiotka.

W innych oczach

Wiśka zastanawia się przez chwilę:

– Czy ja się wtedy ironicznie uśmiechałam? Tak, to zupełnie możliwe. Mnie samej to wszystko wydało się dość prymitywne i dziecinne. Widzi pani, ja miałam rodzeństwo, a one wszystkie były jedynaczkami. Dzięki mojej siostrze Barbarze nasz dom był wówczas stale pełen chłopaków koło dwudziestki, widać znałam ich jak zły szeląg, ich poczucie humoru, ich sposób bycia. Nie umiem powiedzieć, co tam, na Chmielnej, kazało mi nabrać pewności, że to mistyfikacja, po prostu wiedziałam o tym od pierwszej chwili i zaczęłam się trochę wygłupiać w tej samej konwencji, jaką tamci narzucili. Robiłam to dyskretnie, grałam niby tę moją rolę ofiary, ale pomimo wszystko oni musieli zauważyć, że to tylko gra daleka od autentyzmu, jaki pewnie przebijał z zachowania pozostałych dziewcząt. Byli zde gustowani i kazali mi iść do diabła. Z tego, co wiem dzisiaj, wynikałoby, że nasi starsi koledzy byli wówczas w okresie impasu. Poszczególne grupy przeorganizowały się, konkretnej roboty było niewiele. Kilku z nich wymyśliło sobie widocznie taką formę szkolenia łączniczek. Czy wolno ich z tego rozgrzeszać, to już inna sprawa.

Wtedy my wszyscy, i starsi, i młodszy, byliśmy zapatrzeni w jeden cel: wolną Polskę. Dla tego celu byliśmy autentycznie gotowi oddać bez wahania „wszystko co nasze”. Tyle że łatwiej było oddawać w wyobraźni życie, niż uprawiać te mrówcze, monotonne zajęcia, które stały się naszym udziałem. Byliśmy w końcu na wpół dziećmi, i to dziećmi, które nie miały kiedy się wybawić. Toteż mocno, choć chyba podświadomie, przeżywałyśmy w naszej pracy każdy element przygody czy też po prostu zabawy, którą nam za wcześnie odebrano. Ja wydarzenie na Chmielnej rozumiałam jako coś w rodzaju harcerskiej gry, tyle że osadzonej w wojennych realiach. Dla Ewy, która wzięła je na serio,

stało się ono katastrofą. Toteż później, gdy dotarła do niej prawda, musiała się poczuć oszukana, bezsensownie i okrutnie.

Trzeba też pamiętać – kontynuowała Wiśka – że w ciągu tego ostatniego półrocza przed Powstaniem, mimo że widywałyśmy się codziennie i tyle nas łączyło, byłyśmy najbardziej samotnymi stworzeniami pod słońcem. Ze względów konspiracyjnych z dnia na dzień przestałyśmy ze sobą rozmawiać na najważniejsze dla nas tematy. To też nie było łatwe. Ja nie wiedziałam, dokąd chadzają moje koleżanki i gdzie są ich punkty kontaktowe, one nie wiedziały nic o mnie. Dopiero po wojnie okazało się, że często bywałyśmy w tych samych miejscach i stykałyśmy się z tym samym, wąskim kręgiem ludzi. Ale wtedy wszystko było tajemnicą. Myślę, że gdybyśmy mogły opowiedzieć sobie nasze przeżycia z Chmielnej, Ewa bardzo szybko wróciłaby do równowagi, a nawet poczułaby się z siebie dumna, do czego miała przecież pełne prawo.

O TRAGEDII W NASZYM DOMU

23 VI 1944

Znowu straszne, potworne przeżycie.

Wczoraj po południu, kiedy wszyscy byliśmy w domu, rozległo się wycie gestapowskich syren i zaczęło się zbliżać z szaloną szybkością. Rzuciliśmy się do okien: ulicą nadjeżdżała pędem kolumna wozów, wśród nich dwa z karabinami maszynowymi na dachu. Jeden skręcił za róg, drugi zatrzymał się prawie na wprost nas. Z pozostałych samochodów wysypali się błyskawicznie Niemcy i zaczęli biec w stronę domu. Pan Wysocki krzyknął:

– Precz od okien! Obstawiają blok, jeżeli jest coś w domu, zniszczyć!

Skoczyłam do mamy.

– Moje pamiętniki! – krzyknęłam, ale w tym samym momencie pan Wysocki, który stał ukryty za zasłoną, powiedział:

– Lecą na sąsiednią klatkę.

Chcieliśmy popatrzeć, ale nas zatrzymał.

– Nie zbliżajcie się. Dom jest obstawiony, stoją z pistoletami wycelowanymi w okna.

Zaraz potem posypały się strzały. Jakby podwójne: jedne na zewnątrz domu, a drugie, bardziej głucho, gdzieś w środku. Przez chwilę nie mogliśmy się zorientować, gdzie to wszystko się dzieje, i dopiero ciocia, która stała już prawie w przedpokoju, krzyknęła:

– To z tamtej strony!

Rzuciliśmy się do pokoju państwa Wysockich, którego okna wychodzą na drugą ulicę. Ale już była cisza. Minęło jeszcze trochę czasu, chyba bardzo niewiele, kiedy zawarczały silniki samochodów. Odjechali. Ciocia wyszła na balkon, rozejrzała się i gwałtownie cofnęła do pokoju.

– W ogródku leży zabity mężczyzna – powiedziała cicho.

Widzieliśmy go jeszcze długo, ciała zabrano, dopiero jak się ściemi- niło. Leżał twarzą do ziemi, na trawniku, był w mundurze kolejarza. Tuż obok niego leżała doniczka z czerwoną pelargonią, dwie takie same pelargonie stały jeszcze w otwartym oknie na trzecim piętrze, skąd skoczył. Tam, w mieszkaniu pani Jarowej, było wtedy pięć osób, ona i czworo młodych. Niemcy zastrzelili wszystkich, a za tym, który wyskoczył, posłali jeszcze serię przez okno. Ludziom mieszkającym pod panią Jarową wystąpiła na suficie czerwona plama. Już nigdy w żadnej ważnej chwili pani Jarowa nie zagra nam na swoim fortepianie.

Ryczę i trudno mi pisać. A zostały jeszcze do zanotowania ważne rzeczy. Ciocia spotkała Beredke na schodach, a ta, chociaż traktowała nas ostatnio jak powietrze, odezwała się nagle słodziutko:

– Przeżyliśmy wczoraj trochę emocji, prawda? Widziałam, że nawet ostrzelano nieco sam dom. Mam nadzieję, że u państwa nikomu nic się nie stało?

Ciocia powiedziała:

– Nie, u nas wszystko w porządku. A to, co się stało u pani Jarowej, bardzo nami wszystkimi wstrząsnęło.

– Ale chyba nie było zaskoczeniem? Wystarczyło się trochę przyjrzeć lokatorom pani Jarowej...

Uśmiechnęła się czarująco i weszła do siebie. Ciocia powiedziała, że ta kobieta jest albo absolutną idiotką, albo czuje się całkowicie bezkarna. I okazało się, że to drugie przypuszczenie jest trafne. W parę godzin później przed naszym domem zaczęło się coś dziać i na schodach rozległy się niemieckie wrzaski. Żołnierze taszczyli do ciężarówek meble, a do czarnej limuzyny wsiadła Beredke i oba jej cholerne aniołki. Marek powiedział przez zęby: „A niech to jasny szlag trafi!”. Był strasznie ponury, mówił, że już po historii z lokatorami wiadomo było, że Beredke trzeba zlikwidować i że nie rozumie, jak doszło do tego, że pozwolono jej uciec. Że oni obaj z Adzikiem dawali znać „wyżej” o jej wyczynach, a na pewno oprócz nich robiło to jeszcze szereg osób z tego domu. Ma nadzieję, że zawiniła tu czyjaś opieszałość, a nie co innego.

Mieszkanie pod nami jest już puste i zapieczętowane, na drzwiach pełno ponaklejanych świstków z hitlerowską „gapą”. Szukaj teraz wiatru w polu. Czy ci ludzie tam, z „góry”, musieli do tego wszystkiego dopuścić?! Nie mogę w żaden sposób pogodzić się z myślą, że ona mogłaby za to wszystko nie ponieść żadnych konsekwencji. To byłoby niesprawiedliwe, nieludzkie, sprzeczne z jakimkolwiek sensem świata!

Nie wiem, jakiej właściwie chciałabym dla niej kary. Chyba po prostu, żeby przestała istnieć. Nasza Jadzia marzyła czasem, jak to po wojnie wsadzi się Hitlera do klatki, będzie się go obwozić po wszystkich krajach, które cierpiały z jego rozkazu, i każdy będzie na niego pluł. Więc przez chwilę pomyślałam, że można by z Beredke zrobić to samo, ale uświadomiłam sobie, że ja bym pluć nie poszła i nie zrobiłaby tego żadna ze znanych mi bliżej osób. Zastanawiam się: jak to jest? Nie zależy mi na zemście, zależy mi na karze. Jest w tym jakaś różnica, tylko nie wiem jaka.

24 VI 1944

Mama rozmawiała przez chwilę z jednym starszym panem z klatki schodowej, na której się to stało. Jeszcze dzisiaj był zupełnie rozdygotany. Powiedział: „To byli Żydzi i jestem pewien, że wydała ich...” i tu wymienił nazwisko jednej pani z tej ich klatki. Ja tę panią znam i nie wierzę, nie wierzę! To taka zwyczajna, sympatyczna pani i przecież Polka, więc dlaczego miała to zrobić?! Ten starszy pan dodał jeszcze: „Wprawdzie spotkałem się też ze zdaniem, że zadenuncjował ich jeszcze ktoś inny, ale znam tego człowieka i wiem, że jest poza wszelkimi podejrzeniami. Wspominam o tym dlatego, że gdyby pani usłyszała jakieś kolejne nazwisko, proszę nie przyjmować tego bezkrytycznie”.

Więc okazuje się, że w naszym domu każdy obarcza winą kogoś innego! Spytałam mamę, czy powiedziała, że to przecież Beredke. Nie powiedziała, wcale nie powiedziała! Usiłowała mnie przekonać, że to wcale nie jest pewne. Jak to nie jest?! Przecież Beredke sama się przyznała w rozmowie z ciocią!

Wieczorem

Przed chwilą wstaliśmy od kolacji, przy której oczywiście mówiło się znów o tym samym. Mama powtórzyła to, co usłyszała, ja – to, co o tym myślę. A pan Wysocki powiedział o Beredce coś, co może rzeczywiście trzeba brać pod uwagę:

– Istnieje określony gatunek ludzi, którzy za wszelką cenę chcą stwarzać pozory, że wszystko wiedzą najlepiej, i to od dawna, choćby dowiedzieli się o czymś przed pięcioma minutami. A Beredke jest dostatecznie głupia i prymitywna, aby udawać taką właśnie wszechwiedzącą i nawet nie zdawać sobie sprawy z tego, w jakim ją to stawia

światle. Ta nagła wyprowadzka jest wprawdzie zastanawiająca, ale może to być zbieg okoliczności. Mnóstwo Niemców wieje na zachód, a Beredke jest za szczwana, żeby spokojnie siedzieć na wulkanie. Zupełnie niezależnie od tego, co się stało, mogła wcześniej załatwić sobie transport dla rodziny i gratów.

Brzmi to niby rozsądnie, ale ja i tak nie wierzę, żeby zrobił to ktoś z Polaków!

W czasie kolacji nagle pomyślałam, jak to właściwie jest, że my tu zwyczajnie siedzimy i jemy, i lampa pali się nad stołem, a oni gdzieś leżą lodowaci i po prostu ich już nie ma. Że się nie powinno tak normalnie żyć, że się powinno coś dla nich zrobić. Marek myślał chyba o tym samym, tylko jak zwykle mądrzej, bo w tej samej chwili odezwał się:

– Kiedyś dyskutowałem z takimi moimi kołesiami, co to do kina wprawdzie nie chodzą, żeby nie napędzać Niemcom pieniążków, ale poza tym bawią się całkiem wesoło i na przykład egzekucje wcale im w tym nie przeszkadzają. Ciekaw jestem, czy jeden z nich, dzisiejszy solenizant zresztą, zrobiłby potańcówkę imieninową, gdyby mieszkał w tym domu?

Mam nadzieję, że by nie zrobił. Ręki bym mu nie podała.

Znaki zapytania

Jedno jest pewne: nikt, kto otarł się o tę masakrę, nie rozstanie się ze wspomnieniem o niej do końca życia.

Ówczesny mieszkaniec naszego domu napisał po latach:

Wracałem do domu, w Warszawie. Mieszkaliśmy z żoną na lewych papierach... Ulica spokojna. Może zbyt spokojna, jak na moje konspiracyjne wyczucie. Wchodzę po schodach. Na I piętrze poczułem pod butami lepką ciecz; myślałem, że komuś wylał się sok wiśniowy. Na II piętrze ciemna plama, rozległa. Krew. Idę dalej. Zawrócenie z drogi może się komuś wydać podejrzane. Krew pod podeszwami. Poślizgnąłem się na niej i podparłem ręką. Palce czerwone. Idę jak automat na IV piętro, zostawiając rdzawe ślady. Dzwonię umówionym sygnałem. Żona szybko otwiera. Przerazona, lecz spokojna. Mówi, że niedawno gestapo zastrzeliło wszystkich lokatorów o piętro niżej. Jeden chłopak wyskoczył oknem i – postrzelony – zabił się w małym ogródeczku przy suterrenach kamienicy. Akcja hitlerowska trwała bardzo krótko, z zaskoczenia. Przed 10 minutami karetki zabrały trupy do prosekatorium.

To tę krew, polską, zmuszony byłem deptać. Wyjątkowe przeżycie. Nie wstręt i obrzydzenie, lecz ból, rozpacz i więź z ofiarami terroru. I bezradność... (K. Moczarski: Rozmowy z katem. „Odra” nr 9/139 z września 1972).

Nasza dozorczyńni opowiadała mi niedawno o swych przeżyciach, jeszcze teraz ze łzami w oczach i łamiącym się głosem. Zaraz po odjeździe gestapo, gdy przy ciałach został tylko granatowy policjant, ubłagała go, aby pozwolił jej zmówić nad zabitymi „Wieczne odpoczywanie”. Policjant uprzedził, że w obliczu „tych jatek” wszelkie słowa, nawet modlitwy, muszą uwięznąć w ustach, ale do mieszkania wpuścić. Widok był straszny. Czworo pomordowanych (piąty, jak wiemy, wy-

skoczył przez okno), wokół których rozlały się kałuże krwi, leżało ułożonych w rodzaj krzyża czy gwiazdy. Nie wiadomo, czy był to układ przypadkowy, czy też specjalnie zadbano tu o taką symetrię. Ten sam policjant dobił podobno młodszą z kobiet, dającą jeszcze słabe oznaki życia. I znów nie wiemy, czy zrobił to z litości, czy po to, by także mieć swój udział w tym wydarzeniu.

Dzisiaj, po latach, sporo już wyjaśniono. Piotr Stachiewicz („Parasol”, Wydawnictwo PAX, 1981) pisze, że w mieszkaniu, w którym doszło do tragedii, mieszkało trzech młodych ludzi, trzech żołnierzy harcerskiego batalionu „Parasol”, a także żona jednego z nich. Dwaj spośród nich byli Żydami. Trzeciego, o pseudonimie „Pajaczek”, aresztowano tego dnia w restauracji na Woli w chwili, gdy próbował zakupić broń od jakichś nie znanych ludzi. Przewożonego samochodem do gmachu gestapo w alei Szucha (obecnie aleja Pierwszej Armii Wojska Polskiego) zauważył jeden ze współlokatorów, który zawiadomił przez łączniczkę macierzysty oddział, a sam popędził do domu, by ostrzec pozostałych mieszkańców i uprzątnąć broń i dokumenty. Gestapo zjawiało się jednak niemal natychmiast. Ten, który próbował zapobiec katastrofie, wyskoczył przez okno i został dobity w „ogródku”. Pozostałych – drugiego z sublokatorów, jego żonę, właścicielkę mieszkania i do dziś nie zidentyfikowanego mężczyznę – zastrzelono na miejscu.

Zamordowanych pochowano staraniem batalionu „Parasol”. Uczestnikami nabożeństwa żałobnego było tylko dwoje ludzi: łączniczka „Parasola” i przedsiębiorca pogrzebowy. W pustej kaplicy stało pięć katafalków, a na nich pięć trumien – cytuje Stachiewicz relację łączniczki.

Na listę przypuszczalnych winnych trzeba teraz wpisać kolejne osoby. Nie znani ludzie, sprzedający atrakcyjną broń po niskiej cenie – prowokatorzy czy również ofiary własnej lub cudzej nieostrożności? „Pajaczek” – ofiara prowokacji, ale może jeden z tych rozpaczliwie i karygodnie beztrojskich młodych ludzi, którzy na zakup broni idą z prawdziwymi dokumentami, umożliwiającymi natychmiastowe dotarcie do konspiracyjnego lokalu? Nie wiadomo.

Znane obecnie fakty mogą sugerować, że akcja gestapo nie była spowodowana donosem na Żydów, lecz schwytaniem „Pajaczkę” na kupowaniu broni. Wskazywałoby na to znaczne zmasowanie sił niemieckich wokół domu i sposób zaatakowania mieszkania. Dlaczego.

jednak zabito wszystkich na miejscu, zamiast próbować wydobyć z nich zeznania w gestapo? Dlaczego nie przeszukano mieszkania, dzięki czemu już nazajutrz mogło ono zostać gruntownie oczyszczone z broni, sprzętu i dokumentów? Więc może jednak była to eksterminacja Żydów, na którą aresztowanie „Pajączka” nie miało żadnego wpływu? Także nie wiadomo.

Po upływie tylu lat nadal pozostają otwarte te same pytania: jaki był prawdziwy powód zamordowania pięciorga ludzi i kto powinien za to zapłacić. Ale odpowiedzi z pewnością nie będzie. Jeśli żyje jeszcze ten, kto ją zna, będzie milczał, jak i milczał dotąd. Wyrażę więc tylko moją osobistą nadzieję, że i przez ten cały miniony czas, i po ostatnie jego technienie będzie mu wiernie towarzyszyć widmo stryczka, który powinien był zacisnąć się na jego szyi.

Pamiętnik Ewy

O CZEKANIU

26 VI 1944

Wczoraj i dziś Marek zdawał egzaminy końcowe w szkole elektrotechnicznej. Poszło mu bardzo dobrze. Przez cały czas trzymałam za niego figi, nawet w szkole starałam się nie pisać, żeby nie rozewrzeć pięści. A dziś zobaczyłam, że wyjmuje z teczki maciupieńkiego, bardzo już wytartego misia.

– To moja maskotka – powiedział. – Ma tyle lat co ja, nazywa się Misiulek.

29 VI 1944

Dzisiejsze imieniny mamy nie były już takie przyjemne, jak imieniny cioci. Wszyscy jesteśmy przygnębieni, a mnie dodatkowo popsuła humor pani Borzęcka. Moja bluzka dla mamy zrobiła furorę. Świetnie leży i mamie jest bardzo do twarzy w takim ciepłym, głębokim brązie. Mama paradowała w niej przez całe imieniny, chociaż było może trochę za ciepło na długie rękawy, i wszystkim mówiła, że to ja uszyłam. Goście się bardzo zachwycali, pani Borzęcka także, choć równocześnie powiedziała:

– Ewka, słowo daję, że ty masz talent! Dlaczego sama siebie trochę nie obszyjesz, mogłabyś być ubrana jak lalka. Ładna dziewczyna, a chodzi jak dziecko z ochronki.

Nic jej na to nie odpowiedziałam. Nie umiem im wytłumaczyć, że nie chcę być dobrze ubrana, że strojenie się zostawiam takim... właśnie, lalkom! Ale nie było mi przyjemnie, że Marek usłyszał o tym „dziecku z ochronki”. Później, kiedy graliśmy w kierki z Bašką Borzęcką, pierwszy raz w życiu zauważyłam, że Baśka jest ubrana zupełnie inaczej niż ja i że wygląda dużo ładniej. Właściwie trudno powiedzieć, że graliśmy w kierki. Marek i Baśka usiłowali mnie nauczyć, ale nic z

tego nie kapowałam, zebrałam wszystkie kiery, króla kier, obie ostatnie lewy, wszystko. Bardzo to głupie i nudne.

Już pojutrze jedziemy do Komorowa. Jutro mam się spakować.

Komorów, 1 VII 1944

Przyjechałyśmy tu koło jedenastej. Marek pomógł nam w drodze, zataszczył walizy i zaraz uciekł do Warszawy, bo musi się uczyć. Matura dziesiątego lipca. Obiecał, że zaraz następnego dnia przyjedzie.

Trochę już rozpakowałyśmy się i umyły, a teraz siedzę w ogrodzie w hamaku i piszę. Rano padało i mama nie pozwoliła mi rozłożyć koca. Hamak się chwieje i dlatego wszystkie wyrazy wyglądają jak pijane węże. Jutro mam być na punkcie o godzinie dziesiątej. Teraz już wiem, że mama będzie codziennie jeździć do Warszawy, bo nie chce przerywać pracy. Nie wiem tylko, o której będzie stąd wyruszać i na którą wracać. Załatwiła obiady o dwie wille dalej, ale tylko dla mnie. Mówi, że nie może się zobowiązać do regularnego przyjeżdżania na posiłki, że będzie raczej jadać w Warszawie. Obiady są o drugiej, stąd wniosek, że do tej godziny będę miała czas na moje zajęcia.

Dalej zupełnie nie wiem, w jaki sposób będę się codziennie dostawała do Warszawy i wracała do Komorowa. Marek chciał mi pożyczyć pieniądze na kolejkę, ale zgodziłam się wziąć tylko na cztery przejazdy, tak na wszelki wypadek. Nie mam przecież z czego oddać. W każdym razie jutro pojedę zupełnie legalnie, za forszę, i spróbuję się zorientować, jak można to robić inaczej. Tymczasem czeka mnie dziesięć dni bez Marka.

Komorów, 8 VII 1944

Wera oznajmiła:

– Pojedziesz za miasto na szosę; usiądziesz gdzieś w rowie i będziesz dyskretnie notować numery samochodów wyjeżdżających z Warszawy.

– Dobrze – powiedziałam – ale mam czas tylko do pierwszej. Później muszę być w domu.

Miałam serce w gardle, kiedy to mówiłam, i spodziewałam się jakiejś pogardliwej odpowiedzi. Tymczasem Wera zmarszczyła się wprawdzie, ale nic nie powiedziała. Więc uznałam, że tak właśnie

brzmi nasza umowa, i siedziałam na tej szosie punktualnie do pierwszej, a później pojechałam do Komorowa. Samochody śmigają raz po raz, niektóre z taką szybkością, że nie jestem pewna, czy dobrze odczytałam numer. Ruch w kierunku Warszawy był o wiele mniejszy niż z Warszawy, zdaje się, że szczury zaczynają opuszczać już ten okręt. Tymczasem to są głównie rodziny, pewnie tych najbardziej tłustych szczurów, bo widziałam limuzyny pełne bab, bachorów i bagaży. Ciężarów było zdecydowanie mniej, a te, które miały odsłonięty tył budy, wiozły najczęściej meble, głównie fortepiany. Cholernie muzykalny naród te szkopy!

Ta rozmowa z Werą to zasługa Anki. Parę dni temu przyjechała do mnie do Komorowa i mówiliśmy między innymi o moich kłopotach i o tym, jak pogodzić wymagania mamy i Wery. Anka powiedziała:

– Bo ty za bardzo pozwalasz jeździć sobie po głowie. Czasem trzeba się jej postawić. Mnie się już parę razy zdarzyło powiedzieć, że czegoś nie mogę zrobić, i jakoś żyję. Alicja stawia się bezustannie i też jest dobrze. Tylko wy z Wiśką robicie zawsze wszystko, co ona wymyśli, choćbyście padały na nos.

Powiedziałam, że tak zobowiązałyśmy się na początku. Anka pokręciła głową:

– Życie jest życiem. Wera przesadza, a opowiadanie, że nasze prywatne sprawy nie istnieją, jest bzdurą. Oczywiście, po to jesteśmy w harcerstwie, żeby był z nas jakiś pożytek, więc nie wolno nam pozwalać sobie na nieposłuszeństwo bez bardzo ważnego powodu. Ale ona po prostu czasem zapomina, że ma do czynienia z ludźmi, nie z maszynkami do biegania z pocztą.

Powiedziała mi też, że przed wojną lotnik, który danego dnia nie czuł się dobrze albo był w jakimś złym nastroju, miał prawo odmówić latania.

– A my chyba nie robimy bardziej bezpiecznych rzeczy niż lotnicy, prawda? Ja naprawdę staram się tego nie nadużywać, ale kiedy mama gorzej się czuje, a ojca nie ma, to mówię wprost, że nie wyjdę z domu po południu.

Jej mama będzie rodzić pod koniec tego miesiąca. Zapytałam Ankę, czy cieszy się, że będzie miała brata albo siostrę. Powiedziała:

– Wiesz, trudno się cieszyć, szczególnie teraz. Przede wszystkim bardzo się boję o mamę. Ale czasem łapie mnie takie głupie wzruszenie, że będzie w domu coś małego i własnego.

Tego to ja już nie rozumiem. Jesteśmy z Anką zupełnie różne, choć ona jest znacznie mądrzejsza i dojrzała ode mnie.

W pewnej chwili spytała:

– A jak ty wytrzymujesz bez Marka?

Zrobiłam się czerwona jak burak i nie mogłam wykrztusić słowa. Anka powiedziała:

– Czegóż ty się wstydzisz? Przecież ja wiem, że to jest cholernie poważna historia, nie żadne głupstwa. I naturalnie możesz na ten temat nie mówić.

Zapytałam ją, czy to bardzo po mnie widać i czy wszyscy już zauważyli.

– Na pewno nikt niczego nie zauważył poza naszą paczką. A Alicja i Wiśka myślą tak samo jak ja.

Wtedy jej opowiedziałam, że to jest tylko z mojej strony. Marek kocha się w jakiejś dziewczynie, której nie znam, a mnie po prostu lubi i traktuje jak młodszą siostrę. Anka kręciła głową, że to chyba nie tak, że na zewnątrz to wygląda inaczej. No cóż, ja niestety wiem, jak jest, pogodziłam się z tym i nie ma mnie co pocieszać.

Komorów, 9 VII 1944

Wczoraj nie zdążyłam zanotować, w jaki sposób radzę sobie z wyjazdami do Warszawy. Okazało się to zupełnie proste. Na EKD chodzą tylko po dwa wagony w składzie. Ten drugi ma z tyłu zderzak, taką szeroką, metalową ramę, odstającą od ściany wagonu na jakieś piętnaście centymetrów. Jak się na niej postawi stopy, to nie ma obawy, że się człowiek ześlizgnie. Na ścianie jest w dodatku drabinka do wchodzenia na dach, świetna do trzymania się. Przykrości są tylko dwie: duży wiatr, który zrywa się, kiedy kolejka rozpędza się pomiędzy stacjami, i ludzie robiący uwagi: „Patrzcie, patrzcie, to już i dziewczyny zaczynają się czepiać wagonów!” albo: „Nie wstyd ci jeździć na gapę? Pewnie wolisz sobie za te pieniądze kupić lody”. I temuż podobne.

Na stacji w Komorowie mam zawsze trochę stracha, czy mnie nie przyuważy ktoś z sąsiadów. A znów w Warszawie muszę się dobrze rozglądać, żeby się nie nadziać na wracającą mamę. Już raz tak było, że ona jechała w środku, a ja na zewnątrz tego samego wagonu i w Komorowie leciałam przez pole z wywieszonym językiem, żeby być w domu wcześniej niż ona. Poza tym trzeba się pilnować strażników ko-

lejewych i wskakiwać na zderzak dopiero w ostatniej chwili, kiedy kolejka jest już w ruchu. Chociaż sama widziałam, jak któregoś dnia zatrzymano jadącą kolejkę i zgarnięto chłopca, który podróżował tak samo jak ja. Ale mnie się dotąd jakoś udaje.

Przez ten czas, kiedy jesteśmy w Komorowie, codziennie musiałam jeździć do Warszawy i tylko w niedzielę byłam wolna. Dzięki temu mogłam się nagadać z Anką.

Komorów, 10 VII 1944

Nie wytrzymałam i ze sklepu na Nowogrodzkiej zadzwoniłam do domu. Gdyby ktoś inny odebrał telefon, po prostu odłożyłabym słuchawkę. Ale to był Marek. Zdał, wszystko poszło dobrze, miło mu, że o nim pamiętałam, ale do Komorowa jutro nie przyjedzie, nie może, później mi wyjaśni dlaczego. Pojutrze też nie przyjedzie, bo ma koleżeńską bibkę z okazji matury. A co do dalszych terminów, to czy cokolwiek można dziś planować?

I tyle. A ja tak czekałam. Całe dziesięć dni żyłam tylko czekaniem. I figa z makiem z pasternakiem! Wybij sobie raz wreszcie z głowy, ty idiotko, że twoje towarzystwo jest komukolwiek potrzebne! I przestań żebrać.

Komorów, 13 VII 1944

Łatwo powiedzieć: „wybij sobie z głowy” to czy tamto! Co mam zrobić, kiedy mi tak strasznie tęskno? Chodzę senna, nieprzytomna, mama po trzy razy musi powtarzać jedno i to samo, żeby do mnie dotarło. Po każdym powrocie z Warszawy, gdzie ciągle trzeba bardzo uważać na to, co się dzieje dookoła, jestem tak zmęczona, że często walę się na tapczan i zasypiam jak kamień. A czasem idę na koc albo na hamak i nie robię nic, po prostu nic. Tylko tęsknię. Wczoraj mama powiedziała nieoczekiwanie:

– Jesteś taka smutna, córeczko, że aż się serce kraje. Bądź dzielna, musisz to jakoś wytrzymać. Już niedługo.

Nie wiem, co miała na myśli, bałam się spytać. Możliwe, że moja tajemnica nie jest już tajemnicą dla nikogo. Wszystko mi jedno.

Nie zabrałam ze sobą żadnych poezji i teraz żałuję. W wierszach są czasem takie słowa lub zdania, których sama nie potrafię wymyślić, a

które są mi potrzebne. Powtarzam sobie w kółko te wszystkie, które znam na pamięć, czasem to trochę pomaga. Człowiek czuje, że nie jest taki zupełnie sam, że już przedtem ktoś przeżył to samo. Żałuję, że nie umiem pisać wierszy, może by mi się wtedy udało wszystko nazwać i byłoby jakos łatwiej. Niestety, jedyne wiersze w moim życiu pochodzą z czasów, kiedy miałam pięć, sześć lat. Tworzyłam wtedy namiętnie, dyktowałam dorosłym i żądałam, żeby je zapisywano. Najwcześniejszy z moich utworów brzmiał:

*W stawie bardzo zimna woda,
Koło stawu leży kłoda,
Na tej kłodzie trzy bocianki
Położyły niespodzianki.
Przyleciały inne ptaki,
Patrzą, a to trzy dzieciaki. (...)*

I tak dalej. Licho wie, co mi wtedy strzeliło do głowy, gdyż nigdy nie wierzyłam w bociany.

Komorów, 16 VII 1944

Taka paskudna historia wydarzyła mi się dzisiaj na kolejce, że jeszcze teraz mną wstrząsa! Jechałam z jakimś chłopakiem. Ja stałam na zderzaku, on siedział, tak troszkę bokiem, z podkurczonymi kolanami, trzymając się jedną ręką drabinki. Zaczął mnie namawiać, żebym koniecznie spróbowała tak samo, że wygodniej i cieplej. Więc kiedy zatrzymaliśmy się na stacji, usiadłam obok niego w takiej samej pozycji i nawet pomyślałam, jaka to ja byłam głupia, że tyle czasu męczyłam się na stojąco. Pociąg rozpędził się już porządnie pomiędzy przystankami, kiedy zorientowałam się, że mijani ludzie mają dziwne miny, a jakieś dzieciaki przestały nagle machać rękami i chociaż ja machałam do nich dalej, wrzeszczały coś ze śmiechem, i wyraźnie pokazywały mnie paluchami. Spojrzałam na siebie i zrobiło mi się gorąco: od pędu powietrza moja spódnica zadarła się do góry i prawie przykleiła do szyi, a ja siedziałam w samych różowych majtkach. Opuściłam na gwałt nogi, na szczęście nie do końca, bo jednocześnie szamotałam się ze spódnicą, a w tym czasie ten chłopiec zaczął krzyczeć: „Nie spuszczać nóg! Nie spuszczać nóg!” i tak mnie przeraził, że znów zadarłam

je do góry. Powiedział, że gdybym tylko musnęła stopą podkłady, to ziemia zdarłaby mnie natychmiast z naszego zderzaka. Na dodatek dość dokładnie i w kolorach opisał, jak bym wtedy wyglądała. Z tego wszystkiego zrobiło mi się mdło, w ponieważ dojeżdżaliśmy już do stacji, więc coraz więcej ludzi patrzyło na mnie z obrzydzeniem. Gdy tylko EKD zatrzymała się, wylazłam z powrotem na zderzak i stałam tak aż do Warszawy, ale przez całą drogę mogłam już myśleć tylko o tym, że jednak dotknęłam nogą ziemi, spadłam i leżę pomiędzy szynami, a moja głowa wygląda jak rozdeptany pomidor (to według słów tego chłopaka). Ciągle jeszcze było mi niedobrze. Po południu, kiedy wracałam do Komorowa, to chociaż naturalnie stałam i nawet z całych sił trzymałam się drabinki, byłam mokra ze strachu jak mysz.

Komorów, 17 VII 1944

Dzisiaj był Marek. Widocznie za długo czekałam, bo już się tak bardzo nie ucieszyłam. Niewiele rozmawialiśmy. Marek opowiadał trochę o maturze, trochę o bibce (podobno tym razem Adzik wrócił do domu krokiem już autentycznie chwiejnym, ostatecznie utwierdzając w mieszkańcach naszego bloku opinię o sobie jako o alkoholiku), ale jakoś mu te opowieści nie szły. Pytał o moje sprawy i przeraził się, kiedy się dowiedział, że jeżdżę do Warszawy codziennie. Chciał koniecznie wiedzieć, w jaki sposób odbywam te jazdy. A mnie się znów strasznie nie chciało, zwłaszcza po wczorajszym, o tym mówić i wysłuchiwać wyrzutów, że to niebezpieczne. Więc tylko mruknęłam, że jakoś sobie radzę. W ogóle nic nam się nie kleiło. Marek też to zauważył, bo powiedział:

– Trzymajmy się. To już niedługo. To wszystko lada tydzień się skończy i jeżeli skończy się dobrze, to będziemy gadać, gadać bez końca i powiemy sobie mnóstwo rzeczy, w których teraz trzeba milczeć.

Dopiero kiedy odjechał, wpadłam w rozpacz. Zrozumiałam, że zmarnowałam te trzy godziny, przypominałam sobie całe mnóstwo spraw, o które mogłam go zapytać nawet nie czekając na koniec wojny. A teraz już wcale nie wiadomo, kiedy się zobaczymy. Marek nie umiał na ten temat nic powiedzieć, rozłożył ręce:

– Sama wiesz, jak to jest teraz i czy można się umawiać...

Powiedział jedną rzecz, od której już do reszty odechciewa się wszystkiego: że nadchodzące wydarzenia będą wielką rozgrywką o władzę

i my wszyscy zostaniemy w niej użyci. To jest straszne! Zawsze dotąd mówiło się, że jak przyjdzie koniec wojny, to będziemy bić Niemców za to wszystko, co z nami wyrabiali. A teraz okazuje się, że wcale nie za to, tylko dlatego, że ci z Anglii i ci z Rosji grają ze sobą w „moje na wierzchu”! Czy po to ja ganiam z karteluszkami, a on wysadza mosty?! Przecież to nie ma sensu! Jeżeli tak jest naprawdę, to powinniśmy tu wszyscy siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż nas wyzwolą i najwyżej starać się, żeby nie zginął już ani jeden człowiek. Kto nas tak oszukał? Bo chyba ludzie o tym nie wiedzą, myślą zwyczajnie, tak jak ja dotąd, że to jest tylko przeciwko Niemcom. Teraz już mam ochotę plunąć na wszystko, przestać jeździć do Warszawy, nigdy więcej nie nosić tych idiotycznych świstków!

Głupia Ewa, znowu się zagalopowała. Głupia... Marek, który sam mi to powiedział, dalej robi swoje. Przecież domyślałam się, dlaczego nie przyjechał jedenastego i dlaczego nie mogliśmy się umówić na żaden następny termin. Wie, a robi. Czyli, że uważa, że tak trzeba. On wszystko rozumie, ja – nie. Rozumie, a nie pluje. Tylko jest smutny. Nic dziwnego. Nie można być wesołym z czymś takim, nawet jeśli się zdało maturę, skończyło szkołę i jest się dorosłym człowiekiem.

Dobrze, że to już niedługo. Marek mówi: „kilka tygodni”. Kilka tygodni zawsze można wytrzymać. Później może będziemy weseli i to będzie niesamowicie klawo tak mówić o wszystkim i niczego się nie bać.

Komorów, 21 VII 1944

Dziś mama wróciła z Warszawy o dobrą godzinę przede mną. Zaczęła mnie szukać, poszła do właścicieli naszej wille i dowiedziała się, że ja codziennie gdzieś przepadam. Więc kiedy się już zjawiłam, zaczęła mnie wypytywać, gdzie się podziewam. Powiedziałam, że chodzę do Krysi Kowalskiej. To taka dziewczyna w moim wieku, którą poznałam parę dni temu na stacji, słyśmy później razem, gadałyśmy i ona mnie bardzo zapraszała, żebym do niej przychodziła. Nie wiem, czy mama uwierzyła, ale chyba tak. Mama na szczęście bardzo nie lubi mnie wypytywać, wstydzi się tego. Wstydzi się też, kiedy czuje, że kłamię i dlatego już woli zawsze uwierzyć. A swoją drogą do tej Kryski trzeba będzie wpaść.

Zapomniałam napisać, że już chyba z miesiąc temu Wiśka powie-

działa mi bardzo dziwną rzecz. Podobno na początku naszej pracy z Werą należała ona (i my z nią razem) jeszcze do jednej z drużyn harcerstwa żeńskiego. Ale później, nie wiadomo dokładnie kiedy, Wera zabrała nas i przeniosła się z nami zupełnie gdzie indziej. Ta nowa organizacja to też podobno harcerstwo, ale męskie. Zajmuje się głównie biciem niemców, a dziewczyny są tam potrzebne do różnych służb pomocniczych. Dlatego mamy ostatnio tyle biegania, a śpiewy i gawędy dawno się skończyły. Wiśka wie to wszystko od swojej Barbary, która dobrze zna Werę i w ogóle jest zorientowana. Trochę dziwna jest myśl, że tak nas przeniesiono z miejsca na miejsce jak martwy pakunek w czasie przeprowadzki, którego się o nic nie trzeba pytać. Ale nie mam pretensji. Jeśli się już musimy tak gimnastykować, to lepiej dla takich celów niż dla innych.

„Przeprowadzka” zastępu

Ostatni już raz chcę wkroczyć w tok przeżyć Ewy, by krótko wyjaśnić, jak doszło do przeniesienia zastępu z harcerstwa żeńskiego do męskiego, a więc jak doszło do wydarzenia mało z pozoru prawdopodobnego. Wyjaśnienie takie nie byłoby zapewne łatwe, gdyby nie to, że w 1983 roku ukazała się książka pt. „Całym życiem” napisana przez Stanisława Broniewskiego, naczelnika „Szarych Szeregów”. Z tej pasjonującej opowieści o męstwie i ofiarności ludzi młodych i bardzo młodych dowiadujemy się, że przypadki takie nie były rzadkością, a ich podłoże stanowił szczególny stosunek Organizacji Harcerek do Organizacji Harcerzy, zrodzony w czasie okupacji. Komenda harcerek próbowała bowiem, ze względów bezpieczeństwa, doprowadzić do całkowitego przerwania kontaktów między obydwoma pionami. Jednakże, jak czytamy: *W życiu ułożyło się zupełnie inaczej: Główna Kwatera Harcerek... sprowadziła własne kontakty do niezbędnego minimum; w dotychczasowych organizacyjnych natomiast z biegiem czasu następowały coraz częstsze i szersze wylomy w zasadzie chłodnej izolacji i tak pod koniec okupacji najbardziej izolowanymi komórkami spośród obu organizacji były główne kwatery. Życie stworzyło obraz całkowicie odwrócony w stosunku do obrazu zamierzonego.*

Na dalszych kartach książki znajdujemy konkretne już stwierdzenie: *Okazało się więc, że jak Polska długa i szeroka, jak lata okupacji przewlekłe i mozaika organizacji konspiracyjnych bogata – wszędzie pracę łączniczek i pracę sanitariuszek chwyciły w swe ręce kobiety. Ich cichego, anonimowego poświęcenia, ich niezwykłych talentów maskowania się, ich subtelności w odczuciu sytuacji, ich opiekuńczego instynktu i troskliwości nie potrafili zastąpić mężczyźni. Stało się tak, że bez nich jakakolwiek praca konspiracyjna wydawała się niemożliwa, nieprawdopodobna. Powstawały więc zespoły żeńskie przy wszystkich organizacjach konspiracyjnych, powstawały też przy różnych jednostkach organizacyjnych harcerstwa męskiego.*

Teraz znamy już odpowiedź. Wera była jedną z tych, które postanowiły robić coś konkretnego, związanego prawdziwie i mocno z prawdziwym i mocnym rytmem podziemnego życia. Jak wiele jej koleżanek – nie chciała wciąż tylko przygotowywać się, doskonalić, czekać na jakiś mglisty moment, kiedy nabyte umiejętności będą mogły znaleźć zastosowanie. Chciała być użyteczna teraz, zaraz. W 1944 roku, gdy wydarzenia polityczne zwiastowały bliskie już rozstrzygnięcie poprzez walkę, potrzeba uzupełniania żeńskich służb była szczególnie silna. Wera skorzystała z tego. Jak tego dokonała – nie wiemy. W każdym razie znalazła dla siebie i swoich podopiecznych miejsce, w którym stały się użyteczne. W pamiętniku moment ten znajduje (z opóźnieniem) odbicie w stwierdzeniu, że Ewa jest regularnie kursującym listonoszem.

Korci mnie, aby powiedzieć jeszcze parę słów o Werze, którą – na podstawie relacji Ewy – trudno byłoby chyba polubić. A przecież w świetle przytoczonych przed chwilą faktów była ona tą „najlepszą z najlepszych”, aktywną, ofiarną, rwącą się do autentycznego działania. Cóż więc spowodowało, że dwie dziewczyny, które dzieliła niewielka zapewne różnica wieku (w zetknięciu z osobami trzecimi Wera określana jest w pamiętniku zawsze jako ta młodsza) i które chciały tego samego, nie znajdowały wspólnego języka? Myślę, że Wera mogła być właśnie za młoda. Stąd ten jej „wodzowski” styl i brak ciepła w stosunkach z podkomendnymi. Może już nie umiała być ich koleżanką, a jeszcze – ich wzorcem wychowawczym i zarazem starszą przyjaciółką. Pamiętajmy też, że nasze spojrzenie na Werę ukształtował nie kto inny jak Ewa, stworzenie niezrównoważone i nawet we własnej ocenie nie zawsze sympatyczne, trudne także i dla wychowawców całkowicie dojrzałych. Niewykluczone więc, że przekazała nam raczej karykaturę niż portret swojej zastępowej.

Na koniec, mając już do tego pełne dane, zrekonstruuemy wojenną drogę czterech przyjaciółek. Widzimy na niej kilka kolejnych etapów: pierwszy, mniej więcej dwuletni, to „Las”, jedna z tych „organizacji”, jakie zawiązywały pomiędzy sobą warszawskie dzieciaki zdane wyłącznie na własną inwencję i pomysłowość; etap drugi, niespełna miesięczny, to harcerstwo szkolne; etap trzeci, trwający znów zaledwie miesiąc, stanowi próba ożywienia z martwych „Lasu”; etap czwarty rozpoczyna związywanie się dziewcząt z inną drużyną harcerstwa żeńskiego, skąd, same o tym nie wiedząc, startują do etapu piątego i ostatniego – służby w harcerstwie męskim.

Pamiętnik Ewy

O ROZSTANIU

Komorów, 23 VII 1944

Byłam u Krysi. Powiedziałam, że jeżdżę do Warszawy, bo muszę. Niby to mam koleżankę, której mama umarła urodziwszy małe dziecko, i trzeba jej pomagać. Taka bajeczka pod Ankę (z Anką widziałam się wczoraj przez moment, tego dziecka jeszcze nie ma, ale ma być lada dzień). Gorzej, że ta Krysia zaczęła mnie wypytywać o różne sprawy dotyczące bachorów, o których nie mam zielonego pojęcia. Poprosiłam ją, że gdyby moja mama kiedy przyszła i pytała o mnie, to niech mnie jakoś kryje. Obiecała. Ale jestem prawie pewna, że mama tego nie robi, właśnie przez ten jej wstyd.

Komorów, 25 VII 1944

Dziś, kiedy przyszłam na punkt, poczty jeszcze nie było. Po pewnym czasie rozległ się dzwonek, przyszedł jakiś chłopak z dziewczyną i ten, którego znałam, powiedział do mnie:

– No, masz już pocztę. możesz zapinać swoje agrafki.

Facet, który dopiero co wszedł, popatrzył na mnie i zaśmiał się:

– Widzę, że ostatnio zatrudniamy w łączności przedszkole.

Ale ten pierwszy stanął w mojej obronie:

– Nie kpij z niej. Przecież to ta jedyna, która nam wtedy uciekła.

Przyjrzałam się im. Poznałam „gestapowca” i tego, który siedział wtedy pod ścianą z rękami do góry. Skończyłam chować pocztę, powiedziałam: „Świnie, wstrętne świnie” i poszłam.

Komorów, 28 VII 1944

Jakoś źle się czuję. Wczoraj był zimny wiatr, a ja ubrałam się jak idiotka w letnią sukienkę i w czasie jazdy zmarzłam na sople lodu.

Trzęsło mnie do wieczora. Dziś jest cieplej, ale pada, zmokłam, znów mam dreszcze i boli mnie, kiedy oddycham albo kaszlę. Nie wiem, co to jest, przy żadnym bronchicie dotąd mnie nie bolało. I chyba mam gorączkę, ale nie chce mi się szukać termometru. Fatalnie to się składa, bo właśnie dziś dostałam przydział na czas Powstania. Mam być na punkcie numer 30, już pojutrze o ósmej rano. Zjadłam aspirynę i myślałam, że do tego czasu będę już zdrowa, a jutro na szczęście nie muszę nigdzie jechać. Wygrzeję się w łóżku i będzie dobrze. Ale teraz jestem taka otępiała, że piszę „Powstanie” i nie czuję nic, żadnej radości, żadnego entuzjazmu. Tylko żal, że będę musiała tak okropnie postąpić z mamą, zostawić ją w strachu o mnie. Nie zdobędę się na to, żeby z nią rozmawiać o tym wszystkim. Zostawię list, w którym spróbuję wytłumaczyć, dlaczego tak musi być, i trochę ją uspokoić. To przecież tylko parę dni. Rosjanie i nasi są już bardzo blisko, we wszystkich tych małych miastach za Wisłą, a Niemcy uciekają na potęgę. Jak tak dalej pójdzie, to nie będzie kogo bić.

Już nie zdążę zobaczyć się z Markiem. Może tak jest lepiej.

Byłam jeszcze raz tam, gdzie powiedziałam „świnie”. Ten facet, z którym się zawsze widuję, zapytał od progu:

– Czy dzisiaj też nam będziesz wymyślać?

Powiedziałam, że dziś nie. I tyle. A bardzo się tego spotkania bałam.

Warszawa, 9 VIII 1944

Leżę, miałam zapalenie opłucnej. Mama przywiozła mnie do Warszawy tego samego dnia, kiedy tak źle się poczułam. Teraz już wracam do zdrowia.

Powstanie trwa. Z miasta słychać huk i strzelaninę. U nas cisza. Tu właściwie nic się nie działo. „Niemieckiej” dzielnicy nasi w ogóle nie zdołali ugryźć. Od Marka żadnych wiadomości, zresztą do nas nic nie dociera. Nasz dom jest wyspą w morzu Niemców i własowców. Wpadają do mieszkań, rabują, gwałcą, zabijają. Na naszych drzwiach wisi kartka z napisem w dwóch językach: „Typhus” i „Tif”. To pan Wysoccki wymyślił, bo Niemcy strasznie się boją tyfusu. Rzeczywiście nie byli ani razu. Ale Ukraińcy nie dają się przepłoszyć, wążą i tak. Wtedy ja udaję nieprzytomną i bełkoczę coś bez sensu. Kiedyś jeden wleciał z wrzaskiem: „Zastrelit i budiet szlus!”, ale kiedy zobaczył, że nie je-

stem dorosła, roztkliwił się: „Rebionek, dziewczka” i zostawił torbę pomidorów. Był naturalnie pijany.

Jestem jeszcze bardzo słaba. Piszę po parę zdań i muszę odpoczywać. Kiedy wstałam, żeby wydostać ten brulion, o mało się nie przewróciłam. Od wczoraj nie mam gorączki, ale z początku miałam bardzo wysoką, czterdzieści albo nawet ponad czterdzieści stopni, to znów trzydzieści siedem z kreskami. Przez tę moją chorobę wszystko się strasznie pokiełbało. Dopiero teraz się dowiedziałam, że mama też miała na czas Powstania przydział do jakiejś intendentury, do mnie do Komorowa miała przyjechać ciocia Zosia, a tylko pan Wysocki miał zostać tu, w warszawskim mieszkaniu. A tymczasem wszyscy jesteśmy, tylko Marka nie ma.

O Marku nie mogę myśleć. Nic już nie wiem, nic nie rozumiem. Kiedy byłam taka chora, coś się chyba wydarzyło, a może to był tylko sen? Marek zniknął na całe dni, wracał wieczorem, a nocami siedział przy mnie na zmianę z mamą. Nie pamiętam, co wygadywałam, kiedy mi rosła gorączka, przypominam sobie tylko, że pytałam go, czy ta czarna dziewczyna z kabaty, która jest na jego sercu, idzie z nim do Powstania. Powiedział, że nie, że zostaje w domu.

Jak byłam przytomniejsza, to na ogół milczałam i on też niewiele mówił, pytał najwyżej, jak się czuję, i podawał picie albo lekarstwa. Na dzień przed wybuchem Powstania uprzedził, że następnego dnia już chyba się zacznie, więc pewnie nie wróci wieczorem do domu. Tej ostatniej nocy chciałam nie spać, chciałam cały czas pątrzeć na niego. Ale nie mogłam. Głowa mi leciała w poduszki i oczy same się zamykały. Więc błagałam go, żeby rano koniecznie przyszedł się ze mną pożegnać, i obiecał mi to. Zasnęłam i przyśniło mi się, że Marek głaszcze mnie po twarzy i mówi: „Do widzenia, czarna dziewczynko z mojego serca”. Obudziłam się i był dzień, nikogo nie było w pokoju, zaczęłam wołać: „Marek! Marek!”, weszła ciocia Zosia, powiedziała, że Marek już wyszedł. Rozplakałam się, krzyczałam, że obiecał się ze mną pożegnać.

– Ależ pożegnał się z tobą, Ewuńcia! Był tu przed chwilą, może nie chciał cię budzić? O, zobacz, masz najlepszy dowód!

Na poduszce leżał Misiulek, na szyi miał kartkę z napisem: „Opiekujcie się sobą, dopóki nie wrócę”.

Pusty chlebak

Tu urywają się dzienniki Ewy.

Zastanawiam się, czy nie należałoby poprzestać na tym, co dotąd zostało powiedziane, w ogólnych bowiem zarysach wiadomo już, co stało się z najważniejszymi dla tej historii osobami. Ja sama jednak, gdy zbierałam o nich informacje, chciałam wiedzieć nie tylko co, lecz także jak się stało? Dowiedziałam się też nieco o ludziach z dalszego planu. Nie widzę powodu, dla którego miałabym to przemilczać.

Ale przedtem jeszcze jedno: wyrażone przeze mnie na samym początku obawy, iż pamiętniki mogły narazić kogokolwiek na niebezpieczeństwo, okazały się na szczęście bezpodstawne. Ci, którzy odeszli, zanim skończyła się wojna, zginęli w walce lub zmarli własną, cywilną śmiercią. Na jesieni 1944 roku „Tysiącletnia Rzesza” nie była już zdolna do prowadzenia skrupulatnych poszukiwań, a zapewne wobec walących się zewsząd kłesk nie była też i za bardzo w tym zainteresowana. Machina aparatu śledczego funkcjonowała widocznie jeszcze tylko na tyle, aby w trybie czysto administracyjnym ktoś czuł się w obowiązku postawić szereg znaczków na marginesach przechwyconych zeszytów, ktoś inny zaś zawyrokować, iż „dalsze śledztwo nie jest w obecnym stanie możliwe”. Nad tym, jak wyglądało śledztwo prowadzone wobec piętnastoletniej dziewczynki, nie chcę się zastanawiać.

Wracając jednak do losów poszczególnych bohaterów opowieści Ewy: trzy najbliższe koleżanki – Alicja, Wiśka i Anka – przeżyły szczęśliwie ostatnie miesiące wojny. Podobnie jak i pozostałe dziewczęta z dawnego „Lasu”. Żyje też Wera. O koleżance najbardziej przez Ewę lubianej z dziewcząt pozalasowych, Kalinie, nie udało mi się niczego dowiedzieć. Obaj Bliźniacy mieszkają w Warszawie. Ich starszy brat Adzik poległ na Mokotowie w połowie sierpnia. Rysiek także żyje i dobrze mu się wiedzie.

Starsze pokolenie wykruszyło się znacznie przez te minione lata. Zmarł stryj Ludomir, nie żyje pan Wysocki, umarła Jadzia. W naszym domu trwają jednak na posterunku chorzy i starzy państwo Dąbkowie, natomiast ich dzieci dawno się stąd wyniosły. Część nazwisk na liście lokatorów brzmi tak samo jak dawniej, ale to już na ogół potomkowie tamtych ludzi sprzed lat, a więc pewnie nawet koledzy Ewy i moi. Dom przetrwał, nie był zburzony ani spalony – premia losu za „niemiecką dzielnicę”?

Dzieje pierwszoplanowych postaci tego dramatu przekazuję tu tak, jak zostały mi zreferowane w czasie rozmowy z panią Wysocką:

– Pani pytała, czy one z matką były do siebie podobne, a ja powiedziałam, że nie, i nawet przytoczyłam różne przykłady na ich zupełnie inne reakcje. Ale teraz, kiedy stoją mi przed oczami tamte czasy, uświadamiam sobie, że może nie całkiem miałam rację? Chodzi mi o ten dzień w czasie Powstania, kiedy Ewa dowiedziała się o Marku. Mój mąż i Paulina już wiedzieli, ale jej i mnie niczego nie powiedziano. Tyle było wówczas nie sprawdzonych wieści, ta też była jeszcze mglista i podana przez trzecie czy czwarte usta. Dopiero później potwierdziła się, niestety, ponad wszelką wątpliwość. Mój syn zginął niemal w pierwszych minutach powstania.

Byłam wtedy półprzytomna z ciągłego niepokoju i widać ślepa na wszystko, bo nawet nie zauważyłam momentu, w którym mąż skamieniał na twarzy. Paulina zaś, pod pretekstem choroby Ewy, zaczęła mnie unikać. Ewa jeszcze nie wstawiała, ale już wracała do zdrowia. Czasem odwiedzały ją inne dzieci, przychodziły nawet z dalszych klatek schodowych piwnicami, bo ten dom w czasie Powstania to było pełne kretowisko, wszędzie pod ziemią poprzekuwano przejścia. W takich razach Paulina siedziała zawsze w tym samym pokoju i pilnowała. Ale zdarzyło się, że musiała wyjść, chyba po prostu ją odwołałam. I wtedy tamta dziewczynka zdążyła Ewie powiedzieć...

(Dla „tamtej dziewczynki” nie jest to zaskoczeniem. Już dawno powiązałam oderwane wspomnienie małej, mizernej twarzy z otwartymi do krzyku ustami z tym wszystkim, co przeczytałam w ciągu nocy spędzonej w Budziszynie. W dalszych poczynaniach dotyczących pamiętników kierowała mną nie tylko ciekawość ludzkich losów, ale i poczucie odpowiedzialności za bezmyślne wtargnięcie w cudze życie w jednej z najpaskudniejszych ról – żałobnego kruka).

– Podobno Ewa wyła jak zwierzę. Ja jakoś tego nie dosłyszałam,

mieszkanie było duże, a może pomyślałam, że znów u kogoś grasują Ukraińcy i że to gdzieś za ścianą. Tylko Paulina... Wpadła tam i ręką zatkała Ewie usta. Ewa zaraz ucichła i potem już ani razu nie krzyknęła ani nie zapłakała. W kilka dni później wstała i wtedy obie z Paulą zachowywały się identycznie: dwa milczące automaty o twarzach bez wyrazu. Więc może nie były tak zupełnie niepodobne?

... Nie, niczego się nie dowiedzieliśmy, nie natrafiliśmy na najniklejszy ślad Ewy. Czasem myślę, że z nas dwóch ja miałam jednak więcej szczęścia niż Paulina, miałam dokąd iść, położyć kwiaty, zapalić światełko. Szukaliśmy przez Czerwony Krzyż, przez naszych krewnych z Anglii i Kanady, przez zagraniczne kontakty Ludomira. Bez rezultatu. Mówiła pani, że pisała do władz tego miasta, w którym znalezione zostały pamiątki Ewy, z prośbą o przeszukanie archiwów, ale w dokumentach cywilnych niczego nie odnaleziono, zaś akta gestapowskie zostały wywiezione lub zniszczone. Dla mnie raczej nie ulega wątpliwości, że jeśliby coś było, to tylko w dokumentach gestapo. Wszystko, co zapamiętałam z obozu przejściowego, wyraźnie na to wskazuje.

Znaleźliśmy się tam we czworo, Paulina, Ewa, mój mąż i ja, w pierwszych dniach września. Było to gdzieś za Berlinem. Dali nam jakąś zupę i kawę, a później zapowiedzieli, że musimy przejść przez łaźnię. Dobrych kilka godzin siedzieliśmy pod gołym niebem. Na placu były z początku tysiące ludzi, cały olbrzymi transport. Większość pchała się do przodu, jak najbliżej wejścia do łaźni. Ludzie zawsze chcą przyspieszyć swój los i to chyba dobrze. Człowiek nie powinien być bierny. Ale my, na wszelkie przejawy aktywności patrzyliśmy wtedy z wrogim zdziwieniem, nie mogliśmy zrozumieć, jak po tym wszystkim, co się stało z nami i z miastem, można się jeszcze krzątać, można w ogóle o coś zabiegać. Trzy dni wcześniej, kiedy jeszcze byliśmy w Pruszkowie, Paulina natknęła się przypadkiem na bliską znajomą, Rosjankę z pochodzenia. Pani ta była od dwudziestu lat żoną Polaka, a w czasie okupacji ona i jej starszka matka, jako „białogwardzistki” noszące w dodatku wielkie, księżące nazwisko, miały specjalne papiery i szereg przywilejów. Tego swojego wyjątkowego statusu używały zresztą najlepiej jak można. Pani Tamara, kiedyśmy się spotkali w Pruszkowie, zaczęła namawiać, abyśmy się przenieśli do hali, w której ona koczuje z matką. Tłumaczyła, że jest to hala dla „innostraińców”, ludzie są tam lepiej traktowani niż Polacy i będą internowani w specjalnym obozie. „Pani Paulina, ja powiem, że wy wszyscy moja siemja,

rodzina” – mówiła i już łapała za nasze toboły. Była pełna dobrych chęci i tej energii, która nam się wydawała jakaś niestosowna. Paulina powiedziała: „Dziękujemy, pani Tamaro. My już tu zostaniemy z Polakami”. Po wojnie okazało się, że „cudzoziemcy” zostali wysłani do Oświęcimia, matka pani Tamary wprost z rampy powędrowała do krematorium. Tamara przeżyła.

Siedzieliśmy więc na tym placu przed łaźnią, aż wreszcie przyszła nasza kolej. W pierwszym pomieszczeniu oddawało się rzeczy i ubrania. Paula i mój mąż wlekli przez całą drogę wielkie tłumoki, do tego każde z nich miało jeszcze po małym neseserku. My z Ewą, słabsze, niosłyśmy plecaki, a ona poza tym miała jeszcze chlebak. Zawsze wydaje mi się to jakieś dziwne, że każdy warszawiak wychodzący z miasta ugiął się pod olbrzymim tobołem, a później i tak okazywało się, że nie ma nic i chodzi w łachmanach. I dopiero muszę sobie uświadamiać, że wówczas były upały, że szło się w letniej sukience i pantoflach, a kiedy nadeszły zimna, to najczęściej okazywało się, że w tobole zabrakło właśnie tego najważniejszego: jednemu – butów, innemu – palta. W naszym baraku była pewna kobieta, która wyniosła tylko kołdrę i srebrnego lisa.

Z przedsionka przechodziliśmy już wprost pod prysznicę, z których leciał na zmianę ukrop i lodowata woda. Trwało to dość długo, bo w tym czasie nasze kłamoty musiały się wyprażyć w piecu – odwieszalni. Spod pryszniców wychodziło się do magazynu, gdzie już zajeżdżały wózki z naszym dobytkiem, rozgrzanym i pooklejonym numerkami. Trzeba przyznać, że funkcjonowało to wszystko sprawnie. Ale jeszcze przedtem każdy musiał stanąć na chwilę w prostokątnej kadzi z brunatną, opalizującą cieczą i podnieść ręce do góry, a dwaj mężczyźni polewali nam głowy, pachy i łono tym płynem, cuchnącym naftą i jeszcze czymś innym. Więc jeśli nawet przez chwilę mieliśmy uczucie czystości i świeżości, to już teraz spływały po nas tłuste i śmierdzące strumyczki, a kobiety krzyczały, bo ten płyn wciskał się w krocze i palił. Zresztą oni specjalnie chlustali z wprawą od dołu i radośnie rzeli...

Do magazynu weszliśmy z Ewą mniej więcej równocześnie. Podałam blaszkę z numerkiem, dostałam swoje rzeczy i przeszłam na bok, aby się choć trochę obetrzeć z tego paskudztwa i ubrać. Widziałam, że Ewa stoi i na coś czeka, a za nią tworzy się już spory zator. Myślałam, że nie mogą odszukać jej bagaży, więc podeszłam bliżej. Ewa ubierała się, a plecak i chlebak leżały na ladzie. Nie zdążyła nawet włożyć san-

dałków, kiedy z kąta wyszedł jakiś mężczyzna, chyba nie magazynier, otworzył klapę w ladzie i kiwnął na nią: „komm”. Ewa weszła, nawet się za mną nie obejrzała. Z tyłu były jakieś drzwi, przez nie ją wyprowadzili. Krzyknęłam „Ewuńcia!”, ale było już za późno. Spowodowana przez zajście z Ewą przerwa w wydawaniu rzeczy skończyła się, ludzie runęli do lady, odepchnięto mnie w tył. Wypadłam przed barak łaźni. Był już zachód, promienie słońca świeciły prosto w twarz, z początku nic nie widziałam, po omacku skręciłam za węgiel, za którym musiało się znajdować tamto wyjście, ale tu ktoś szarpnął mnie za ramię i odepchnął z powrotem. Znalazłam się w olbrzymim tłumie kłębiących się, wrzeszczących ludzi. Jakimś cudem odnaleźliśmy się z moim mężem i Pauliną i zaraz potem zaczęto nas dzielić na grupy. Żadne nasze błagania, że czekamy na dziecko, nie docierały do niczyich uszu. Zresztą wszędzie dokoła szalały porozdzielane rodziny. Pognano nas za bramę i załadowano do pociągu. Mieliśmy nadzieję, że Ewa jedzie w innym wagonie, że gdzieś, u celu podróży, spotkamy się z nią znowu. Ale gdy przyjechaliśmy do wielkiego obozu, jej nie było...

Tyle razy zastanawialiśmy się, jaki mógł być powód tego jej odłączenia, tego innego potraktowania właśnie jej jednej. Myśleliśmy: może wiek? Może niemieckie nazwisko? A teraz... Wie pani, co mi teraz przychodzi do głowy? Nigdy nie oglądam tych pamiętników, dopóki mi ich pani nie pokazała. A mimo to ja je widzę, widzę je jakby w tym chlebaku. A tam na ladzie, ten chlebak był już pusty.